ANAFIELAS.

ANAFIELAS.

PIEŚNI Z PODAŃ LITWY.

PRZEZ

J. I. KRASZEWSKIEGO.

PIEŚŃ PIÉRWSZA.

(Z 50 Drzeworytami).

Wydanie Adama Zawadzkiego.

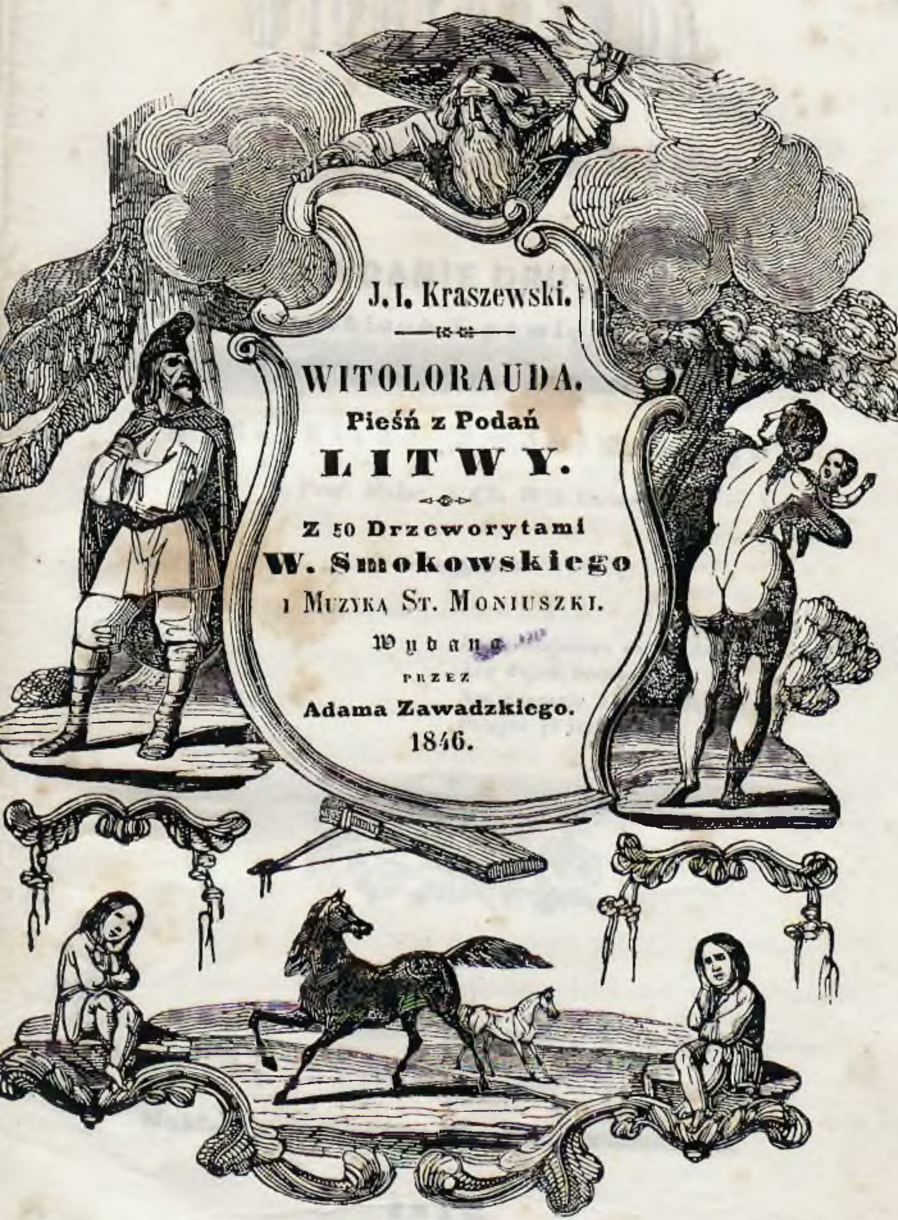
WILNO.

Nakładem i drukiem Józefa Zawadzkiego.

1846.

Pozwolono drukować pod warunkiem złożenia po wydrukowaniu exemplarzy prawem przepisanych w Komitecie Cenzury. Wilno, 1842 r., 11 Julii.

Cenzor Jan Waszkiewicz.



J. I. Kraszewski.

WITOLORAUDA.

Pieśń z Podań

LITWY.

Z 50 Drzeworytami

W. Smokowskiego

i Muzyką St. Moniuszki.

Wydana

przez

Adama Zawadzkiego.

1846.

WITOŁORAUDA.

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

WYDANIE DRUGIE,

przerobione i powiększone.

Z 50 Drzeworytami oryginalnemi

Wincentego Smokowskiego

b. Prof. Malar. b. Ces. Wil. Uniwer.

Asz padajniusu dajnů dajneles
Asz dajnů bernużelys;
Asz adarysiu dajnů skrineles
Palejsu yi lustely.

***

Wilno.

Nakładem i drukiem Józefa Zawadzkiego.

1846.

WSTĘP.

I.

Prostemi słowy do prostych serc ludu
Idę z piosenką, kołatam do duszy,
I słucham, pragnąc największego cudu,
Czy piosnka serca zdrętwiałe poruszy?
Czy Bogów dawnych i ojców wspomnienie
Łzę choć wyżebrze, wymodli westchnienie?

II.

Prostemi słowy śpiewam pieśni stare.
Na twojéj, Litwo, wzrosły one ziemi,
Sławiły męztwo, wstyd, cnotę i wiarę,
I ojców waszych kołysano niemi.
Pieśni to z mlékiem macierzyńskiém ssane,
Krwią bojów, łzami nieszczęścia skąpane.

III.

Pieśni to, które Burtynicy starzy
Na ojców waszych nócili pogrzebie,
U Bogóm waszym święconych ołtarzy;
Pieśni-sokoły, co po waszém niebie,
Dopóki słońce świeciło pogodne,
Latały silne, wesołe, swobodne.

IV.

Lecz wieki przeszły—świątynie zrzucone,
Zapadłe groby pług synowski orze.
I zamki klękły siwizną omszone,
I wilcy wyją na xiążęcym dworze,
A wały grodów, blizny ran zgojone,
Dźwigają sosny i dęby zielone.

V.

Słuchajcie pieśni! Pieśń ta z grobu wstała;
Przeszłości waszéj dzieje wam wyśpiéwa;
Na świecie wschodnim pradziadów widziała,
I ich się głosem do synów odzywa:
Pieśń to urodzin, wesela i bitwy,
Staréj kolebki, starych mogił Litwy.

2 Paźdz. 1841.

WITOLORAUDA.



U BRZEGU Niemna jest gaj poświęcony,
Stary, jak Litwa, jak Litwinów Bogi.
Niemen ramiony objął go sinemi,
Zielone łąki padły mu pod nogi.
Wzgórzem się ciągnie i ku niebu wspina.
A na wierzchołku, wpośród lip zielonych,

W gęstwinie krzewiem splecionėm podszytéj,
Gdzie tylko ptacy swobodni mieszkają,
A człowiek rzadko dociśnie się kiedy,
Jest ołtarz z darna i dzikich kamieni.
Wiejski to ołtarz, i wiejskie ofiary
Palą się na nim: bo wiele ołtarzy,
Wiele po Litwie świątyń pięknéj Mildy [1].
Tu tylko wieśniak wśród nocy, pocichu,
Przyjdzie ukradkiem z ubogą ofiarą,
Koźlęciem młodém, lub gołębiąt parą,
I sam je spali na Bóstwa ołtarzu;
A jeśli dym z nich na Dungus [2] nie wzleci,
Jeśli modlitwy Milda nie usłyszy,
To lip Ragany [3] potém jéj doniosą,
Lub Kaunis [4] karzeł poszepnie do ucha.
A Milda żadną nie gardzi ofiarą,
Nikogo zemstą i gniewem nie ściga,
Szczęściem nagradza, zapomnieniem karze.
Raz w rok tu z Kowna mnogi lud się tłoczy,
Kiedy Karwilis [5] ze snu zbudzi drzewa,
Kiedy się kwiaty w nowe suknie stroją,
Łąki w majowe ubierają szaty.
Gdy cała Litwa święto Mildy święci,

1. Bogini miłości.
2. Niebo.
3. Bóstwa drzew w nich ukryte.
4. B. miłości.
5. Miesiąc *Kwiecień*.

I tu naówczas cisną się pobożni.
Lecz prędko potém zarosną drożyny,
I znowu przez rok głucho u ołtarza.

Czemuż ten człowiek wpośród nocy ciemnéj,
Codzień tą górą po nad Niemna brzegiem,
Czy Menes [1] świeci, czy noc zajdzie czarna,
Zawsze posłuszny cierpieniom, nadziei,
Do Mildy gaju sam jeden przychodzi?—
Pewnie go piękna z pod Kowna dziewczyna
Tu na miłośne zwabiła spotkanie?
Pewnie to miłość noce w dni przemienia
I głuchą puszczę ożywia dla niego?
A może zemsta jeszcze krwią niezlana?
Może wspomnienia, których tutaj szuka?
Może pobożność? Lecz tylu ma Bogów,
Czemuż ten ołtarz samotny polubił?
Nad brzegiem morza, świątynia Praurymy,
Na Swintorozie płonie Znicz odwieczny,
Gdzieś u Dubissy jest drugie Romnowe,
W Kiernowie świecą stare Bogów twarze,
Jest dąb z jemiołą w Zantir u Perkuna,
W Rikajoth ołtarz kapłana kapłanów—
Czemuż tam modlić, czemuż do nich prosić,
Czemuż się kłaniać nie pójdzie tam lepiéj?
Czemuż ten prosty ołtarz wiejskiéj Mildy
Milszy mu nawet od świątyń Kowieńskich,

1. Xiężyc.

Gdzie drogi bursztyn wonnémi wstęgami
Płynie z różami usłanych ołtarzów?

Kto jest ten człowiek? nie poznasz po sukni.
Prosty go ubior wieśniaka okrywa:
Na nogach Wiżos [1] z kory wyplecione,
Łuk ze strzałami przypięty na plecach,
A głowę paszcza niedźwiedzia osłania,
Rudemi włosy jeżąc się na skroni.
Szłyk jego, odzież, obówie Litwina,
Jak gdyby z Numy [2] wychodził na łowy,
Lub wieść o wojnie niósł od Kunigasów [3]
Do chat wieśniaczych rozpierzchłych śród lasów.
Tylko mu laski poselskiéj brak w dłoni,
Tylko pośpiechu brak krokóm, i czoło
Chmurą się myśli sępi i osłania.

Znana mu widać dobrze okolica,
Zatoka Niemna i każda drożyna,
Każdy krzak róży rosnący nad wodą,
I każda ścieżka wijąca się w górę.

Idzie — nie patrzy — same idą nogi,
A myśl daleko gdzieś od niego lata;
Błądzi tam, kędy białe Murgów [4] cienie

1. Łapcie.
2. Chata.
3. Xiążąt.
4. Rycerzy poległych w boju.

Z ojcami w złotych rogach Alus [1] piją
I na skrzydlatych rumakach latają;
Ale zaledwie w lipowy gaj wchodzi,
Gdzie pod leszczyną słowiki śpiewają
I białe róże słodką woń rozlały,
Oczy przed siebie niespokojne zwrócił
I z obcych myśli otrząsł skroń zmarszczoną.
Po ścieżce wązkiéj i dziko zarosłéj
Drze się po ciemku, aż do Mildorohu [2]
Gęstemi krzaki szarpie i przemyka,
Suknię szmatami po głogach rozdziera,
I ręce krwawi, i piersi kaleczy,
A ciągle z okiem na ołtarz zwróconém
Zdyszany śpieszy, przedziera do niego.
Przedarł się wreście, gdzie ołtarz dokoła
Zielona łąka otacza kwiatami;
Stanął; wtém światło z ołtarza zabłysło,
Jak piérwsza gwiazda na zachodniém niebie,
Blade i małe; lecz rosło, jaśniało,
Jak xiężyc młody, lub jak chmurka biała,
Która go czasem swą szatą osłoni
I jego blaskiem z nieba się uśmiecha.
Już ołtarz cały jaśniał mu srebrzysto,
Światło się coraz zwiększało, mieniło,
Aż wreście postać kobiéty przybrało.
Postać to Bóstwa z uśmiechem na ustach,

1. Piwo.
2. Ołtarz Mildy.

Z miłością w oczach, różami na skroni,
Naga, jak dziécię; w jedném ręku trzyma
Czaszę z bursztynu, a w niéj napój wonny.
Nie miód to słodki z Kowieńskich pszczół barci,
Nie Alus biały, który w niebie piją,
I nie Miecionés [1], którym chorych poją:
Bo woń nieznana nad nim się unosi,
Przed którą milczą dzikie róże białe,
I lipy zapach swych kwiatów schowały.

Ujrzał ją Litwin, ona go ujrzała;
Postąpił, ona podbiegła ku niemu,
Czarę na świętym ołtarzu rzuciła,
A sama w jego objęcia upadła;
I jak wąż wierzbę opasuje sobą,
Jak powój, co się na olchach zawiesza,
Jak chmiel, co płoty miłośnie owija,
Tak ona jego oplotła uściskiem,
I drżąc, jak gdyby z boleści, krzyknęła.
— O Romois — woła — o Romois mój drogi!
Jeszcze noc jedna, jeszcze noc roskoszy!
Może ostatnia! bo czyż wiém, jak długo
Miłość się nasza przed Dewajmi [2] skryje?
O! jeszcze jedna! dzięki ci i za nią!
Dzięki, żeś przyszedł jeszcze raz, najdroższy,
I mocniéj kochał, niż się lękał Bogów.—

1. Napój z wywaru krup z miodem.
2. Bogami.

—Jabym się lękał! O Mildo Królowo!
Ja, co cię kocham tak, że na skinienie
Poszedłbym z Jodsy [1], walczyć w tamte światy,
Z Didalisami [2] po czarnych jaskiniach,
Ja, cobym wyzwał braci twoich, Bogów,
Jabym się lękał!—
—Cicho! Romois! cicho!
O! nie wiész, nie wiész, jak straszne są Bogi!
Chcesz walczyć z niemi! Oni i bez boju,
Bez łuku, miecza, oszczepu i procy,
Na biednych ludzi, gdy zechcą, to skiną,
Jedném skinieniem do ziemi przygniotą,
Jedném spójrzeniem słabego zabiją.
Cicho! bo gdyby głos twój usłyszeli,
Naówczas noc ta byłaby ostatnią;
Ostatnią szczęścia, a piérwszą boleści;
Żalu bez końca i łez nieśmiertelnych.
Cicho! Bogowie każde słowo słyszą,
Poszept ich każdy uszu dolatuje,
Każdą myśl ludzką przynoszą im duchy.
Ragana jaka, co w drzewie podsłucha,
Żaltis [3], co się gdzieś czołga pod liściami,
Woda, co płynie, Pucis [4], co powiewa,
I gdyby światła promyk się przecisnął,
Światło, mój miły, nasby oskarżyło.—

1. Złe duchy.
2. Smoki.
3. Wąż.
4. Wiatr łagodny.

Milda skończyła pocałunkiem mowę.
Romois zamilkł, na pierś spuścił głowę.
I w jéj objęciu nie o niéj już myślał.
Ona poznała, co się w myślach działo.
— Miły mój! — rzecze — krótka noc wiosenna,
A ty choć ze mną, nie mój jesteś cały.
I myślą smutną ode mnie uciekasz.
Gdy ja dla ciebie niosę napój Bogów,
Gdy ja dla ciebie z między nich uciekam,
Oni tam myślą, że ja po nad ziemią
Sypię sny słodkie mężóm i niewiastóm,
Że młodych żenię i roskosz rozdaję.
Jam tutaj z tobą, a ten świat już dawno
Nie zna miłości. Ja próśb ich nie słucham,
Nikomu w serce miłości nie wleję;
Wszystkąbym jeszcze odebrała ziemi,
Ażeby sobie zabrać, oddać tobie.
O mój najdroższy! wkrótce to poznają,
Bo w Litwie już się biją, rozdzierają,
W Litwie już niema miłości i zgody.
Lecz co mi po tém, kiedym ja szczęśliwa!
Kiedyśmy razem, jam nie siostra Bogów,
Prosta Litewka i twoja kochanka.
O, czemuż prostą nie jestem dziewczyną,
I z tobą zawsze?! —
— Mildo! nie narzekaj.
Co twoim smutkiem, to jest szczęściem mojém.
Jestże na płaskiéj a szérokiéj ziemi,

W dziewięciu naszéj Litwy pokoleniach,
Taka, którąbym, jak ciebie, ukochał?
Pamiętam jeszcze najpiérwsze spotkanie,
Kiedym tu z Kowna przychodził z ofiarą,
I noc mnie w gaju pod lipą zapadła;
Pamiętam, gdym cię piérwszy raz zobaczył,
Wówczas, jakbym się urodził nanowo,
Piérwszy raz oczy na słońce otworzył.
Cały świat innym zaświecił przed niemi,
I inne serce w piersi uderzyło,
I w oczach jaśniéj i weseléj było.
Prędkom się potém, zaprędko dowiedział,
Żeś ty nie z ziemi, lecz z Bogów krainy;
Że gdy ja tutaj wlokę się znużony,
Pracując gorzko na spoczynku chwilę,
Ty w gajach Lajmy [1] królujesz w Dungusie;
Ty, w złotéj chmurze nad ziemią ciągniona,
Lecisz białemi gołębiów skrzydłami
Nad wonne gaje, błyszczące ołtarze,
Teraz ja jestem jakby Jodsów dusze,
Skazany cierpieć, i widzieć cierpienia
Długie, bez końca, w przyszłości przede mną;
A tobie zawsze lud kłaniać się będzie,
Palić ofiary, posyłać modlitwy;
Ty zawsze szczęście niosąc na swych ręku,
Wzlatywać będziesz nad Litwą wesołą.—
—Nie bój się Romois, bo piorun Perkuna,

1. Słońca.

Nim w ciebie, wprzódy na córkę uderzy.
I ty nie zginiesz, bo ten napój Bogów
Bratem cię naszym nieśmiertelnym czyni.—
To mówiąc, Milda objęła kochanka
I do ust wonną czarę podawała;
Lecz on odepchnął biały napój Bogów,
W ustach jéj szukał słodszego napoju.
—Nie chcę—rzekł do niéj—nie chcę ja być Bogiem,
Nie chcę ja, jak wy, nieśmiertelnym zostać,
Ażeby cierpieć bez nadziei końca
I patrzeć zawsze w chmurne Bogów twarze;
Wolę tak umrzeć, jak ojcowie nasi,
Umrzeć z oszczepem w ręku, w polu bitwy,
I pójść do ojców do wschodniéj krainy.
Nie chcę napoju, bo z twoich ust płynie
Słodszy nad ziemi i nieba napoje.
Nad wonie jego, milsze tchnienie twoje;
Nad całą wieczność, droższa chwila jedna,
Którą ja w twoim uścisku przeżyję.—
To mówiąc, Romois na piersiach twarz tulił,
A ona, smutno patrzając na niego,
—Miły mój!—rzekła—wkrótce będę matką,
Godnego ciebie urodzę ci syna.—
—Syna?! mnie syna?! ty masz mi dać dziécię?!—
Zawołał Romois i ręce załamał:
Bo wieść ta w serce, jak kamień na wodę
Rzucony dziecka swawolnego dłonią,
Padła; jak fale, tak serce rozbiła.




W.S.

—Nie chcesz go?—Milda smutnie go zapyta.
—Ja, syna nie chcieć?! lecz gdzież się z nim skryję?
Kiedy w nim będzie choć iskra niebieska,
Czyliż go Pramżu nie dójdzie na ziemi?
Czyliż żyć dadzą swéj hańby pamiątce?
Czyż go potrafię wychować, obronić,
I ja, człek jeden, od Bogów zasłonić?—
—O mnieś zapomniał—wszak matkę mieć będzie.—
—Gdzież się z nim skryję? kędy go podzieję?—
—Ty bylebyś go od Bogów oblicza
Przez młode lata potrafił zasłonić,
Świat nic Boskiemu nie zrobi dziecięciu.
Wilk go i niedźwiedź przyjmą w dzikim borze,
Pszczoły miód w usta nosić będą biały,
Łanie go karmić, koźlęta go bawić,
Pucis go chłodzić, Ragany okrywać,
Kwiaty się kłaniać, słowiki mu śpiewać.
Syn Mildy z ręki ludzi nie zaginie,
Ani paszczęką źwierz go dotknie krwawą.
Jeden mu straszny jest piorun Perkuna.—
—Lecz czyż go Perkun, co z góry pogląda,
Pomiędzy dziećmi ludzi nie odkryje?—
—Będziesz go chował śród puszczy głębokiéj,
Zdala od oka wróżbitów, kapłanów,
Zdala od miejsc tych, w które Perkun patrzy,
Póki nie wzrośnie, nie nabierze siły;
Potém go oddasz woli przeznaczenia.
On sam potrafi walczyć z swoim losem.

O Romois! czyliż dla twego dziecięcia
W miłości ojca nie znajdziesz osłony,
W ojcowskiéj trwodze nie znajdziesz ukrycia??
Już czuję, jak on na świat się wyrywa.
Jeszcze dzień tylko, a spójrzy na słońce.
O! czemuż dłużéj nosić go nie mogę?!
Czemuż zaledwie piérwszy raz zapłacze,
Już obca ręka usta mu zatuli
I piersi obce pokarm mu podadzą?!
Cierpienie matki w urodzenia chwili
Stokroć jest mniejsze, jak drugie, gdy potém
Dziecię jéj losy na wieki odbiorą,
I ten, którego pod sercem nosiła,
Co żył jéj życiem, od niéj oderwany,
Twarzą ku światu zwróci się cudzemu,
Myślą ku ludzióm obcym się nakłoni,
Sercem za sercmi nieznanych pogoni.—

Gdy im w uściskach, rozmowie czas płynie,
Noc uszła prędko i Auśsra [1] już wstaje,
Błyszcząca toczy na niebo od wschodu,
I już jéj promień do lasu zagląda.
Ujrzał go Litwin, zerwał się wybladły,
Wskazał na niebo rumieniące w dali,
Wyrwał z uścisku i z gaju ucieka.
Ale już Aussra ujrzała ich wprzódy,

1. Jutrzenka.

Ujrzała Mildę w objęciu człowieka;
Bieży w obłoki, gdzie Dungus gwiaździsty
Po nad wysoką górą się rozpina.
Tam Perkun w chmurach, w których śpią pioruny,
Leży, patrzając na świat pod nogami,
Jeszcze ciemnością i snami spowity,
Jeszcze na łonie nocy kołysany.
Aż Aussra wbiega, rozdziera podwoje,
I przed Perkunem zrumieniona staje.
Groźny Bóg okiem przed siebie zatoczył,
I brwi namarszczył, ujrzawszy Boginię.
—Cóż to? ty tutaj, gdy czas na świat tobie?—
— Wracam ja ztamtąd, Ojcze! Com widziała!—
Rzekła, i oczy złociste zakryła.
—Cóżeś widziała?—groźnie Perkun woła,
I wskazał na świat.
—Ojcze! straszne rzeczy!
Wiész, gdzie jest Milda?—
—Zapewne na ziemi.—
—Prawda, w swym gaju; lecz co ją tam trzyma?—
—Noc, to jéj pora. W niéj serca rozgrzewa,
I usta spaja, i sypie roskosze.—
—Ona! A spójrzcie, co się w Litwie dzieje!
Niéma miłości, ni małżeństw, ni zgody.
Ona w swym gaju nie ofiar wygląda,
Lecz u ołtarza pieści się z człowiekiem!!
Oboje razem widziałam przed chwilą,
Kiedy zaledwie uścisk ich się zrywał,

A świętokradźca uciekł Niemna brzegiem.
Ojcze mój! kary na Mildę! piorunu!—

Zatrząsł się Perkun, zagrzmiały niebiosa,
I góry wschodnie zadrżały w posadach,
Czarne się chmury na wiatrach podniosły,
I warcząc, burze i zniszczenie niosły.
Wszyscy Bogowie pobledli, a ludzie
Zbudzeni ze snu, padli na modlitwę.
Porwał się ojciec, i co w ręku trzymał,
Z gniewem wyrzucił na przelękłą ziemię.
Leciał słup ognia i utonął w morzu,
Aż morze prysło, ziemia się strzaskała.
—Gdzież jest ten człowiek? gdzie Milda?—zawołał;
I wnet dwa duchy z pod nóg jego wstały;
Skinął—już oba na ziemię leciały.
Aussra na nieba znowu śpieszy wschodnie,
Ażeby słońce wstające z kąpieli
Uprzedzić chwilą i światu zwiastować.
Tymczasem niebo chmurzyło się, wrzało,
Słońce wschodzące w obłok się nurzało;
Z północy, wschodu, zachodu, południa,
Czarne osłony kryły niebo jasne;
W chmurach już Perkun huczał groźbą straszną,
Przed której głosem, co żyje na ziemi,
Od drobnych muszek aż do dębów świętych,
Tuląc się, płaszcząc, zginało i drżało.

Dwa duchy w chmurach leciały na ziemię,
I, jak dwa czarne słupy, się spuściły,
I na przeciwne strony się rozbiegłszy,
Na rękach wiatru winnych pogoniły.
Grajtas [1] od Mildy gaju się zawrócił,
Puszczą się łamiąc, jak ogar za źwierzem.
A w drodze drzewa walił po za sobą,
Wysuszał błota, wodą zlewał pola,
Piaskami kręcił, mącił rzeki do dna.
Po nad nim chmury, jak nad ścierwem krucy,
Pod nim zniszczenie i postrach leciały.
Biegł, potém stanął, jakby śladu szukał,
I niecierpliwy rył ziemię do głębi,
Kręcąc się w miejscu; potém znowu ruszył,
I stanął znowu. Romois szedł przez puszczę
Z oszczepem w ręku i łukiem napiętym.
Uczuł go Grajtas po woni, uścisku,
Po tchu zaprawnym Bogini oddechem,
I warknął w górze, a potém się groźny
Zwalił na niego, jak dąb na krzewinę.
Lecz Romois, jakby przykuty do ziemi,
Nie zadrżał nawet. Duch podniósł się znowu,
Dokoła obiegł, cisnął wodą w oczy,
Piaskiem i błotem, i drzewy całemi
Miotał na niego, jak deszczem na skałę.
On jedną ręką pociski odpychał,

1. Prędki.

Drugą, jak gdyby widział zemsty posła,
Groził, podnosząc twardą ragotinę. [1]

Ale już Grajtas postać swą odmienił,
Leciał na niego ogromnym niedźwiedziem.
Podobnego mu nadniemeńskie puszcze
Od potopowych czasów nie widziały.
Na grzbiecie czarna sierść mu się jeżyła,
Oczy, jak głównie nocnego ogniska,
Łapy, jak dębu świętego gałęzie.
Stanął, zaryczał; lecz nim padł na niego,
Już Romois, oszczep podniosłszy do góry,
Zwalił go w głowę i czaszkę roztrzaskał.
Wnet Grajtas zrzucił z siebie meszki [2] postać,
I znowu dzikim wilkiem się ukazał.
Zawył, padając pod Romoisa nogi.
On krok odstąpił, ragotinę rzucił,
Oburącz źwierzę za gardło pochwycił,
Strząsnął, i o pień odwiecznego dębu
Nieprzyjacielem z całych sił uderzył;
A w oczach jego nie przestrach milczący,
Lecz gniew wrzał zjadły, z jakim straszne Bogi
W chwili nieszczęścia na ziemię patrzają.
A Grajtas jeszcze przywdział smoka postać,
I jak Didalis [3] w powietrze się wznosił.
Żółtą miał głowę, koronę na głowie;

1. Oszczep.
2. Niedźwiedź.
3. Smok.

Łuskowy pancerz połyskał na grzbiecie
I ogon w sploty zwinięty okrywał;
Na barkach skrzydła skórzane rozpięte,
Pod brzuchem dwoje orlich szpon wisiało.
Świsnął, a płacy padali nieżywi,
I zwierz przelękły gnał się w knieje ciemne.
Ujrzał go Romois, lecz się już nie bronił;
Uczuł, że ludzką nie zmoże go siłą.
I próżno walczyć, i paśćby wstyd było.
Porwał swój oszczep, ostrzem w pierś skierował;
A nim smok z góry spuścił się na niego,
Trup tylko krwawy drgał, leżąc pod drzewem.
Grajtas zobaczył, gdy duch ulatywał,
I znowu wichrem w niebo się zawrócił.

Drugi brat olbrzym gonił Mildy śladem.
Lecz Kierszus [1] cięższą obrał część dla siebie:
Bo któż wyśledzi, kto Bóstwo odkryje,
Co tysiąc kształtów, tysiące postaci
Zmieni na chwilę w jedno oka mgnienie,
Światy przeleci i mija przestrzenie?
Kierszus się ubrał długą szatą chmury,
I czarnèm okiem mierząc ziemię z góry,
Napróżno badał zniklèj Mildy śladów.
To na południe twarzą się obracał,
To ku północy wybiegał zajadły,
To do zachodu z wiatrami się gonił,

1. Mściwy.

I wracał na wschód, a wszystko napróżno.
Nareście drżący od gniewu i znoju,
Wrócił na Dungus, padł u stóp Perkuna,
I warczał tylko, nie śmiejąc przemówić.
—Zkąd wracasz?—spytał straszny Bogów ojciec.
—Biegłem za Mildą, byłem na północy,
Byłem na świata południowym kraju,
I tam, gdzie słońce do kąpieli schodzi,
I kędy ze swych wyjeżdża pałaców.
Nigdzie jéj śladu, nigdzie po niéj znaku,
I wieści nawet nigdzie nie złapałem.—
A Perkun skinął, i Kierszus pod nogi
Padł znowu, jak pies na skinienie pana.
Grajtas czekając, aż go ojciec spyta,
Podnosił głowę i patrzał mu w oczy.
—Cóżeś ty zrobił? Gdzie teraz ten człowiek?—
—Leży zabity w nadniemeńskiéj puszczy—
Rzekł, i pod stopy pana się położył.

Milda wybiegła ze świętego lasu,
I zaraz mieniąc piękną postać swoję,
Niepostrzeżona, to gwiazdą leciała,
To listkiem, wiatróm unosić się dała,
To w chmurach deszczem wilgotnym przesiękłych
Skryta, nie wiedząc, gdzie się kierowała.
W sercu jéj smutno, ciężko, niespokojnie,
A w łonie dziécię gwałtownie się rzuca;
Głowę myśl ściska, ciało mróz przejmuje.

Choć nieśmiertelna, a jednak się lęka,
Bo nadzwyczajną boleść w sobie czuje.
W chwili, gdy Grajtas, rozpostarłszy skrzydła,
Smokiem się z góry na Romoisa rzucał,
Kiedy pierś jego oszczepem rozbita
Ze zwłok zmęczonych uwolniła ducha,
Milda uczuła śmierć swego kochanka.
Duch jego lecąc do wschodniego kraju,
Zaszumiał blizko i mignął koło niéj.
Lecz tyle strachu było w sercu Mildy,
Że nowa boleść już jéj nie dotknęła.
Spójrzała tylko, jękła i leciała—
Gdzie?—sama nie wié. A chmury ją niosą,
A nad nią niebo zagniewane, czarne,
Milczące, jakby przed burzy nadejściem.

Nagle jéj dziécię rzucając się w łonie,
Obudza Mildę z zdrętwiałéj rospaczy.
Czuje, że wkrótce da życie synowi,
Że czas mu począć utrapione życie,
I matce z nim się na wieki rozdzielić.
Lecz gdzie go złoży? komu go powierzy?
I gdzie się skryje, by go na świat wydać?
Myśli, wtém pamięć przychodzi jéj w smutku.

Wgłębi Pragaras [1] jest Poklus, Bóg zemsty.
Twarz jego blada; słupem oczy stoją;

1. Piekło.

Na głowie siwy włos płachtą pokryty;
Czérwona broda na piersi mu spływa,
W których litości nie znajdziesz kropelki.
On męczy duchy, gdy wynijdą z ludzi;
On zbrodniów straszyć zstępuje na ziemię;
On trzykroć stając w oczach występnemu,
Grozi mu póty, aż krwawą ofiarą
Gniewu i zemsty jego nie przebłaga.
Władzca otchłani ma żonę Nijolę.
Niegdyś on sercem namiętném ją kochał;
Lecz młodą jeszcze uniosłszy od matki,
W zastygłém sercu miłość dla niéj stracił,
I zamiast raju, który obiecywał,
Dręczył Nijolę, jak podwładne duchy.

Nieraz już ona zbiegłszy pokryjomu,
Prosiła Mildy, by kroplę miłości,
Choćby kropelkę wlała w serce męża,
I osłodziła wieczność utrapioną,
Bez końca i bez nadziei męczarnie.
Lecz wówczas Milda, Bogini roskoszy,
Nie chciała zstąpić na chwilę w otchłanie.
Miléj jéj było nad Kownem wzlatywać,
Miłośnych Dajnos [1] słuchać z Niemna brzegów,
Z ołtarzy wonne odbierać ofiary,
I sypiąc szczęście, krążyć po nad ziemią,
Błogosławieństwy i dzięki się pojąc.

1. Miłośne śpiewy

Teraz, gdy Milda boleści poznała,
Kiedy już nad nią ręka ojca mściwa
Wisi i grozi nieuchronną karą,
Kiedy się niéma schronić gdzie z dziecięciem,
Wspomniała przecię na prośby Nijoły.
Może Romoisa duch lecąc w tę stronę,
Za sobą biédną pociągnął kochankę.
W chwili się z chmury zsunęła ku ziemi,
I już przed wroty Pragaru stanęła.

Nie było straży u wejścia otchłani:
Bo wszystko od niéj zdala uciekało,
Duchy wysoko po nad nią leciały,
Zwierzęta wrota straszliwe mijały,
I ludzie mimo przechodzić nie śmieli:
A duchy do niéj wepchnięte za karę,
Przykute w głębi na wieki, jęczały,
I wrót już więcéj nigdy nie widziały.
Z paszczy otchłani buchał jęk stłumiony,
Jakby tysiąca nieszczęśliwych głosy,
Którzy po bitwie na polu konają,
I śmierci prędkiéj, cierpiąc, wyzywają.
Milda drżąc w progi piekielne wstąpiła.
Piérwszy raz jeszcze w nieśmiertelném życiu
Słysząc, jak jęczy, jak woła cierpienie,
Wybladła, w otchłań głęboką leciała,
Drżąca, jak listek osiny od burzy,
Pomiędzy duchów uwięzionych tłumy,

Których jęk w smutném sercu się odbijał,
Dwoił w niém, ściskał przestraszoną duszę.
Stanęła wreście przed Poklusa żoną.



Lecz w niéj zaledwie Boginię poznała.
Blade jéj lica męczarnie zorały;
Włos miała siwy i oczy przygasłe;
Kłosisty wieniec usechł na jéj skroni;
I szata czarna, pomięta, zbroczona,
Tuliła kości od boleści wyschłe;
Łono zapadłe i wychudłe ciało;
Na dłoni sparte utrzymując czoło,
Głęboko, smutnie w przeszłości dumała,
Że Mildy nawet wejścia nie słyszała;
Lecz jakby bytność Bogini przeczuła,
Oczy ożyły, wzrok się zapromienił,
I oddech prędszy podniósł piersi wyschłe.
Zadrżała Nijoła, i zwróciwszy głowę,
Padła przed Mildą z krzykiem na kolana.
— Przecięż ty tutaj! litość cię prowadzi!
Patrz na mnie, siostro! Jam tu, jak te duchy,
Jak Jodsów dusze, w otchłani przykuta,
Cierpię, i nie wiém, za co te cierpienia!
Cierpię, i nie wiém, kiedy koniec męce!
Siostro! miéj litość! Ty skinieniem jednem
Możesz odmienić los i nędzę moję
W szczęście, jakiém się tobie mili poją!—
—Co zechcesz, każesz—Milda jéj odpowié—
Zrobię ci wszystko; lecz, siostro, jam sama,
Jak ty, dziś biédna! jak ty! stokroć gorzéj!
Na mnie już Perkun pioruny gotuje,
Za mną olbrzymi wysłani latają;

Tu nawet mogą napaść mnie ukrytą.
O! nie ja ciebie, ty mnie ratuj, siostro!
Mego kochanka zabił ojca poseł.
I za mną gonią; a choć nie zabiją,
Dziécię mi wydrą, rzucą gdzie w przepaści,
Na dziką wyspę, między dzikie źwierzę,
A mnie za karę na morza wygnają,
Wkują do łodzi bez wiosła i stéru,
Na całą wieczność płakać, i łzy moje
Mięszać z białego morza słoną wodą.
Ja ciebie błagam, ratuj mnie, Nijoło!
W serce Poklusa wszystką miłość wleję;
Co mam, ci oddam: młodość nieśmiertelną,
Roskosz, nadzieje, co chcesz, czego pragniesz;
Ja twoje włosy zsiwiałe odżywię,
Serce rozgrzeję, lica zarumienię,
Ciało odżywię i młodość przywrócę,
Lecz ocal dziécię! ocal dziécię moje!
Błagam cię, siostro!— To mówiąc, upadła,
Wzywając Lajmy, rodzących Bogini,
I tak, jak prosta niewiasta, jęczała.
Ale nie boleść jęki jéj wyrwała:
Ona już syna trzymając na ręku,
Łzami tak jego oblewała przyszłość,
Nad ojca losem i nad nim jęczała.

— Siostro! weź — rzekła — weźmij mego syna.
Niech go gdzie prosta kobiéta wychowa;

Niech nie wié, kto mu ojcem, a kto matką;
Niech długo nie wié! Ja po nad nim zdala
Będę czuwała macierzyńskiém okiem.
Dając mu życie, ciężki los mu dałam;
Serca o przyszłość wówczas nie pytałam;
Ale do walki ja udzielę siły.
Wzrośnie on! wówczas drżyjcie nawet Bogi!
Olbrzymy! ludzie! uderzcie mu czołem!
Wszystkich on ziemi mieszkańców zwycięży.
Króle i duchy zdumieni upadną
I harde głowy u stóp jego skłonią.
W kolebce wrogi mogłyby go zdusić.
Ty, siostro, ukryj niepoznane dziécię;
A za to jakiéj zapragniesz ofiary,
Jakiéj zażądasz ode mnie nagrody,
Wszystko dla ciebie, dla niego uczynię!—
Rzecze Nijoła: – Wróć mi męża miłość!
Ja syna twego ocalę, ukryję,
Najlepszéj straży tajemnie poruczę,
I za to tylko chcę kroplę miłości.
O! gdybyś mego życia tajemnice,
Mąk moich wszystką okropność wiedziała!
Co mi z tych ofiar, które ludzie święcą?
Co mi z tych modłów do mnie się cisnących?
Co mi z ołtarzy, które biédni stawią?
Lepiéj mi było, gdym nie żoną Boga,
Lecz wolną była litewską dziewczyną.
Krumine matka próżno się cieszyła,

I z mej młodości na przyszłość wróżyła
Mnie szczęścia wiele, a sobie pociechy.
Porwał mnie Poklus z po nad brzegów Rosi.
Płakałam biedna, lecz nie dzisiejszemi,
Nie temi łzami, któremi dziś płaczę.
Tamto łzy były za matką kochaną,
Dzisiejsze moje za przeszłością całą.
W początkach jeszcze los mój był znośniejszy,
Choć już nie taki, jaki był u matki,
Kiedy po łąkach zielonych biegałam,
I w łzy nie wierząc, z cudzych łez się śmiałam.
Wówczas ja byłam młodą i szczęśliwą,
Póki z nad Rosi przeklętego brzegu
Poklus przez sine nie ujrzał mnie wody,
I do otchłani nie porwał za sobą.
Rok ledwie cały w piekle mi upłynął,
Zaledwie matka z odwiedzin wróciła
Królować w swoim po nad Rosią kraju,
A szczęście moje zaraz się zmieniło.
Zsiwiał włos wcześnie, łzy oczy wyjadły,
Westchnienia piersi dziewicze rozbiły,
Ciału zabrakło i zdrowia i siły,
A duszy szczęścia, którém człowiek żyje.
Poklus ode mnie dzieci poodbierał
I miłość swoję odebrał na wieki,
Samą mnie tylko z pamięcią zostawił!
O siostro! wróć mi choć kroplę miłości
Wróć, jeśli możesz, szczęście choć na krótko!—

A Milda rzekła, wyciągając ręce:
—Podaj mi czarę, z któréj Pokius pije.—
Nijoła śpiesznie złoty róg podała.
Bogini nad nim długi włos czesała,
Szeptała słowa i czyniła znaki.
—Z téj czary—rzekła—gdy Poklus wypije,
Znowu cię piérwszą miłością pokocha,
A miłość jego już nigdy nie minie.
Teraz weź syna! Ja na Dungus lecę;
Tam sama stanę w groźne ojca oczy;
A jeśli na mnie piorunem uderzy,
Jeśli na wieczne męki mnie odrzuci
I nieśmiertelną do Pragaru skaże,
To syn mój, syn mój przynajmniéj zostanie;
A może kiedy za ojca, za matkę,
Może się pomści.—
To mówiąc, sciskała,
Nie mogąc jeszcze z dziecięciem się rozstać;
Rzuciła potém na ręce Nijoły,
I jęcząc, oczy od niego zwróciła,
Żeby nie widząc, łatwiéj go porzucić.
Leciała, więcéj nie zwracając głowy,
A drogę łzami srébrnemi skrapiała;
I gdzie łza padła, kwiat wyrósł na ziemi,
Z spuszczoną głową, a listki blademi.

Stanęła drżąca Milda przed Perkunem.
Wokoło niego siedzieli w milczeniu
Bogi, Boginie i niebieskie duchy.
Wszyscy zadrżeli, gdy na Dungus weszła;
Zdziwienie usta otwarte zamknęło;
Szmer nawet ucichł; i jak się przed burzą
Ciszy szum wiatrów i chmur kołysanie,
Tak w niebie wszystko głębokiém milczeniem
Okryte, burzy czekało ze drżeniem.
A Milda, złote rozpuściwszy włosy,
Z rozdartą suknią, z zapłakaném okiem,
Śmiała stanęła przed ojca obliczem;
I jakby sądu bezbronna czekała,
Niema, wśród Bogów zadziwionych stała.

Wtém Pramżu, który wié, co jest i było,
Pramżu, którego sam Perkun szanuje,
Stary jak światy, a mądry jak wieki,
Podniósł głos cichy wśród milczących dzieci.

—Synu mój!—rzecze, patrząc na Perkuna—
Na przeznaczenia kamieniu wyryto,
Że Milda będzie raz kochać człowieka,
Że się z niéj wielki bohatér urodzi,
I że Bogowie tę miłość przebaczą.
Wiész, że co ręka Przedwieczna wyryła,
Żaden z nas tego, synu, nie przemoże;
Ani ty, ni ja, nie zmienim wyroku.
Nie sądźmy Mildy. Ona już skarana:
Ten, co ją kochał, wszak leży zabity,
I czoło wstydem zranione, i dusza
Boleje ciężko na przestępstwo swoje.

A Perkun zadrżał, piorunami strząsnął,
I wzrok rzucając na Mildę gniewliwy,
—Nie!—rzecze.—Jeśli kamień przeznaczenia
Nosił te słowa, wyryte od wieka,
Że Milda syna mieć będzie z człowieka,
Że Mildzie Bogi jéj zbrodnie przebaczą,
Niéma tam pewnie dziecku przebaczenia!
Niech powie, gdzie je rzuciła kryjomo.
Porwać je zaraz i utopić w morzu,
Albo na pastwę dać dzikiéj potworze.
Wówczas swobodna na Dangus powróci.
Jeśli nie ona, niech dziecko nieprawe,
Zrzucone z ziemi do otchłań Poklusa,
Tysiąc lat płacze nad matki występkiem.
Tak, Pramżu! jeśli jednemu przebaczym,

Wszyscy ztąd pójdą po kochanków ludzi,
I świat zarzucą olbrzymów potomstwem,
Które się kiedyś na Dungus dobędzie.—

A Pramżu, siwą pogładziwszy brodę,
Rzekł znowu:
—Synu! daj pokój dziecięciu.
Jest napisano na odwiecznym głazie,
Że go i Perkun nawet nie zwycięży,
Aż on wprzód wszystkich na ziemi połamie,
I imię swoje na świat cały wsławi.
Gdy nic mu zemsta twoja nie zaszkodzi,
Za cóż go nękać, jéj serce rozdzierać?—

—Jest napisano, że ja, pan piorunu,
Ja, co gdy w ziemię uderzę, drży cała,
Ja, co gdy ześlę dwóch tylko olbrzymów,
Morza jéj z brzegów na ludzi wyleję,
Ja, co skinieniem gniotę głów tysiące,
I, jak robactwo, oddechem wymiatam,
Ja nic nie zrobię? i komuż? dziecięciu?!

—Jest napisano na przeznaczeń głazie.
Tego wyroku nikt z nas nie odmieni.—
Słysząc to Milda, dziękowała Pramżu
Pocichu sercem, wzrokiem i westchnieniem;
A potém śmielsza o dziécię kochane,
Groźnemu Bogu w oczy przystąpiła.
—Ojcze mój!—rzekła—takżéś to dziecięciu,
Takżéś to Mildzie, córce twojéj, srogi?

Czyżem na taką zasłużyła karę,
Że raz w lat tysiąc, ja, co miłość daję,
Ja, co nią życie na ziemi osładzam,
Rzucając między tyle cierpień, znoju,
Żem jej dla siebie jedną kroplę wzięła?
Czyż wina moja nie do przebaczenia?
Bogini morza kochała rybaka—
Piorun twój, Ojcze, strzaskał jéj pałace
I nad wodami odebrał królestwo.
Toż będzie ze mną? toż będzie z dziecięciem?
Nigdyż nikomu nie przebaczysz? Ojcze!
Człowiek przez twego posła dziś zabity,
Wart był miłości. Nie prosty to wieśniak.
Oblicze Boskie w urodzenia chwili
Dała mu Lajma, i duszę tak czystą,
Jak duchów, które na Dungusie siedzą.
Romois, Perkunie, wart był téj miłości,
I on się do niéj przeznaczony zrodził.
Jak on, drugiego nie widziała Litwa;
Od tego morza, co jéj brzegi płócze,
Aż po te drugie, którém świat się kończy,
Jak on, drugiego nigdy nie zobaczy.
Za cóż mnie karać? za co dziécię moje?
Jeśli kto winien, winno przeznaczenie,
A po niém, Ojcze, nie dziécię—ja, matka!—

A Perkun na to zawoła ze złością:
—Twój syn się kiedyś, jako syn Bogini,

W niebo bić będzie. Ziemia mu zamała,
Świat mu zaciasny i morza zapłytkie;
Wszystko tam będzie dla niego nikczemném.
Zechce tu głową dostać do Dungusu,
Pod nogi moje będzie bił ciemieniem,
A wówczas może i ja go nie zmogę.—
—Ojcze mój! syn to słabego człowieka.
On nigdy wzrokiem nie sięgnie wysoko.
Dosyć mu będzie świata, wody, ziemi.
Nigdy on nad to więcéj nie zapragnie!—
—Jeśli po ojcu wziął serce potomek,
On tak, jak ojciec, sięgać będzie Bogów.
Nie! ścigać za nim będą duchy moje.
Gdziekolwiek Grajtas to dziécię odkryje,
Niech je utopi, zamęczy, ubije,
Niech je do morza głodnym rybóm rzuci,
Niech puszcz źwierzętóm odda na pożarcie,
Lub duchóm w piekieł zapędzi otchłanie,
Byleby wstyd ten nie mieszkał na ziemi.
Tobie przebaczam, lecz nigdy dziecięciu.
Biada mu, jeśli Grajtas je odkryje!
Puszczam go za niém, jak za dzikim źwierzem
Puszczają strzelcy zajadłe ogary.
Niechaj przetrzęsie ziemię z końca w koniec,
Niechaj go szuka wszędzie, i w otchłani,
I wgłębi wody, na puszczach u źwierza,
Gdzie tylko żywych głos jaki usłyszy,
Gdzie ziemia rodzi, a twór jaki dyszy.—

Słysząc to Pramżu, potrząsł głową siwą,
I milczał stary, a mówił oczami:
— Nic mu nic zrobi duch zemsty Perkuna,
Aż wprzódy wszystkich zwycięży na ziemi
I największego z swych wrogów pokona.—

Mildzie się z oczu srébrne łzy puściły,
A serce piersią wezbraną rzucało.
Boleść jéj widząc zazdrośni Bogowie,
Szeptali z śmiechem, zemstą się cieszyli,
Palcem zajadli, szydząc, wytykali.
A Grajtas, głowę zwiesiwszy z obłoka,
Wzrokiem zabójczym patrzał się na ziemię.
Wtém usnął Pramżu, w Dungusie milczenie,
Perkun twarz groźną od Mildy odwrócił
I nogą duchy na ziemię wyrzucił.



MILDA zleciała z Kaunisem na Litwę,
Nad martwe ciało swojego kochanka.
Łatwo ślad było znaleźć, kędy bieżał:
Bo Grajtas, goniąc, drzewa powywracał,
Bo ziemię poryl, porozlewał wody,
Széroką drogę rozesłał za sobą.
Śladem więc biegła Milda, kędy ciało
Martwe, bez duchu, wgłębi puszcz leżało.

A tam już ojciec, i bracia, i siostry,
Nad trupem jego łzy lejąc od rana,
Kładli stos wielki ze smolnéj sośniny.

W dolinie, którą głuchy las otaczał,
Wpośrodku któréj pagórek zielony
Wznosił się darnem i krzewem okryty.
Na nim to łoże Romoisa usłano,
I zimne ciało z oczy zwróconemi
Ku wschodniéj ojców leżeć miało ziemi.
Kapłani, z Kowna na pogrzeb wezwani,
Siedémkroć białym pasem przepasani,
Mieczem na duchy piekielne machając,
Krzycząc, od ciała precz je odpędzali;
Potém je kładli na wierzchołek stosu,
Gdzie go już łoże słomiane czekało.
Na niém w wojenném spoczywał ubraniu,
Z mieczem u boku, łukiem i oszczepem.
Na szyi jego ręcznik wisiał biały,
A w węźle pieniądz na wieczności drogę.
Przy nim kładziono oręże rycerza,
Gięty łuk jego, sahajdak i strzały,
Drzewce, oszczepy, i dwa miecze białe,
Drogie dwa miecze, jakim w Litwie całéj
Może dwóch drugich podobnych nie było,
Chyba na skarbcu u piérwszego Xięcia.
Kładli dokoła sprzęt jego wojenny,
Krzycząc na duchy starzy Lingussoni [1];
A krewni wiedli psy jego najmilsze,
Białe sokoły, które pieścić lubił,
Konia siostrzyną karmionego ręką,

1. Kapłani pogrzebowi.

I brańców kędyś z dalekiego kraju,
Których wziął Romois u białego morza,
Gdy z wielkich łodzi wypadli na Litwę.
Kapłan miał węgiel ze Znicza ołtarzów;
Modląc się, dmuchał i ogień podłożył;
A płomień, skwarcząc, stos z dołu opasał,
I żółtém objął dokoła ramieniem.
Naówczas dwakroć boleśniejsze głosy
Z tłumu się krewnych i przyjaciół wzbiły;
I Milda, lecąc smutna po nad ziemią,
Łzę nieśmiertelną nad stosem wylała;
A łza jéj padła na piersi zmarłego
I pożegnanie ostatnie im dała;
A duch je uczuł we wschodniéj krainie,
I za żywotem westchnął upłynionym.
Daleko w puszczy rozległy się głosy,
Raz cichsze, znowu wrzaskliwe, płaczące,
To w śpiew zmienione, to w jęki boleści.
Krewni z oczyma na stos wlepionemi
Taką pieśń smutku z kapłany nócili:

RAUDA.

Czy ci co brakło? czy ci źle było?
Po coś nas, bracie, porzucił?
Czy głodno w domu, z nami niemiło?
Czyli cię z nas kto zasmucił?

Czyś nie miał w źwierza bogatych lasów?
    Nie miał oszczepu na łowy?
Czyś nie miał w twojéj chacie zapasów?
    Czyś nie miał złożyć gdzie głowy?

Czyśmy cię, bracie, nie dość kochali?
    Czyliś niewierną miał żonę?
Czy dzieci twoje cię nie słuchali,
    Żeś uciekł w daleką stronę?

Po cóżeś, po co samych zostawił?
    Po coś nas, bracie, porzucił?
Matce i żonie serce zakrwawił,
    Braci i siostry zasmucił?

RAUDA II.

WEJDALOTA.

Poszedł, gdzie cienie ojców wołały,
Na wieczności góry wschodnie,
Puszczać na Jodsów zatrute strzały,
Pić z ojcami Alus biały,
Źwierza uganiać swobodnie.

Rzucam ci na stos rysie pazury,
Jastrzębie i orle szpony.
Niemi się wdrapiesz na strome góry,
Przejdziesz przepaści, przebijesz chmury,
Wejdziesz w kraj ci przeznaczony.

RAUDA III.

TILUSSONI I LINGUSSONI.

Widzim ducha — na wschód leci;
Dziarski pod nim koń;
Na nim zbroja srébrna świeci;
W złotym hełmie skroń.

Już po płaskiéj drodze ściga
Przez nieba na wschód;
W każdym ręku trzy gwiazd dźwiga,
Które z nieba zmiótł.

Na ramieniu sokoł siada,
I pies bieży w ślad,
I przyjaciół z nim gromada
W wschodni lecą świat.

Za nim ojców cienie płyną,
Gwiazdy świecą z gór—
Lecą, lecą, lecą, giną
W złotym płaszczu chmur.

RAUDA IV.

LINGUSSONI.

Nie płaczcie po nim — tam kraj swobody,
Tam ojców naszych świat;
Tam wiecznie silny, na wieki młody,
Nie przeżyje swych lat.

Nie płaczcie za nim—jemu tam lepiéj:
Bo Lachów niéma tam;
Rusin i Niemiec go nie zaczepi;
Ze swemi będzie sam.

Z cieniami ojców, z Kunkietojami [1]
Jodsy tam będzie gnał;
Będzie miał dzikich źwierząt stadami,
Sto łuków, tysiąc strzał.

Będzie pił Alus żubrów rogami;
Cienie wrogów będzie bił;
Siędzie do uczty wielkiéj z Murgami [2],
Będzie jadł, strzelał i pił.

RAUDA V.

WEJDALOTA.

Duch jego już się na Anafiel [3] drapie
Po śliskiéj drodze szponami jastrzębia,
Pazury wilcze i rysie zagłębia,
A koń drży, parska i chrapie.

Napróżno Wiżun [4] wygląda z pieczary,
Z paszczą otwartą patrzy na rycerza.
On w górę patrzy, nie widzi poczwary,
W górę on patrzy i zmierza.

1. Cienie rycerzy.
2. Duchy szczęśliwe.
3. Góra wieczności.
4. Smok pilnujący góry Anafielas.

Oto już wdarł się, psy za nim i sługi,
I sokoł leci, i trzy gwiazdy świecą,
I orszak cieniów wlecze się z nim długi—
Wszyscy razem na wschód lecą.

Słuchając pieśni, płakali przytomni;
A płomień, coraz wyżéj wznosząc głowę,
Konia, i trupa, i psy, i sokoły,
Gęstemi sploty dokoła otaczał;
Potém, gdy wiater na dół go odrzucił,
Czarne na stosie skwarczyły się ciała,
Których już nawet przyjaciela oko
I serce matki rozpoznać nie mogło.

A niewolnicy, wyciągając ręce,
Jęcząc boleśnie, rzucali się z stosu
Ku swoim żonóm, co biedne płakały,
Ku dziecióm, które na nich zawołały,
Ku braciom tęsknie patrzącym za niemi;
I koń się zrywał na pasze zielone
W stepy i lasy do rżącego stada;
Psy wyły smutnie za braćmi ogary,
Brzęcząc łańcuchem, co je w ogniu więził;
I sokoł próżno skrzydły wzniesionemi
W chmury chciał lecieć z ptaki krążącemi.
Wszystko płonęło, aż Romoisa ciało
Wkrótce się w zgliszcze i popiół zmięszało,
I z niemi razem tocząc się na ziemię,
Nierozpoznane z przed oczu zniknęło.

I było słychać tylko ognia głosy,
To syk, to chrzęsty, to główni trzaskanie;
Czarny dym wlókł się głęboko w dolinie
Stos obalony stał się węgla kupą
I gasł powoli.
Wówczas przyjaciele
Poszli i kości szukali w popiele;
Zebrali szczątki, w naczynie zamknęli
I do naddziadów ponieśli mogiły.
Tam razem, co kto najdroższego nosił,
Złoto i bursztyn, łańcuchy, pierścienie,
Rzucano na grób, by na tamtym świecie
Znalazł, co tutaj za życia używał.
I łzy zebrane, po zmarłym wylane,
W naczyniach u stóp jego położyli;
Na skroń mu węża kładli święconego,
Który troistém opasał je kołem,
Jak wał od duchów wznosząc się nad czołem.

A gdy mogiłę zaparto kamieniem,
Gdy Tilussoni modlitwy skończyli,
Kiedy Kabiróm [1] wylano ofiary,
Młodzież, na grobie goniąc z oszczepami,
Zmarłego mienie bojem zdobywała,
I smutną kończąc ten obrzęd biesiadą
Na grobie, ojców śpiewami żegnała,
Kości od uczty i Romoisa cząstkę
Bogóm podziemnym kładąc na ofiarę.

1. Duchy podziemne.

Aż zgasły ognie, rozpierzchły gromady,
I pusto znowu w dolinie i w lesie.
Z krewnych nie jeden żal na sercu niesie,
I wspominając o Romoisa czynach,
Smutny do chaty bezpańskiéj powraca,
Gdzie z sutą ucztą stypa gości czeka,
A próżny stołek, miska wywrócona,
Zmarłego oczom i sercu wspomina.

Milda na wszystko z wysoka patrzała,
I nieśmiertelna, kryjąc boleść w sercu,
Poszła do Kowna, gdzie ją nad ołtarze
Próżno pieśniami stęskniony lud wzywał.


IJOLA dziecię ukryła do nocy
Zeszła na ziemię, gdy Poklus usypiał,
Niosąc je z sobą, nie wiedząc, co począć,
Tuląc płacz dziecka uściskiem trwożliwym.
Szła pustym światem, bez myśli przed siebie.
Smutna noc w czarnéj po nad nią osłonie,
I chmury płyną od północy ciężkie,
I wiatr wierzchołki drzew zgina do ziemi.
Aż drogi w troje przed nią się rozłamią.
Stała, i myśli, którą pójść, Nijoła.
A wtém na pamięć matka jéj przychodzi,
Matka tak dawno przez nią zapomniana,

Do któréj dotąd nie śmiała zaglądać,
Żeby jéj swoich nie odkryć boleści.
Więc w prawo ku niéj prędko się zawróci,
I bieży bez tchu po nad Rosi brzegi,
Gdzie gród Kruminy i zamek na górze.
Wszystko tam razem z słońcem spać się kładło,
Wszystko spokojnym snem już spoczywało,
A Brekszta [1] lała słodkie sny na głowy,
Które po ciężkiéj pracy koło roli,
Nim w niebie Aussra, xiężyca kochanka,
Uśmiechem dniowi otworzyła wrota,
Krótkiéj roskoszy w spoczynku szukały.
Wokoło zamku, wiatrami drażnione,
Zboża na łanach także spać się zdały,
I jakby do snu lekko kołysały.
Wirszajtos domu i chlewów pilnował,
A Usparinia, siedząc nad granicą,
Zbłąkane stada bydląt odpędzała
Od plennych łanów i kwiecistych grządek.

Weszła Nijoła na ojczyste progi.
Serce wspomnieniem młodości jéj biło,
A w oczach łzami zroszonych się ćmiło:
Bo przypomniała te młodości lata,
Których i w niebie zapomnieć nie można;
Chwile złocone, które Bogi ludziom
Kładną na brzegu czary przeznaczenia.

1 Bogini snów.

By ich wspomnieniem reszty życia słodzić;
Chwile złocone, które im są dalej,
Im je człek głębiej za sobą porzucił,
Tém częściej pamięć w przeszłości je ściga.

U wrót się czujne psy szczekiem ozwały,
Lecz, jakby córkę swéj pani poznały,
Padły jéj u stóp i nogi lizały;
Czujni parobcy, pałacowi stróże,
Z snu poczętego z strachem się zerwali;
Krumine sama uwieńczoną głowę
Podniosła z łoża, w podwórzec wyjrzała.
O! gdzież dziecięcia macierzyńskie oko
Nie ujrzy zdala, zdała nie przeczuje?
Nim na krużganki Nijoła wstąpiła,
Już ku niéj matka biegła niespokojna
I w progu jeszcze uściskiem witała;
Lecz widząc dziécię na ręku Nijoły,
—Cóż to jest?—rzecze—to niemowlę twoje?
Czyli cię Poklus z niém razem wypędził?—
—Nie, matko!—rzekła—dawno nie mam dzieci,
I wnuki moje ode mnie odbiegli!
To obce dziécię, to dziécię Bogini,
Pod twoję, matko, przynoszę opiekę.—

Naówczas długo jęła opowiadać
Naprzód o Mildzie, a potém o sobie,
Swojego życia i losu nie tając.

Nieraz Krumine łzami się oblała:
Lecz kiedy wolę przedwieczną wspomniała,
Którą w Staubunów [1] wyczytała lesie,
Wyrytą ręką Pramżu na kamieniu,
Cieszyła córkę, nie śmiała wstrzymywać;
I polecając Budintoj [2] opiece,
Nazad do męża ze łzami wysłała.

1. Smoków las.
2. Bóstwo czuwania, opieki, straży.



KRUMINE dziécię w głębią puszcz oddała
Prostéj kobiécie, żeby ukrytego
Perkun nie dójrzał w nieznanym zakącie,
W prostéj, ubogiéj niewolnika Numie [1].
Tam ssąc pierś czarną, w chłodzie i ubóstwie,
Szmatą okryty, syn Mildy Bogini
Z dzieciństwa wyssał bogactwa pogardę

1. Chata.

I siły w życiu do walki potrzebne.
A dzicy jego przybrani rodzice
Widzieli nieraz z przestrachem i trwogą,
Jak święty Żaltis [1] w kolebce go pieścił;



Jak psy się, przed nim korząc, kładły drżące;
Jak nieraz, kiedy sam jeden na dworze
Igrał z swojemi braćmi i siostrami,
Wilk wyszedł z lasu i pełznął ku niemu,
A przypełznąwszy, lizał jego ręce;
Nieraz też orły, puszcz odwiecznych dzieci,
Niosły mu z krajów dalekich podarki,
Z drzew nieznajomych gałązki zielone,
Z nieznanych brzegów kwiaty niewidane:

1. Wąż święty.

Gdy usnął w cieniu u dębu starego,
Gołębie dzikie wokoło siadały
I do snu słodkim głosem wyzywały.
Widzieli biedni, i pojąć nie mogli;
A dziécię obce mieniąc jakimś Bogiem,
Puszczy mieszkańcy kłaniali się przed niém
I troskliwemi słonili pieszczoty.



Już młody Witoł, bo tak go nazwano,
Rósł w siły, swoich rówiennych prześcigał,
Codzień postawy nabierając męzkiéj.
Probował łuku, probował oszczepu,
I radby dawno poleciał na łowy,
By z dzikim wilkiem lub czarnym niedźwiedziem
Piérwszy raz siły i serca sprobować.
Nieraz na klęczkach ojca o to prosił;
Lecz on się lękał, od dnia do dnia zwlekał,
Namawiał jeszcze, by większych sił czekał.
Jemu już nudno w ciemnéj chacie było,
Ciasno w ogródku, podwórku, dolinie,
I wzgórza nie miał, zkąd spójrzeć daleko,
A roił piękne oddalone kraje,
Przygody, walki, inne jakieś życie.
Naprożno stary do roli namawiał,
Próżno mu woły do jarzma zaprzęgał,
I owce kazał pędzać w lesne pasze.
Witoł go słuchał; lecz smutny, milczący,
Czuł, że nie o tém serce mu gadało,
Że insze losy, życie miał przed sobą.

Bracia i siostry próżno go pytali.
On milczał, albo od rozmów uciekał.
I dumał, patrząc na głębię puszcz ciemną.
Naprożno matka, któréj pierś ssał dziécckiem,
Chciała wesołém słowem go rozchmurzyć.
Milczał, i jakby słów jéj nie usłyszał,
Jak wprzódy smutny, jak wprzód, czegoś dumał.

Raz wieczór, ojciec gdy z łowów powrócił.
I dziką sarnę przyniósł ustrzeloną,
A wilczą skórę, świeżą krwią zbroczoną,
Rozścielał, żeby obeschła z posoki,
Witol ognistym zmierzywszy go wzrokiem,
Rzekł doń:

— Ojcze mój! nie wytrzymam dłużéj
W chacie tak zawsze siedzieć u ogniska.
Czemu ja z tobą nie idę na łowy?
Czemu sam jeden mam roli pilnować,
Albo gnać trzody i wilki odstraszać?
Czy nie mam siły? czy mi brak odwagi?—
—Lat nie masz—ojciec odpowiedział stary.
—Jeśli mam siłę, do czegoż mi lata?—
Wrąc, niecierpliwie Witol na to rzecze—
Na co mam gnuśnieć i dymić się w domu;
Tak, jak kobiéta, nie odstąpić progu,
I życie nudne bydlęcia w zagrodzie
Wlec bez ustanku? O ojcze mój drogi!
Weź ty mnie z sobą! pozwól mi oszczepu!

Zobaczysz, jeśli śmiało nie uderzę,
Jeśli ci skóry świeżéj nie przyniosę.—
—Jeszcześ zasłaby—znów stary odpowié.
—Jeszczem zasłaby? Ojcze! patrzaj siły!—
To mówiąc, oszczep wiszący na ścianie
Porwał i strzaskał zgięty na kolanie,
A reszty jego, jak trzcinę, odrzucił;
I spójrzał dumny, a pierś mu westchnieniem
Wzniosła się, ogniem blada twarz spłonęła;
Otrząsnął włosy i stanął milczący.
A stary patrzał na drzazgi oszczepu,
To na młodzieńca, to na swoje dzieci,
I już nie wiedział, jak mu odpowiedzieć.
— Ojcze! mam siłę! Jutro dzień mój piérwszy—
Zawołał Witol i ukléknął przed nim;
A silne ręce ścisnąwszy, wejrzeniem
Błagał, ażeby znów mu nie odmówił.
—Jutro, wszak prawda?—
—Jutro dzień złowrogi —
—Po jutrze, ojcze! po jutrze, lub nigdy!
Pozwolisz, albo już ja sam polecę,
Pójdę, a więcéj nie powrócę nigdy;
Będę się błąkał po puszczy głębokiéj,
Bo mi kobiéce obmierzło już życie;
Pójdę i dam się zabić gdzie na wojnie,
Bo dom mi obrzydł i spokój nasycił,
Bo serce w świat się oddawna wyrywa,
I nad to życie, śmiercbym wolał raczéj.—

Naówczas matka przybiegła i wzrokiem
Mężowi jakiś tajemny znak dała;
A starzec wyrzekł cicho i nieśmiało:
— Jutro złowrogi dzień — nie ruszym z domu.
Po jutrze, synu, twoje piérwsze łowy. —
Witol z radości nogi mu całował,
I matkę ściskał, i z braćmi się pieścił,
I drugi oszczep smalił i probował,
Łuki naciągał, ragotinę rzucał.



Już wszyscy we śnie szukali posiłku,
A on w noc późną przy zgasłém ognisku
Jeszcze tak czuwał, dumając o łowach,
O owym świecie nieznanym, dalekim,
Rad, że swéj siły w zapasach sprobuje,
I pocznie życie, którego tak żądał.





DY on tak duma, Grajtas świat przebiega,
Nad każdém długo przesiada dziecięciem.
Naprożno chaty, zameczyska, chrominy,
Naprózno budy odwiedza wieśniaczc—
Nigdzie nie może znaleźć Mildy syna.
Gdy się tak biedzi i naprożno szuka,
Spomniał nareście o prządkach żywota,
Które nić życia każdego człowieka
Snują, wieszając gwiazdkę w końcu nici,
A z reszty tkają płótno jego losu.

Spomniał, i poszedł, gdzie na górze w lesie,
Z wschodzącém światłem kochanka jutrzenki,
Siadały Bóstwa na siedmiu kamieniach.
Piérwsza Werpeja z niebieskiéj kądzieli
Przędła nić długą, jak przez ziemię całą,
Na niéj gwiazdeczki błyszczące wieszała,
I nici resztę Metantiéj dawała.
Ta snuła przędzę na płótno Audietoj.
Nukirptoj, w ręku trzymając nożyce,

Czekała chwili, kiedy Pramżu z góry
Wyznaczył śmierci godzinę dla człeka;
Wówczas odcięła płótno, nić od gwiazdy;
I gwiazda, gasnąc, na grób poleciała,
Padła na stosie i znikła na wieki.
Ykszłaltoj płótno życia w świętéj rzece
Z brudów obmywszy, oddawała Bogóm.
Lecz pośród pracy Gadintoj złośliwa
Coraz to siostry gadaniem odrywa,
Plecie im dawne światów, Bogów dzieje.
Nieraz, słuchając, gdy płótno porzucą,
Znajdą pocięte, poszarpane przez nią.
Próżno Sargietoj siostry upomina,
Próżno je budzi, do roboty wzywa.
One o wszystkiém zapomną zdumione,
Słuchając zdradnéj Gadintoj piosenki,
Albo odwiecznych powieści o Bogach.
Do nich szedł Grajtas do świętego gaju,
Nad święty strumień; niewidzialny stanął;
I kiedy siostry Witola nić przędły,
Kiedy Audietoj czyste płótno tkała,
W usta Gadintoj kładł dzikie powieści
I cudne piosnki do ucha podawał.
Sama Sargietoj umilknąć musiała,
A on nić życia rwał, targał i plątał.

—Znacie—wołała—weselną pieśń ziemi?—
—O! cicho! siostro!—Sargietoj błagała—

Do pracy żywo! nie piosnek nam słuchać!
Jeszcze tak wiele do rana zostało.
A wkrótce Aussra dnia otworzy wrota.
Pracujmy skorzéj, dajmy pokój pieśni!—
Sargietoj woła, a Gadintoj śpiewa,
Wszystkie słuchają, rzuciwszy robotę,
A Grajtas targa, plącze nić żywota.

PIEŚŃ WESELNA ZIEMI.

Nie dziś to, ani wczora, w pierwszą wiosnę ziemi,
Kiedy była dziewicą, niebo ją kochało;
Słońce z xiężycem radami wspólnemi
Gwiazdy za orszak weselny jéj dało.

Kto na weselu koła tańcerzy powiedzie,
I kto im wieńce uplecie na czole?
Ty, słońce, pójdziesz z śpiewaki na przodzie,
Promienie twe rozsypiesz po tanecznéın kole.

Kto przed dziewicą ślubną poniesie pochodnię,
Aby z nią do miłości mogła trafić kraju?
Srébrno-włosy xiężycu, świecący pogodnie!
Do zielonych lip Lajmy zaprowadzisz gaju.

A kto nam będzie śpiewał do tańca i skoków
Przez dziewięć dni wesela, w radosne godziny?
Ty, jutrzenko, co świecisz z porannych obłoków,
Ty rozbudzisz twą pieśnią lasy i doliny.

Któż nam przyszłość wywróży naszéj pannie młodéj?
Oto wieszcz występuje, z za chmury wypływa;
Stary prorok, kometa, idzie siwobrody,
Idzie, i tak się odzywa:

Dziś dészcze, jutro śniegi,
Na łąkach owce pasą się stadami,
Złoto i perły biją o jeziora brzegi,
Ale nie zawsze będzie pokój z nami.

Bo złe przyjdzie od dzieci,
Bo bracia się pokłócą,
Dwa serca zerwie trzeci,
Ręce się popchną, serca się porzucą.

Ciemno będzie na niebie,
Xiężyc napół się skryje,
Gwiazdy pójdą od siebie,
Ciemność ziemię obwije.

A matka rano wyjrzy na niebiosy,
Będzie płakała i czesała włosy,
A czarny obłok ramiona rozszérzy,
I z niego piorun ojcowski uderzy.—

Ledwie skończyła, a już nóci drugą:
—Słuchajcie, siostry, jutrzeńki wesela,
Słuchajcie, siostry, nieszczęścia jutrzeńki:

Na wesele jutrzeńki
Perkun jedzie przez wrota,
Dąb zielony druzgota.

—I zbroczył mi sukienki!
Krew, co z dębu wytrysła,
Na wianeczek mój prysła.—

Trzy lata słońca dziécię
Chodziło i płakało,
Poschłe liście zbierało.

Pyta matki:—Gdzie w świecie
Znajdę wodę, by zmyła
Krew, co suknię zbroczyła?—

—Idź, córko moja miła!
Jezioro w cudzéj stronie,
A w niém dziewięć rzek tonie.—

—A gdzież będę suszyła,
Gdzie wywieszę wypraną,
By wiatr bielił zwalaną??—

—Powiesisz ją w ogrodzie,
W którym dziewięć róż w kwiecie
Zobaczysz, moje dziécię!—

—Kiedyż włożę na siebie
W cudnéj wodzie zmoczoną,
Cudnym wiatrem suszoną?—

—W tym dniu, kiedy na niebie
Ukażą, dziécię moje,
Dziewięć słońc lica swoje.—

Jeszcze głos pieśni płynął po dolinie,
Jeszcze go prządki, dumając, słuchały,
Kiedy Sargietoj, załamując ręce,
Nić poplątaną z przestrachem wskazała.
Lecz Dejwas [1] próżno chciały ją rozpłatać,
Bo już Gadintoj, której Grajtas szeptał,
Taką powiastkę zaczynała prawić:

ŻALTISOWA ŻONA.

Poszła Egle [2] z siostrami o wieczornéj porze
Kąpać się niedaleko od sioła w jeziorze.
Biegły w rozmowach wieczorne godziny,
Tyle tam siostry do mówienia miały.
Już Menes świecił, kiedy trzy dziewczyny
Do swoich koszul wracały.
Lecz Egle, krzycząc, na drugie zawoła:
— Patrzajcie siostry! dziwna rzecz się stała;
Koszula moja leżała na trawie,
Teraz wąż siedzi w rękawie.
Jak go wypędzić? co na siebie włożę?
Któż mi da radę? kto mi tu pomoże?

Starsza mówiła:— Kijem go zabiję.—
Młódsza mówiła:— Wystraszę kamieniem.—
Lecz wszystkie stały, wyciągały szyje,
I nic nie śmiejąc, patrzały ze drżeniem.

1. Boginie.
2. Jodła.

A wąż, co w rękawie siedział,
Tak, sycząc, Egle powiedział:
— Wyjdę sam, jeśli dasz słowo,
Że zostaniesz moją żoną.—
Przestraszona taką mową,
Egle kryje twarz spłonioną.

— Ach! ach! czyż to być może?
Na cóż żartować ze mnie?
Wyjdź! tak zimno na dworze,
Wyjdź! niech koszulę włożę,
I nie męcz mnie daremnie.—
A wąż, potrząsając głową,
Powtarzał wciąż jednakowo:
— Daj mi słowo, daj mi słowo!!—
— Proś sobie ojca, matki.
Oni myślą o mężu.
Mnie czas wracać do chatki.
Wynijdź z rękawa, wężu!—
A wąż, potrząsając głową,
Mówił ciągle jednakowo:
— Daj mu słowo, daj mi słowo!—
Aż Egle płakać zaczęła.
Starsza jéj szepce do ucha:
— Daj mi słowo, on usłucha.
Ty, byleś koszulę wzięła.
Cóż ci przyrzec mu zaszkodzi?—
Egle się niby uśmiecha,

—Będę twoją!—rzekła zcicha,
A wąż z rękawa wychodzi.

Ledwie wrócili do chaty,
Krzyk na siele, krzyk na dworze:
—Jadą swaty! jadą swaty!—
Egle kryje się w komorze.
Trzech wężów na necce jedzie
Z podniesioną w górę głową,
I jeden starszy na przedzie
Z taką występuje mową:
—Żaltis o swoję prosi narzeczoną.
Dała słowo, jest mu żoną.
Stu nas świadków to słyszało.
Poblogosławcie rodzice
I oddajcie nam dziewicę,
Bo co się stało, to stało.—

A ojciec z matką płakali w komorze.
—Biedna Egle dała słowo,
Ale czyliż to być może,
By była żoną wężową?
Nie!—I biegną do sąsiady.
—Ragutieno! daj nam rady,
Co począć z temi swatami?—
Stara w głowę się skrobała
I taką im radę dała.
—Byle co węża omami.

Zamiast córki, gęś im dajcie,
I co prędzéj wyprawiajcie.—
Jak kazała, tak zrobili.
Swaty w neckę gęś wsadzili,
Dziękowali i sykali.
Wsiedli i pojechali.
Jechali aż w koniec sioła,
I sioło przejechali,
I ciągnęliby daléj,
Aż kukułka im woła:

—Kuku! kuku! kuku!
Co to się wam stało?
Wzięliście gęś białą!
Kochanka wężowa
W komorze się chowa.
Boją się rodzice
Oddać wam dziewicę.
Lecz dłużéj nie schronią.
Wróćcie swaty po nią.
Kuku! kuku! kuku!—

Jak jechali, wrócili,
I stanęli przed chatą,
Z gniewem gęś wyrzucili.
—My jechali nie na to!
Ale po narzeczoną,
Po Żaltisową żonę.

Błogosławcie rodzice,
A oddajcie dziewicę.—

Znów rodzice w rospaczy.
—Radź sąsiadko inaczéj.—
Ona w głowę się skrobie.
—Gęś, to trochę zamała.
Owcaby oszukała.
Niech z owcą jadą sobie.—

Rodzice owcę dali.
Oni siedli, jechali,
Jechali w koniec sioła,
I sioło przejechali.
I ciągnęliby daléj,
Aż kukułka znów woła:

—Kuku! kuku! kuku!
Co to się im stało?
Wzięli owcę białą!
Kochanka wężowa
W komorze się chowa.
Nie chcieli rodzice
Oddać wam dziewicę.
Lecz już jéj nie schronią.
Wracajcie się po nią.
Kuku! kuku! kuku!

Znów powrócili swaty,
Pojechali do chaty,

Córki gwałtem żądają,
I siedzą i czekają.
A rodzice w rospaczy—
—Radź sąsiadko inaczéj.—
Ona w głowę się skrobie.
—Kiedy owca zamała,
Oszuka krowa biała.
Niechaj z nią jadą sobie.—
Rodzice krowę dali,
Oni siedli, jechali,
Jechali w koniec sioła,
I ciągnęliby daléj,
Aż Gieguze [1] znów woła:

—Kuku! kuku! kuku!
A cóż się im stało?
Wzięli krowę białą!
Kochanka wężowa
W komorze się chowa.
Dłużéj jéj nie schronią.
Powracajcie po nią.
Kuku! kuku! kuku!—

Z szumem, krzykiem i zwadą
Nazad swaty znów jadą,
Krowę białą odwożą
I rodzicóm już grożą:

1. Kukułka.

—Tak zwodzić się nie godzi!
Źle, kto Żaltisa zwodzi!—

Znów rodzice w rospaczy—
—Radź sąsiadko inaczéj.—
Ona w głowę się skrobie.
—Jak tu zrobić, poradzić?
Starszą córkę im wsadzić.
Z nią pojadą już sobie.—
Rodzice córkę dali.
Swaty siedli, jechali,
Jechali w koniec sioła,
I sioło przejechali,
I ciągnęliby daléj,
Aż Gieguze znów woła:

—Kuku! kuku! kuku!
Znów was oszukano,
Starszą córkę dano.
Kochanka wężowa
W komorze się chowa.
Rodzice ją chronią.
Wróćcie jeszcze po nią.
Kuku! kuku! kuku!—

Z hałasem jadą swaty,
Powracają do chaty,
Starszą córkę rzucili
I rodzicóm grozili:

—Ej rodzice! rodzice!
Oddajcie nam dziewicę,
Bo jakeśmy wężami,
Źle daléj będzie z wami!
Ługi woda zapławi,
Statek wilk wam podławi,
Chatę burza rozwali,
Zboże susza wypali.
Ej! oddajcie nam naszą!—
Gdy tak grożą i straszą,
Ojciec, matka płakali;
I długo jeszcze radzą:
Czy dadzą, czy nie dadzą?
Aż nareście oddali.
Swaty w neckę wsadzili.
Siedli i pojechali;
Ale już nie wrócili:
Bo kukulka spotkała
I tak do nich śpiewała:

—Kuku! kuku! kuku!
Śpieszcie, swaty, bo pora,
Śpieszcie się do jeziora.
Mąż wygląda zdaleka,
Narzeczonéj swéj czeka.
Kuku!—
A Egle we łzach cała
Na jezioro patrzała.

I już blizko topieli,
I już swaty stanęli.
A Żaltis na nią czeka;
Lecz nie wąż to szkaradny,
Ale młody i ładny
Bóg wód w ciele człowieka.

Kiedy Gadintoj od pracy odrywa,
Próżno Sargietoj przeszkadza jéj, prosi,
Próżno popsutą pokazuje przędzę.
Jak gdyby głuche, na powieść zdradliwą
I uszy mają i uwagę całą.
Ledwie skończyła, nim ręce podniosły,
Ona je znowu odrywać zaczyna.
—A wiécie—rzecze—co się potém stało?
Słuchajcie tylko, zaraz się dowiécie.
Wszak będzie jeszcze dość czasu do pracy—
Xiężyc wysoko, dzień jeszcze daleko.

BRACIA ŻALTISOWÉJ ŻONY.

Pięć lat potém upływa,
Jak Egle już szczęśliwa.
I Żaltis jéj, pod wodą
Roskoszne życie wiodą.
Pięć lat i pięć upływa,
Nie tak Egle szczęśliwa;
Bo choć dzieci ma troje,
Choć na niczém nie zbywa

Lecz wspomni sioło swoje,
Żal jéj za rodzicami,
I zalewa się łzami.
Wszystko miała,
Co chciała;
Ale kiedy już komu
Tęskno do swych, do domu,
Nic nie syci, nie poi,
Dom a dom w oczach stoi.
I biednéj Egle było,
Choć w dostatku, niemiło.
Prosiła męża co dnia,
I co dzień odpowiadał:
— Idź przyszłego tygodnia. —
Tak lat kilka odkładał.

Czas na prośbach upływa.
Egle, mniéj już szczęśliwa,
Męża prosi i nudzi.
— Puść-bo mnie w odwiedziny
Do swoich, do rodziny,
Puść mnie na świat do ludzi.
Ja cię tu nie porzucę,
Za dzień, za dwa powrócę. —
Mąż nie mógł wstrzymać daléj,
Dał się wreście uprosić;
Lecz wprzódy kazał znosić
Trzewiki kute z stali.

Krugis je z Budrajcami [1]
Ogromnemi młotami
Na jéj nóżki zrobili.

Wzięła, myśli; po chwili
Na ogień je rzuciła,
Na żużel przepaliła,
Pochodziła dzień cały—
Trzewiki popadały.
—Ot, trzewików już niéma!
Teraz nic mnie nie wstrzyma.
Gotowam już do drogi—
Egłe do męża rzekła—
Teraz tylko piérogi
Dziś jeszcze będę piekła.—
On cóś czoło zachmurzył,
I rzekł żonie:—Myśl o tém:
Wszystkiem cebry ponurzył;
Nośże wodę rzeszotem.
A nie spiekłszy piéroga,
Za nic i twoja droga.—
Egłe łamała głowę,
Rozczynę zamiesiła,
Rzeszoto oblepiła,
Wody niém nanosiła.
I piérogi gotowe.
Żaltis żegnał ze łzami,

1. Bóstwa kowali, główne i posługacze

Całował dzieci swoje,
Wyprawił wszystko troje,
I rzekł:—Gdy wróci z sioła
I stanie nad wodami,
Wprzód mnie żona zawoła
Trzykroć temi słowami:

—Mężu mój! mężu! żona ciebie czeka!
Jeżeliś żywy, wynijdź pianą z mléka;
Jeżeli ciebie na świecie już niéma,
Krwią się objaw przed oczyma.—

Co tam było witania!
Jaka radość na siele!
Jak ciekawe pytania!
Jakie różne! jak wiele!
Jak witali wężową
Oddawna opłakaną,
I jak każde jéj słowo
Z ust do ust podawano!
Tak jéj trzy dni przebyło.
Nie myśli o powrócie.
Oj! po długiéj tęsknocie,
Swoich ujrzeć tak miło!
—Jeszcze trzy dni—prosili—
Trzy dni zostań w gościnie.
Dawno z tobą nie byli.
Nim przyjdziesz, długo minie.—
I została wężowa.

Bracia wieczór jechali
Na nocleg w głuchy las,
Chłopca jéj namawiali :
—Jedź z nami, zbudzisz nas.—
Pojechał starszy z niemi.
Gdzieś daleko, w dolinie,
Pokładli się na ziemi
I ogień rozłożyli,
I z chłopcem się pieścili;
A jeść dając chłopczynie,
Zadawali pytania:
—Kiedy wrócicie z sioła
Do waszego mieszkania,
Jak tam matka zawoła,
Żeby ojciec otworzył?—
A chłopiec ręce złożył,
I potrząsając głową,
Powtarzał im to słowo:
—Ja nic nie wiém, wujowie!
Matka wié, matka powié.—
Potém prosić zaczęli,
Naokoło stanęli.
—Ty musisz, chłopcze, wiedzieć,
A nie chcesz nam powiedzieć;
Tylko nie żartuj z nami,
Bo wysieczem rózgami.—
On wciąż mówił:—Wujowie!
Matka wié, ona powié.—

Dziesięć mioteł nacięto
I chłopca bić zaczęto.
Chłopiec płakał — Wujowie!
Niechaj matka wam powié. —
I napróżno go zbili.
A gdy zrana wrócili,
Egle pytała syna:
— Co to oczy czérwone? —
— Smolna była łuczyna,
Wiatr dym pędził w tę stronę. —

Bracia wzięli młódszego.
Zbili znowu napróżno.
Nie powiedział im tego,
Jak ojca wyzwać można.
Potém wzięli dziewczynę,
I zawieźli w dolinę,
Prosili i pytali.
Długo, długo milczała;
Lecz rózgi pokazali,
I ze strachu wydała.
Bracia śpieszyli skoro
Za sioło nad jezioro,
Kosy z sobą pobrali,
I stanąwszy, wołali:

— Mężu mój! mężu! żona ciebie czeka.
Jeżeliś żywy, wynijdź pianą z mléka;

Kiedy cię na świecie niéma,
Krwią się objaw przed oczyma.—

Prysły ciche wód łożyska,
Mleczną pokryły się pianą,
A z piany Żaltis wytryska,
Powitać żonę kochaną;
I już na brzeg się toczy,
Z brzegu sunie się dalej.
Wtém go młodzież oskoczy,
I w sztuki rozsiekali.

Minął w gościach dzień trzeci.
Egle, zabrawszy dzieci,
Tęskna wraca do męża.
Już ujrzała jezioro,
Pośpiesza z dziećmi skoro,
Staje i woła węża.
Pękły ciche wód łożyska;
Lecz krew na falach połyska,
A głos wychodzący z fali
Woła do niéj raz ostatni:
—Tę krew masz z ręki bratniéj.
Bracia mnie rozsiekali.—
Egle słupem stanęła,
Z oczyma łez pełnemi.
—Cóż ja poczne?—krzyknęła—
Z sobą, z dziećmi mojemi?
Powróccęż żyć z zbójcami?

Bracia, zbójcy mężowi,
Wyśmieją płacz mój wdowi.
Gdzież ja pójdę ze łzami?
Ach! lepiejby nam było
Spać pod jedną mogiłą,
Lub wrosnąć z dziećmi memi
Na wieki do téj ziemi.—
Ledwie rzekła te słowa,
Stała jodłą wężowa,
Z gałęźmi spuszczonemi,
Jak ręce załamane.
Przy niéj dzieci spłakane
Bogi w drzewa zmieniły:
Starszy dębem się staje,
I zawsze pełen siły,
Wiatróm się nie podaje;
Młódszy w korze jesiona
Rozpościera ramiona;
A mdłe ciałko dziewczyny
Drży listkami osiny.

Kiedy Gadintoj powieść tę kończyła,
A Grajtas życia Witola nić pląta,
Poźno Audietoj na płótno spójrzała,
I z krzykiem wątek poczęła naprawiać.
Sargietoj jęła siostry upominać.
Ze wstydem wszystkie rwały się do przędzy.

Ale już Witol, którego nić życia
Splątana w ręku robotnic leżała,
Najpiérwszą próbę przebywał na świecie,
Którą mu Grajtas zdradliwie zgotował;
A sam, wróciwszy do Perkuna tronu,
Spokojny u nóg jego się położył.





Ranek był, kiedy Witoł ojca zbudził;

Ledwie się Aussra rumieniąc na niebie,
Słońcu *niebieski ogień rozkładała*
Jeszcze trzy konie słonecznego wozu
Niezaprzężone pasły się na górze;
A xiężyc smutny, z twarzą wpół-rozciętą,
Przyzostał chwilę, by swoję kochankę,
Rumianą gwiazdę poranku zobaczyć.
Głuche milczenie w głębiach puszcz leżało;
Szérokie knieje, ostępy i bory,
A w nich źwierz dziki, snem porannym spały.
Tylko ptaszyny Swieczpauksztynis budził.

One, świergocąc, niechętnie wstawały,
I nazad w ciepłe gniazdko się tuliły.
Brekszta wszelkiego stworzenia powieki
Snem jeszcze słodkim cisnęła łagodnie.
Próżno Budintoj, dla gnuśnych złowroga,
Myślą o pracy ludzi chciała budzić.
Spali spowici potrzebą spoczynku.
Lecz Witol nie spał; przemarzył noc całą;
Bóstwóm się lesnym modlił i Raganóm:
Prosił Sznejbrata i dzikiéj Miedziojny,
Żeby mu w piérwszych poszczęścili łowach;
Prosił puszcz duchów i lesnych straszydeł,
By do ostępów, w których źwierz się kryje,
Gristis i Jodsy nie broniły wstępu.
Słyszał on często, że łowiec zbłąkany
Spotkał się w puszczy gdzie z dzikim człowiekiem,
Lub ptak go uwiódł, padając co chwila,
Lub jeleń zwolna w ostępy prowadził,
Aż potém więcéj łowca nie ujrzano,
Tylko gdzieś w puszczy garstka białych kości
Pod starym dębem na wieki została,
Postrach myśliwych, niebacznym nauka.

Wstał ojciec, przetarł rozespane oczy;
A matka smolne paliła łuczywo,
Placków na drogę, nabiału i chleba,
Rad macierzyńskich nie skąpiąc młodemu.
— Nie wiész — mówiła — nie wiész, co to łowy!

To nie igraszka, jak w podwórku chaty,
Nie w gnieździe wróbli, nie z pliszką to sprawa.
A któż wié, co tam w puszczach się ukrywa?
Tyle straszydeł! niebezpieczeństw tyle!
Tyle srogiego i dzikiego źwierza!
Już brat mój jeden zginął od niedźwiedzi;
Drugiego koza lekko ustrzelona
Wiodła w ostępy, aż zbłądził, i potém
Ledwie w dni kilka wybladły i głodny
Późną się nocą do chaty powrócił;
Ale co widział w Miedziojny krainie,
Nikomu nigdy nie mówił ni słowa,
I więcéj potém nie poszedł na łowy.
Już lepsza bitwa, niż walka z źwierzęty.
Któż wié, co się tam pod skórą ukrywa?
Czasem zły człowiek wilczą skórę wdzieje,
Czasem czarownik w niedźwiedzia się zmieni,
Lub potwór jaki zastąpi ci drogę,
Albo duch, albo.... I kto to odgadnie?—
A Witol słuchał, probując oszczepu,
I głową tylko potrząsał powoli,
Jak gdyby za nic miał matki przestrogi.
Ojciec tymczasem łuk podjął, wziął strzały,
Wdział Wiżos, skórą grzbiet okrył niedźwiedzią,
A Witolowi wyniósł strój podobny
Z twardych skór źwierza na łowach odartych.
Piérwszy raz chłopiec szaty męzkie włożył;
Piérwszy raz uczuł, że mu wolno było

Przestać nareście być tylko dziecięciem
Wyglądał oknem. Już się świt zabielił,
Słońce ze swoich pałaców za chwilę
Na złotym wozie miało wyjść z kąpieli.
Wyszli, a jeszcze Bogóm się domowym
Długo modlili i ofiarę leli.
Stary z szałasu wypuścił psy swoje.
Skoczyły, czując, że pójdą na łowy;
Jeden drugiego z radości porywał,
I, jakby tylko sam chciał iść za panem,
Gryząc go za kark, warczał i wstrzymywał.

Wyszli. Był ranek wiosenny, srébrzysty,
Las milczał jeszcze, czekał słońca wschodu,
Rosa na trawach ciężyła i wonny
Kielich się kwiatów powoli otwierał.
Na wschód się starzec milczący obrócił,
Znajomą sobie skierowawszy drogą.
Witol szedł za nim, całemi piersiami
Łakomie chłodne chwytając powietrze.
Szli puszczą, w któréj śladu ludzkiéj nogi,
Śladu człowieka, ni źwierza nie było.
Ogromne dęby z konary gęstemi,
Pokryte gniazdy i świętą jemiołą,
Wysoko po nad brzeźniak się wznosiły.
Poniżéj, brzozy schylone, pogięte,
Jak lud pod panem, niewolnik posłuszny,
Tęsknie za słońca promieniem patrzały.

U spodu, młodéj Lazdony dziedzina,
Gęstemi sploty wiła się leszczyna,
Wdzięcznemi łuki gnąc na różne strony.
Z pośrodka dębów, gdzieniegdzie wysmukła
Sosna, u wierzchu ozdobna koroną,
Jakby dziewica do ślubu ubrana,
Wesoło wieńcem niezwiędłym szumiała.
Tu ówdzie biała osina i klony,
I poświęcone Lajmie lipy stare,
Pod poważnemi wyrastały dęby.
A rzadko chwojniak skurczony i biedny,
Jak lud od roli, chérlał na piasczysku.
U stóp drzew kwiaty rozliczne się słały:
Jedne, co jadu strzałóm dostarczały;
Drugie, któremi mądrzy Sigonoci,
Żebrząc po wioskach, od chorób leczyli;
I inne jeszcze, co nieraz do wieńca
Śmiały parobek przynosił Litewce;
Po nad strumyki kwitły owe modre,
Których Nijola nieszczęsna zachciała,
Które Krumine gorzko opłakała.
Środkiem ostępów rznęły się strumienie,
Okryte gęstém gałęzi sklepieniem,
I uciekały, lękając się ciszy,
Tęskniąc za ludźmi i zieloną łąką.
Szli, a las milczał; tylko czasem krucy
Wrzeszczeli, z wierzchu sosen się zrywając;
To dzięcioł stuknął, wróbel zaświergotał,

To z nich Gieguze, śmiejąc się, szydziła;
Psy cicho u nóg z spuszczonemi głowy
Szły, znaku tylko pańskiego czekały,
A pyski wznosząc ku kniei zwrócone,
Nosem powietrze łapczywie chwytały.
Wtém łom zaszumiał i cóś się przemknęło
Witol poskoczył, starzec go zatrzymał—
— Liszka!— zawołał — powrócim do domu.—
— I po cóż wracać z próżnemi rękoma?—
— Przestroga Bogów, byśmy nie szli dalej:
Bo komu tylko liszka przejdzie drogę,
Powinien wrócić, gdy mu spokój miły.—
— Więc w inną stronę, idźmy w inną stronę.—
— Wrócić potrzeba.—
— O! ja nie powrócę,
Póki chociażby najlichszego źwierza,
Choćby ptaszyny małéj nie ubiję.—
Tak mówił Witol, a jego zapałem
Starzec niechętny przekonać się musiał.
— Chodźmyż! niech będzie przeznaczenia wola—
Rzekł, i na drugą stronę się zawrócił.

I znowu cicho: bo oba myśliwi,
Okiem po lesie patrzając ostróżnie,
Nic nie mówili: psy dech wstrzymywały
Jak gdyby źwierza spłoszyć się lękały.
— Słuchaj — rzekł starzec — jest ztąd niedaleko
Starego dziada niedźwiedzi łożysko

Pod wielkim łomem. W zimie łapy liże,
A latem skryty na pastwę czatuje.
Jeśli usłyszy nas, jeśli napadnie,
Będziem się bronić; lecz straszno zaczepiać.
Wiele on ludzi we wnętrznościach nosi,
I wiele kości bieleje pod łomem,
I strzał niemało próchnieje dokoła.
Radbym go obszedł, lecz w lewo i prawo
Głęboki strumień zagradza nam drogę.
Mądry, na saméj ścieżce sidła stawi.
Lecz można cicho ominąć łożysko,
Dech zatrzymując, żeby go nie spłoszyć,
I ostróżnemi minąć go krokami.—

— Ojcze!—rzekł Witol—na cóż się go lękać?
Dwóch nas na niego, czyż nie damy rady?
Wszak to najlepszy na łowy początek.—
—Szaleńcze! cicho!—Witol oszczep podniósł,
I lekko trzęsąc głową, się uśmiechał.
Wtém na łom naszli; za łomem chrzęstnęło;
Psy wzniosły uszy i oczy wywarły;
Ogromny pysk się z za drzewa wychylił,
Potém dwie łapy na łomie oparte,
I czarny niedźwiedź spójrzał na myśliwych.
Stary szedł chyłkiem; lecz Witol z radością
Łuk swój naciągnął i pomiędzy oczy
Strzałę mu ostrą zapuścił głęboko.
Ryknął źwierz dziki i przez łom przeskoczył

Prosto na niego. Stał Witol z oszczepem;
I kiedy niedźwiedź ku niemu się zbliżył,
W czaszkę go dwakroć z całych sił uderzył;
Wierne psy z tyłu szarpać go poczęły;
On się otrząsnął i na nie zawrócił;
A łowiec młody już mu na kark skoczył,
I w silne ręce za gardło ująwszy,
Stłumił ryk prędko, a z rykiem i życie.
Padli obadwa. Z twarzą rozognioną
Porwał się Witol, nie wierząc źwierzęciu,
I bił go jeszcze, aż na twardym pysku
Skrwawiony oszczep w trzaski podruzgotał;
Naówczas krzyknął radośnie, aż w lesie
Sto razy głos się daleko powtórzył.
Stary, patrząjąc na łatwe zwycięztwo,
Osłupiał, mierząc bojaźliwém okiem
Nieprzyjaciela drgającego jeszcze.
Z radością Witol na pierś mu się rzucił
I ściskał ojca; a łzy mu płynęły,
A piersi oddech wzdymał przyśpieszony;
Potém niedźwiedzia, biegł, deptał nogami,
Szalony piérwszém w swém życiu zwycięztwem.

Siedli ze starcem skórę z niego zdzierać;
Łapy na przysmak odcięli wieczorny,
A ścierwo ptastwu leśnemu rzucili.
— Śpieszmy! — rzekł ojciec. — Obudzone rykiem,

Już puszczą pewnie biegną meszek [1] stada.
Trzeba uciekać! Bierz psy i idź za mną.—
Wstali, a Witol wziął skórę skrwawioną,
I jeszcze drżący wzruszeniem, odwagą,
Szedł, patrząc tylko, zkąd znów dojrzy czego?

Stary na coraz gęstsze wiódł go puszcze:
Czasem z rozmysłem obejrzał się wkoło,
I, jakby dążył po znajoméj drodze,
To tu, to ówdzie kręcił się i zbaczał,
Silném ramieniem gałęzie drzew trzaskał,
Chrósty rozgniatał, przeskakiwał łomy,
I przez strumienie przewodził głębokie.
Aż wyszli wreście w széroką dolinę,
Dokoła czarnym otoczoną lasem.
Łąka to była zielona, jak rola,
Kiedy ją młoda wiosny ruń okryje;
Gdzieniegdzie tylko złociły się kwiatki,
I łoza młode puszczała gałązki.
Tu siedli spocząć; a Witol swą skórę,
Pełen radości, na wietrze rozesłał.

Już było słońce podeszło wysoko,
Spiesząc do swojéj wieczornéj kąpieli;
Obeschły rosy; na niebios błękicie
Chmury, jak wojska, jęły się gromadzić.
Łowcy posiłek południowy wzięli;

1. Niedźwiedzi.

I gwarząc, jak to myśliwcóm się gwarzy,
Z wiernemi psami jadłem się dzielili;
A kości, Bogóm podziemnym ofiarę,
Szepcąc modlitwy, pod ziemię zagrzebli.
Potém szli znowu. Lecz stary, na słońce
Spojrzawszy, drogę ku domu zawrócił
Inszemi lasy i dalszemi ścieżki.

—Tu—rzekł do syna—inszy źwierz nas czeka:
Wilk, lis, ryś może, sarna bojaźliwa.
Niechaj psy idą.—Świsnął—niecierpliwe
Prędko się w knieje, przeganiając, wdarły;
A on, wskazując ręką Witolowi,
—Czekaj—rzekł—aż cię głosem uwiadomią,
Gdzie się masz ruszyć. Stój. Ja daléj idę.
Kiedy zawołam, ozwij się, przybywaj.—

Witol zaledwie słowa starca schwytał,
Słuchał psów głosu, za niemi się zrywał,
Zazdrościł wolnych po puszczy przegonów;
Lecz kiedy ojciec, łamiąc się przez chrósty,
Odszedł, a jego samego zostawił,
Uczuł się jakby swobodniejszym jeszcze,
I jak do walki, sparłszy się o drzewo,
Czekał i czekał. A psy gdzieś już w dali
Słabym się głosem raz po raz ozwały.
I cicho znowu; tylko drzewa szumią
I ptacy krzyczą na sosen wierzchołkach.
Wtém z za Witola nagle się wyrywa

Jeleń wysmukły; spójrzał, w górę skoczył;
Lecz nim w las pierzchnął, uwięzła w nim strzała.
Padł. Witol za nim. On porwał się znowu,
I szedł, kulejąc. Drugą za nim strzałę
Posłał myśliwiec, i drugą go trafił.
A jeleń coraz szedł wolniéj, rogami
Gałęzie łamiąc. Witol coraz bliżéj
Ściga go z drzewcem, doścignąć nie może.
Drą się po lesie przez mokre baguiska,
O staje tylko od siebie, to bliżéj,
To daléj znowu: bo jeleń poskoczy
I znów ustanie; myśliwiec pośpieszy,
Wstrzymają gąszcze. Wiele strzał w sajdaku
Miał Witol, wszystkie za nim powysyłał;
A jedne poszły po drzewach i lesie,
Raniąc niewinne starych lip Ragany,
Inne go zlekka po skórze drasnęły,
Lub padły słabe pod nogi jelenia.
Wciąż gonił łowiec, wciąż jeleń uciekał.
Witol rozjadły, z wlepioném weń okiem,
Zapomniał ojca, i przestróg, i puszczy,
Co go dokoła nieznana, tajemna.
Coraz straszniejsza, ciemniejsza, objęła.
Zziajany stanął i chciał dobyć głosu.
Długo się męczył, nim piersi znużone
Słabe huknięcie, obumarłe w puszczy,
Ku stronie ojca z westchnieniem wydały.
Ale daleko ojciec już od niego

Pozostał z psami, i głos go nie doszedł.
A jeleń skoczył wgłąb' kniei i zniknął.
Zmęczony łowiec upadł odpoczywać,
Nie śmiał już krzyczeć i począł rozmyślać.
Słońce się coraz na zachód sklaniało;
Ledwie czérwony promień przez gęstwinę
Jeszcze się tylko obłędny przeciskał.
Cóż począć było? Witol myślał wracać
Śladem jelenia; lecz szukając drogi,
Którą strzałami i krwią był poznaczył,
Nie znalazł nigdzie złamanéj gałęzi
I nigdzie śladu. Wszystko się już było
Znowu po za nim splątało, zamknęło,
Jakby od wieka ni człowiek, ni źwierzę,
Jednéj gałęzi nie poruszył z miejsca,
I ziemi nogą nie dotknął dziewiczéj.
Naówczas Witol odwagi żałował,
I ojca rady zapoźno przypomniał;
A myśląc, jakby z puszczy się wydobyć,
Próżno dokoła patrzał niespokojny.
Wtém ujrzał dziką barć na staréj sośnie,
W roztwartém dziuplu, rojem otoczoną.
Wszystko zjadł z sakiew, pragnienie paliło
I głód go męczył; ale straszno było
Te dzikie pszczoły Bogini Austhei
Wydrzeć, ażeby miodem głód ugasić.
Podnosił jeszcze oczy na barć chciwie.
Wtém zśród gałęzi nad głową zwieszonych

Śmiech jakiś dziki usłyszał, szyderski.
Myślał, że jaki ptak się ozwał z sosny?
Giegnze może próżniaczka wesoła?
Lecz znowu cicho i pusto dokoła,
I czuje w duszy:—Nie taki głos ptaka!—
A puszcza milczy, tylko drzewa szumią.
Gdy po nich Witol jeszcze raz pogląda,
Ujrzał nad barcią okropne straszydło.
Był to człek dziki. Włosami okryty,
Na łbie dwa rogi zakręcone nosił;
Twarz miał poczwarną, dwoje lśniących oczu,
I zęby długie, jak wilczéj paszczęki;
Nogami drzewo objąwszy czarnemi,
Rękoma drażnił Witola, i z góry
Świecące, długie zakrzywiał pazury.
Witol łuk porwał, lecz strzał brakowało;
Chwycił za oszczep—ten leżał strzaskany,
I drzewce u nóg złamane leżało.
Nie było nawet czém się widmu bronić.
Straszny Girystys po drzewie się spuszczał,
I coraz głośniéj, coraz śmiał się dzieczéj;
A zęby ostrząc, pazurami krzywiąc,
Jak gdyby pastwę rozdzierał już swoję,
Oka z młodego nie spuścił myśliwca.
Witol odstąpił, skórę z ramion zrzucił,
Rękę wyciągnął i czekał go śmiało;
Lecz gdy już walkę ma począć zuchwała
W szarym pomroku, ujrzy, aż dokoła

Na każdém drzewie, na każdéj gałęzi
Świecą się oczy, drżą ostre pazury,
I rogi krzywe po liściach szeleszczą.
Pełno ich było, w którą spójrzał stronę.
Walczyć z wszystkiemi?—pomyśleć nie można.
Pobladł młodzieniec, lecz serca nie stracił;
Stanął i czekał. A oni siedzieli,
Szyderskim śmiechem do siebie gadali,
I pazurami sobie wskazywali
Biednego chłopca, który stojąc wryty,
Trzymał łuk próżny i drzewce złamane.
Już skórą świeżą zarzuciwszy plecy,
Myślał się cofać, gdy mu pod stopami
Cóś się ruszyło. Ogromna ropucha,
Jak gdyby mlékiem święconém karmiona,
Dwoje weń oczu wlepiała zielonych.
Rzucił się w stronę. Tu karzeł wyskoczył
Stary, garbaty; na łokieć miał brodę;
Sparty na kiju, sunął się powoli,
I Witołowi sobą zaparł drogę.
Próżno chciał przebić te żywe zapory.
Gdziekolwiek myślą, oczyma się zwrócił,
Zewsząd go dziwne objęły potwory,
Jakby nie w puszczy nadniemeńskiéj błądził,
Lecz w tajemniczym Staubunów gdzieś lesie.
Zamknął już oczy, wyciągając ręce,
I śmiało na przód rzucił się w gęstwinę.
Wtém puszcza śmiechem tysiącznym zawrzała;


W.S



A na ramionach uczuł nieszczęśliwy,
Jak mu się dwoje ostrych szpon wciskało.
Spojrzał — nad głową dwoje ócz ognistych,
Jak dwa pioruny ze chmury, wisiało.
Chciał strząsnąć, porwać, nie dostał rękami.
Już Johds go dusił, do gardła dostawał,
Gdy zebrał siły, lecz nie na obronę,
Na krzyk ostatni. Puszcza jęk odbiła,
I nagła jasność spuściła się z góry,
Na białéj chmurze promienista postać
Kobiéty w bieli, przed którą straszydła,
I Johds, co za kark już dusił Witoła,
I karzeł, który drogę mu zastąpił,
I Giristysy w gałęziach wiszące,
Wszystko zniknęło i jak sen pierzchnęło,
Tylko krew ciepła po plecach płynęła,
I serce biło, i oczy pałały.
Zdziwiony Witol upadł na kolana,
Bo nigdy, w dzikiéj wychowany chacie,
Takiéj kobiéty, takiego uśmiechu
I takiéj twarzy nie widział, nie marzył.
A gdy ją ujrzał, serce mu zabiło,
Nie strachem, jakiémś uczuciem nieznaném.

— Ktoś ty? — zawołał. — Jam ci winien życie!
Zbłąkany w puszczy, piérwszy raz na łowach,
Byłbym tu nędznie bez stosu, mogiły,
Skonał, jak bydlę, pod potwór zębami.

Ktoś ty? o Dejwa! Czyliś ty Lazdona?
Czyli tych dębów Ragana gościnna?
Czyli Miedziojna myśliwych Bogini?
Czyli Austheja pszczół tych opiekunka?—

—Jam matka twoja—zawołała Milda.—
Leciałam górą, kiedy jęk twój, synu,
Boleśnie w serce tęskne mnie uderzył.
Jam matka twoja!—
—Tyś jest matką moją!
Nie! Jam jest synem ubogiéj kobiéty.
Malda jéj imię. Ojciec mnie dziś stary
Piérwszy raz, nie chcąc, na łowy prowadził.
On tam gdzieś w puszczy szuka mnie napróżno,
Nie śmié sam jeden do chaty powrócić.
Jam chłopek biédny, ty jesteś Bogini!—
—Ci ludzie nie są to twoi rodzice.
Jam matka twoja.—To mówiąc, troskliwa
Milda go szatą śnieżystą osłania,
Szatą, za któréj dotknięciem cudownem
Najsroższe rany posłuszne się goją;
Krew jego ściera, pocałunkiem blizny,
Uściskiem serce bijące uleczа.
Napróżno Witol zdziwiony się broni,
Próżno się z matki objęcia wyrywa.
Ona, jak w upał jeleń upragniony,
Którego strzały od wód nie odpędzą,

Ani się zraża Witola zdumieniem,
Ni zimną jego dla siebie bojaźnią.

Woła nareście:—Nie czujeszże, synu,
Nie czujesz matki? Czyż serce nie bije
I krew ci żywiéj po żyłach nie płynie?
Czyliż nic tobie nie mówi przeczucie?—

Chłopiec milczący bał się i nie wierzył.
—O Dejwa!—mówił—nie chciéj mnie uwodzić.
Jam się w ubogiéj wyrobnika chacie,
Jam się ubogi, nieznany urodził.
Gdybym był twojém, o Dejwa; dziecięciem,
Czegożbym w puszczy na ciężkiém wygnaniu
Tak nędzne życie, tak długo włókł biedny?—
—Nie wiész ty, synu, dla czego cię matka
Daleko oddać i ukryć musiała:
Bo nad twą głową jest zemsta Perkuna,
Na ciebie duchy mściciele czyhają,
I wszędzie stawią zasadzki i sidła.
Musiałam ciebie w obcych oddać ręce,
W dalekie puszcze, żebyś niepoznany
Przeżył dziecińśtwo, aż do lat młodzieńczych,
Pod skrzydłem swego ubóstwa tajemnie,
Tutaj spokojnie przepędziłeś lata,
Które gdzieindziéj jużby walką były.
Możeby Grajtas, szukając po świecie,
Odkrył cię dawno, w kolebce udusił,
A moje serce zakrwawił na wieki!—

—Matko! a za cóż ta zemsta Perkuna?—
—Bo ojcem twoim był nie Bóg, lecz człowiek.—
—Gdzież jest mój ojciec?—
—Dawno już zabity.
Gdyś ty się rodził, on, bojąc się zemsty,
Dumny, sam sobie zadał śmierć okrutną!—
—A gdzież jest jego mogiła? o matko!—
—W puszczy nad Niemnem, na wzgórzu zieloném.—
—Pójdźmy tam do niéj, poprowadź mnie, Dejwa!—
—Nie! Tam oddawna Grajtas już czatuje,
Bo wié, że syna najłatwiéj mu znaleźć
U grobu ojca ze łzą i ofiarą.
Kiedyś w noc ciemną polecim tam razem.
Lecz teraz, synu, czas gdzieindziéj tobie.
Nie możesz zawsze w téj chacie pozostać.
Nie dość masz siły na zwalczenie Bogów.
Trzeba, byś poznał świat i jego tajnie,
I wszystko, co się przed tłumem ukrywa,
Co tylko starzy ołtarzów kapłani
Z ust do ust sobie od wieków podają.
Chodź ze mną!—rzekła. Lecz Witol się wzbrania.
—Pozwól mi—rzecze—pożegnać się z ojcem.—
—Jeszcze go potém obaczysz, mój synu!—
—Pozwól mi z matką pożegnać się starą,
I z braćmi memi, siostry, i tą chatą,
W któréj lat tyle spędziłem spokojnie.—
—Nie! Czas nam lecieć! Jeszcze ich zobaczysz.
Kiedyś tu poźniéj zawędrujesz może.

Lecz nie płacz po nich, za życiem dziecięcém;
Zapomnij! Inne gotuję ci życie,
Piękne, jak Saule [1], gdy świeci w południe,
Wielkie, jak niebo nad morzem rozpięte,
Głośne, jak grzmoty starego Perkuna.
Syn Mildy miałby płakać lat spędzonych
W pogardzie, w nędzy?! żegnać towarzyszy
Sromoty swojéj?!— To rzekła Bogini,
Witola szatą śnieżystą osłania.
Młodzieniec zadrżał, spogląda zdziwiony,
Tuli się drżący do matki, i wzlata
Po nad drzew wierzchy, wyżéj, po nad chmury,
I nic z wysoka nie widzi już ziemi,
Którą westchnieniem pożegnał żałośném

1. Słońce.





DŁUGO oboje lecieli w milczeniu.
Pod niemi słońce zapadło czérwone
I Wakarinne [1] weszła na niebiosa;
Pod niemi słychać było tysiąc głosów
W jeden głos zlanych, zmięszanych z wiatrami.
Kiedy się czasem ku ziemi zbliżyli,
Światła migały i szumiały rzeki;
Lasy, czarnemi kołysząc głowami,
Cóś z przelotnemi gwarzyły chmurami.
Oni lecieli ciągle ku północy,
Aż się nad zbiegiem u dwóch rzek spuścili

1. Gwiazda wieczorna.

Nad wielką, ciehą, zieloną doliną.
Tu się dąb wznosił stary, rozłożysty,
Sam jeden, jakby strażnik tego miejsca.
Mur sześciościenny wkoło go otaczał,
Jak orszak, który xiążąt w bitwie strzeże.
W jednéj z ścian były wrota do świątyni.
Tam połyskały straszne Bogów twarze:
Perkuna, który grom w rękach piastował,
Czarne Pokole, olbrzyma Atrimpa.
Inni Bogowie dokoła ścian stali.
Tam był Wirszajtos, Sznejbrato, Ziemiennik
Przy nich ofiarne ołtarze rzędami,
Od krwi i dymu okopciałe, czarne,
Ognia i ofiar jutrzejszych czekały.
U stóp ich jeszcze walały się kości,
I popiół ziemię ubitą pokrywał.
Po za murami wielkie drzewa stosy
Przygotowano na ołtarz Perkuna,
Przed ojca dębów poważne konary.
I widać było świetny blask od Znicza
Wśród ciemnéj nocy, jak xiężyc u wschodu
Połyskujący na murach czérwonych.
A nad ołtarzem, z spuszczonemi głowy,
Strażnicy ognia w milczeniu siedzieli.

Na prawo bramy dom Krewe-Krewejty;
Na lewo stała podróżnych gospoda;
Daléj czerniały Wejdalotów domy

I Sigonotów ubogie chrominy,
I wędrowników pobożnych szałasy.
Wszystko tam spało, tylko u ołtarza
Dwóch Wejdalotów ogień podsycało;
Drzewem, bursztynem, żywicą karmiony,
Błyskał i żółtym wznosił się płomieniem;
Niekiedy ostry, jak strzała myśliwca,
To zwity w kłęby, jak chmura wiatrami
Szybko pędzona po zachodniém niebie.
Nad nim dym wonny w górę się unosił,
A w jego mglistych, sinawych zasłonach
I twarze Bogów i strażników twarze,
Zmięszane, żyć się i ruszać zdawały.

Milda stanęła: bo Witol zdumiony,
Choć nieraz słyszał o Bogów świątyni
Dziwne powieści przy ogniu wieczornym,
Ciekawe oczy na wszystko otwierał
I chciwie niemi nowy świat pożerał.
— Dość patrzeć, synu!— rzekła doń łagodnie—
Lecą godziny, mnie nazad potrzeba.
W tych murach, które pożerasz oczami,
Mieszka najpiérwszy, najmędrszy z kapłanów.
Jego nie tylko Litewski lud slucha,
Lecz barbarzyńskich krajów Kunigasy;
Króle północni o radę go proszą
I corok hołdy i ofiary znoszą.

On godzi swary, wojnę wypowiada,
On wróży szczęście, nieszczęście przepowie,
Bo on wie wszystko i u Bogów może.
Do niego ciebie na naukę wiodę,
Żeby ci odkrył wszystkie tajnie życia,
I dał ci poznać Dungus, Bogów ziemię,
Ten Dungus, który po nad głową twoją
Piorunem grozi i zemstą Perkuna.
Tu sił nabierzesz do walki potrzebnych;
Walki tak długiej, jak żywot twój cały.
Ten kapłan ojca twojego jest bratem.
W imie go brata zaklnę, będę prosić,
Żeby cię przyjął i schronił od burzy:
Bo to jest jedno miejsce, gdzie cię Grajtas
Szukać nie będzie, domyślić się nie śmie;
Jedno, w którém ty mądrości zaczerpniesz,
Nasłuchasz dziejów i nauczysz świata,
W którém naostrzysz twój oszczep do walki,
I serce twoje na cios zahartujesz,
A umysł młody wprawisz do przebiegów.
Teraz tyś jeszcze jak koźlątko słabe,
Które, gdy w knici ogary posłyszy,
Stanie zdziwione, uciekać zapomni;
A gdy napadną, nie umie się bronić
Trzeba ci siły i w ręku i w sercu! —
Tak mówiąc Milda, ku drzwiom się zbliżyła,
Tchnęła, i wnet się rozwarły na dwoje.
Oni przed Krewe-Krewejtą stanęli.

Starzec był siwy, z pochyloną głową;
Włos na niéj rzadki bielił się srébrzysty;
Z pod wpadłych twarzy oczy mu świeciły
Ostatkiem ognia, resztkami żywota;
Usta, jak gdyby odwykłe od mowy,
W brodzie ukryte, ściśnięte, milczały.
Białą miał szatę, i lniany pas biały
Siedémkroć siedém biodra przepasywał.
Sparty na ręku modlił się w milczeniu
Przed drobnym Boga wielkiego posągiem,
Który na szacie rozpostartéj leżał.
W ciemnéj komnacie blizko niego stała
Trójzębna laska, dostojeństwa godło,
I czarna jakaś wojenna chorągiew,
I czapka strojna w perły i łańcuchy.
On siedział, spójrzał; milcząc, podniósł oczy,
I czekał, aby piérwsi się ozwali.
— Ojcze!— Bogini pociechu wyrzekła—
Raz to już drugi w kobiécéj postaci
Oczóm się twoim objawiam zdumionym;
Piérwszy, gdy brat twój umarł zdąd daleko.—

— Bądź pozdrowiona, wielka Dejwa Mildo!—
Zawołał, wstając, i padł na kolana
Starzec; lecz Milda skinieniem znać dała—
Podniósł się zwolna, i, złożywszy ręce,
Z spuszczoną głową słuchał jéj rozkazu.

—Oto jest—rzecze—syn twojego brata.
Wiész, jakie losy Perkun mu gotuje.
Chceszli go przyjąć, wyuczyć tajemnic,
I wlać mu mądrość, którą sam posiadasz,
Do przyszłéj walki uzbroić go w siły?—

—Straszny—rzekł starzec—straszny gniew Perkuna!
Zemście się jego nie oprą i Bogi.
Gdzież skryć się przed nim? dokąd nie dosięże?
Dokąd posłańcy jego nie dolecą?
Przez siedém światów piorun jego bije,
Za siedém mórz się prawica wyciąga,
A jego duchy do pieczar Poklusa
I do krainy wschodniéj dolatują.
O Dejwa! straszny, wielki gniew Perkuna!
Bo w jednéj chwili w proch ludzi druzgota!—
—Lękasz się—Milda odrzekła powolnie.—
Nikt tu dziecięcia nie znajdzie u ciebie.
Ja ducha zemsty w inną stronę zwiodę;
Inne, daleko, w drugim końcu świata,
Naznaczę dziécię na zgubę i zemstę.
Przyjm go! Siérota, on nie ma nikogo,
Ni matki nawet! bo i ja dla niego
Zrzec się go muszę, by, kryjąc, nie zgubić!
Na pamięć brata, co w śmierci godzinie,
Kiedy duch jego na wschód ulatywał,
Jeszcze o tobie wspominał przed zgonem,
Ty przyjm go, starcze! ocal od zagłady!—

Słuchał jéj Krewe w posępném milczeniu.
— O wielka Dejwa! niechaj się tak stanie—
Rzekł wreście — taka na mnie losów wola.
Ja go przyjmuję. Będzie moim synem.
Jeśli na starość przyjdą z nim nieszczęścia,
Jeśli mi skończyć ciężko przeznaczono,
Wolą się moją wyroki nie zmienią,
Niechaj zostanie. Tak Pramżu napisał.—
Powiedział starzec, i na znak przysięgi
Ręką się prawą za gardło uchwycił.
— Przysięgam, Dejwa, wszystko w niego wleję,
Cokolwiek długie doświadczenia lata
Przed mojém okiem tajemnic odkryły;
Wszystko mu oddam po sobie w puściźnie;
Co już oddawna w méj duszy zamarło,
Co się w pamięci zatarło latami,
Dobędę znowu wszystko i przypomnę,
Wszystkiém do walki strasznéj go uzbroję:
Bo całe jego życie widzę z czoła,
A życie jego będzie długim bojem.—

Skończył i oczy podniósł; a Bogini,
Szatą się mglistą osłoniwszy cała,
Rzuciła uśmiech w nagrodę starcowi.
Znikła; a Witol sam się z nim pozostał.



O wieku młody! tyś wiosną
człowieka!
Na tobie ziarno przyszłości
on sieje!
Twoim on ogniem resztę
wieku żyje!
Biada, kto młody na świat
patrzy staro,
Zimnemi piersi, obojętném okiem,
I nic nie znając, nic poznać nie żąda,
Nic nie uczuwszy, nic uczuć nie pragnie!
Lecz błogo, błogo, gdy z duszą młodzieńczą
Wynijdzie na świat chciwy świata człowiek;
Wszystkiego żąda; wszystko chciałby w chwili
Pożreć i objąć, pojąć i zrozumieć!
O! wówczas życie, to podróż wesoła!

Co chwila nowe objawią się kraje,
I coraz świeże wabią go obrazy;
Świat rąk tysiącem serce mu oplata,
Tysiącem myśli głowę mu uwieńcza,
Tysiącem żądzy duszę mu kołysze.
O! wówczas młodość jest słodką godziną!
Człowiek się uczy, pragnie i spodziewa.
A czegoż więcej do szczęścia potrzeba?
Pragnienia tylko, zapału, nadziei.



Tu Witol młody, gdy w insze wszedł życie,
Gdy świat tak wielkim zrozumiał, obaczył,

Gdy tysiąc cudów odgadnąć zapragnął,
Chciwy na starca nauki się rzucił;
A on, jak gdyby niepotrzebne skarby,
Długiemi laty mądrość przyzbieraną,
Której nikt nie chciał, nikt mu nie zazdrości,
W gorącą duszę Witola wylewał,
Jak drogi napój w kosztowne naczynie.
Słodko mu było u życia zachodu
Widzieć, jak myśli, które w nim przygasły,
W młodzieńczéj duszy kwitnęły rumiane,
I nową siłą pojone, ożyły;
Słodko mu było widzieć, jak to ziarno,
Ledwie zasiane, zielono bujało;
Słodko mu było w téj dziewiczéj duszy
Drugiego siebie uczuć, z złotém skrzydłem,
Z odważną piersią i długą nadzieją.

Starzec powoli w wieczorne godziny
Dawne mu ojców opowiadał dzieje;
O Dejwach uczył, o przodkach, o duchach,
I o tych gwiazdach, co duszy człowieczéj
Patrząc się z góry, strzegą i pilnują.
Nieraz wśród ciszy, gdy spało Romnowe,
A święty ogień gasnął na ołtarzach,
Gdy Menes smutny, z porąbaną twarzą,
Szedł wolno w chmurach, czatując jutrzenki,
Oni czuwali; i w długiéj rozmowie

Noc im przebiegła, jak strzała do celu;
Noc, jaką człowiek kiedy raz przeczuwa,
Będzie ją potém do śmierci wspominał.

—Ten świat tak wdzięczny— mówił do Witola
Krewe-Krewejto, siwą gładząc brodę—
Ten świat już tak jest odwieczny, tak stary!
Tysiąc tysiąców lat po nim stąpało;
Tysiąc tysiąców pokoleń przepełzło,
A pamięć czasów i ludzi wspomnienia
Wody rozmyły i wiatry rozwiały;
I ludzkie kości w mogiłach spróchniały,
I na mogiłach puszcze powzrastały.
Tam, gdzie się świeci złota gwiazda wschodu,
Tam ojców naszych, i naszych nadziei,
Przeszłości naszéj, przyszłości kraina.
Skłoń głowę—ojców tam mieszkają cienie.
W tamtéj to stronie dziadów naszych kości
Śpią, nogą obcych wdeptane do ziemi.
I my tam pójdziem połączyć się z niemi.
Dawno to, dawno, ojców naszych dziady
Z braćmi się swemi darli w tamtym kraju.
Ciasno im było; głód ich nękał ciężki;
I gdy się dziécię rodziło, płakali:
Bo dziecku miejsca nie było w ojczyźnie.
Tak codzień gorzéj, głodniéj, ciaśniéj było,
Codzień się mnożył niepokój i zwady.

Trupy się braci walały po drogach.
O garstkę zboża, o dzikie owoce,
Rodzeni bracia bili się, jak zwierzę.
Naówczas starszy kapłan lud swój zwołał,
I płacząc, mówił, żeby szli na zachód;
Że tam jest ziemia pusta i dostatnia,
Która ich wszystkich przyjmie i wyżywi.
Ale nikt nie chciał w tak daleką drogę,
Nikt nie chciał swoich i kraju porzucić,
I mogił ojców, i chaty pradziadów.
Każdy chciał zostać, a choćby i umrzeć,
Byleby w swojéj ziemi, między swemi.
Lecz kapłan młódszéj braci iść rozkazał;
Przyrzekł, że wrócą do ojców krainy,
A duch ich do niéj po śmierci przyleci,
Jeśli się wzajem zabijać nie będą,
I o swéj wierze i ojczystych Bogach
Dla obcéj ziemi nie stracą pamięci.
Wyszli więc młodsi. Szli długo przez góry,
I szli przez rzeki, i po morza brzegach,
Aż przyszli w Litwę, i znużeni drogą,
U morza, Niemna i Neris osiedli.

Widziałeś, synu, mogiły wysokie,
Które po lasach wznoszą się, dębami,
Sosny staremi i lipy pokryte.
Tu ojców groby. W nich leżą olbrzymi.

Myśmy skarlałe wielkoludów szczątki,
Myśmy potomki ojców, których kości
W dziecinnych naszych nie udźwigniem ręku
Bogi skarały, i ogromne ludy
Zeszły na karły bezsilne, trwożliwe,
Z duszą tak małą, jak drobne ich ciała.
Spójrz w te mogiły. Gdy je wiatr rozwieje,
W nich kość, jak dębu stary pień, bieleje;
Czaszka, miedzianym wężem uwieńczona,
Strzaskana w czworo, większa, niż ty cały;
A wielka dusza gdzieś w ojców krainie
Płacze, bo się już nie odrodzi w synie,
Bo dzieciom z woli Bogów się dostało
Dusza zmalała i zdrobniałe ciało.

Dawno już Pramżu ten stary świat stworzył,
I pierwsze lata młodéj jeszcze ziemi
Słodkie, jak każda młodość, być musiały.
Ale niedługo ludzie się popsuli:
Bo tyle złego sama ziemia płodzi
Z temi darami, które dla nas rodzi!
Powstały wojny, nienawiści, zdrady—
Brat zabił brata, ojciec przeklął syna,
A matka córkę, a dzieci rodziców.
Naówczas Pramżu spójrzał z okna niebios;
Spójrzał, i swojej nie mógł poznać ziemi.
—Toż to jest świat mój?! toż to moje dzieci

Gdzież jest ta zgoda, którą ja posiałem?
Gdzież są te cnoty, które w dusze wlałem?—
Rzekł, ręką wrota ótchłani odrzucił,
Gdzie duchy, siedząc, rozkazów czekały;
Dwa z nich wywołał, kazał im na ziemię.
Wanda i Wieja [1] poszły; w ręce wzięły,
Zaczęły światem kołysać i chytać,
Aż wszystkie morza do góry się wzdęły
I z brzegów swoich na ziemię się lały.
Zalały wzgórza, doliny zrównały.
Przez dni dwadzieścia, przez dwadzieścia nocy,
Trwał potop wielki. Ludzie z gór na góry
Próżno się biedni rzucali, płynęli;
Nigdzie im Pramżu suchego kawałka,
Nigdzie suchego nie zostawił kraju:
Bo na przeznaczeń kamieniu odwiecznym
Wyryto było, że wszyscy wyginą.
Lecz kiedy wyjrzał na skaraną ziemię,
Widział ją Pramżu pustą i zalaną,
Widział, jak morskie pląsały potwory
I po nad całą ziemią panowały,
Żal mu był ludzi. A jeszcze ich dwoje
Gdzieś na wierzchołku góry jednej drżało.
Pramżu jadł właśnie niebieskie orzechy,
I rzucił z góry orzecha łupinę.
Wsiedli w nią starzy, Pramżu zamknął duchy

1. Woda i Wiatr.

I znowu wrota na otchłań zarzucił.
Morza do brzegów, rzeki do łożyska,
Wszystko, jak dawniéj, na miejsce wróciło,
I ziemia znowu zielenieć zaczęła,
A trawa kości skaranych pokrywać.

Dwojgu tym ludziom na znak pojednania
Pramżu na niebie zawiesił Linxminę [1],
Laskę pokoju, obietnicę zgody.
Lecz z tylu ludzi tysiąców zostało
Dwoje ich tylko, i to starców dwoje:
Niewiasta, która rodzić już przestała,
I mąż, co władać oszczepem nie zdążał.
Linxmine wolą Bogów im przyniosła.
Ona im rzekła:—Skaczcie przez kamienie,
A każdy kamień w człeka się przemieni.—
Ilekroć stara skoczyła niewiasta,
Tyle się kobiét narodziło młodych;
A ile razy ów starzec przeskoczył,
Tyle się synów od ziemi podniosło.
Tak od nich dziewięć par powstało ludzi,
I dziewięć piérwsze Litwy pokolenia,
Które podziśdzień mieszkają na ziemi;
Dziewięć pokoleń, jak dziewięć jest maści
Koni ofiarnych, które święcą Bogóm.

1. Tęcza.

Było to dobrze przed ojców podróżą.
Jeszcześmy wszyscy we wschodniéj krainie,
Na swojéj ziemi długi czas mieszkali;
Jeszcze naówczas nie skarlały ludy,
I rosły wyżéj głową po nad lasy,
A morze było w kolano olbrzymom.
Cięższe już było po potopie życie.
Człowiek za grzechy pierwszych pokutował:
Bo ziemia była niepłodna i mokra,
A błót i jezior z potopu zostało
Więcéj niż lasu i suchego pola.
Ludzie pomiędzy puszcze się tulili,
W budach i dołach od burz się chronili,
Żołędzią spiekłą i mięsem surowém
Nędzne swe życie krzepiąc, jak zwierzęta.
Bronią im palka, a odzieżą skóra,
A chatą były lasy niedostępne.
Jeszcze dziś ujrzysz podobnych, co dziko
Po za błotami w ostępach się kryją,
I z dzikiém zwierzem, jak zwierz dziki, żyją.

Lecz gdy lat wiele spokojnie tak przeszło,
Królowa krajów z nad morza białego [1],
Krumine, córkę powiła Nijołę,
W zamku nad rzeką Rossą zbudowanym.
Kraj bowiem zdawna miał swych Kunigasów [2],

1. Baltyk.
2. Xiążęta.

Co temi ludy po puszczach rządzili;
Ale, jak one, nędzni także byli.
Nijola piękną wyrosła dziewczyną;
Ale się matka nie cieszyła długo—
Ujrzał ją Poklus wielki Bóg podziemny.
Straszną miłością w sercu się zapalił,
I przysiągł, że ją mieć będzie za żonę.
Czatował na nią, ale porwać nie mógł—
Matka jéj strzegła jak skarbu drogiego.
Rzadko Nijola wyrwała się straży,
Żeby z dziewczęty pobiegać wiejskiemi.
Raz tylko wyszła dla matki po kwiaty,
Co po nad brzegiem rzeki rozkwitały;
Chciała je sama własną zerwać ręką;
Na suchéj trawie zrzuciła obówie,
Wstąpiła w wodę—już Poklus czatował,
Chwycił i zaniósł na ręku do piekła.
Naówczas krzykiem rozbiegły się brzegi,
Pobiegły dziéwki, leciała Krumine,
Przyszła nad rzekę, lecz zastała tylko
W zielonéj trawie zrzucone obówie.
I nikt nie widział, gdzie córka najdroższa,
Kędy się młoda Nijola podziała.
Królowa w gniewie córki swojéj sługi
Zaklęła w Nendry [1], co rzeki pilnują,
Suche, smutnemi kołysząc głowami,

1. Trzciny.

Patrzą i swojéj królewnéj czekają,
Czyli się znowu nie pokaże z wody.

Krumine wyszła córki swojéj szukać.
Przeszła świat płaski, nigdzie jéj nie było.
Płacząc, się nazad do Litwy wróciła.
Ale z podróży przyniosła do kraju
Drogie nasiona zbóż, uprawę roli.
Wówczas się Litwa w żyzny kraj zmieniła.
Wycięto puszcze, podniesiono skiby,
Zasiano ziarno, i dzicy raz piérwszy
Zeszli się w Kiemas [1] na insze już życie.
Odtąd powoli dzicz znikać zaczęła;
Ludy z daleka przyszły tu handlować;
Jedni na Lajwach [2] ku nam przypływali,
Drudzy przez kraje dobiegli sąsiednie,
Niosąc nam srébro i złoto za bursztyn,
Za skóry źwierząt i wosk naszych barci.

Ale gdy obcy wypatrzyli u nas
Lud silny, ziemię, co długi len rodzi,
I drogi bursztyn, który morze daje,
Pozazdrościli nam Litwy, i wkrótce
Wiele ich zbrojnych na Lajwach przybyło.
Zaczęli Litwę bezbronną mordować,

1. Wsie.
2. Łodzie.

Gwałcić niewiasty, mężów pętać w łyka,
Bo kraj nasz posiąść zwyciężony chcieli.
Przestrach po Litwie poleciał jak strzała.
Jedni w las biegli, drudzy w progu domu
Płakali, myśląc, co się z niemi stanie.
Wtém poseł Krewy z laską kraj przeleciał.
Krewe się wszystkim rozkazał gromadzić.
Każdy wziął oszczep, i pożegnał żonę,
Dzieci uściskał, jakby na stos idąc:
Wszyscy się bowiem napastników bali.
I pewnéj śmierci lub pęt wyglądali.
Nikt nie śmiał nawet myśleć o zwycięztwie
Lecz Perkun Khawę [1] zesłał im na wodza.
Litwini wpadli na oboz wśród nocy,
Pobili obcych, zatopili łodzie,
A resztę w ciężką zaprzęgli niewolę.
Długo ich potém widziano na Litwie
Wiodących życie z bydlęty po chlewach.
Lub pług ciągnących ciężki na nowinach.—

Tak mówił starzec, wpatrując się w niebo.
A Witol, słowa połykając chciwie,
Siebie i świata dla nich zapominał.
Potém mu starzec cześć Bogów tłómaczył:

—Ten niewidzialny, odwieczny, niezmienny,
Który napisał przed laty, co będzie,

1. Bóg wojny.

Którego wyrok na włos się nie zmieni,
Jest Okkapirmas, Bóg nad wszystkie Bogi.
Syn jego Pramżu panuje nad ziemią,
Strzeżąc spełnienia ojcowskich przeznaczeń;
Czyta, co ojciec wyrył na kamieniu,
I wie, co będzie; lecz co jest, nie zmieni.
Perkun nad ludźmi panuje przestrachem;
On w ręku trzyma pioruny i burze;
On grozi, kiedy cześć Bogów się zmniejsza;
Piorunem karze, gdy go człek rozgniewa.
Pramżu nie patrzy na ludów mrówisko;
On czyta losy w przeznaczenia głazie.
Co było, będzie, przed wieki, na wieki,
Lecz rzadko oczy na ziemię odwraca.
Perkuna piorun ludzi tylko ściga,
Drzewa obala i puszcze druzgoce;
Lecz Pramżu kiedy uderzy o ziemię,
Kiedy ją pocznie ćwiczyć silną dłonią,
Drży ziemia z strachu i trzęsie się cała [1].
Perkun z innemi władzę swoję dzieli:
Sotwar oświeca, Atrimp wód pilnuje,
A Poklus piekieł, w których jęczą dusze,
Ziemiennik głody lub urodzaj daje.—

I jął mu starzec liczyć Bogów wiele,
Obrzędy ofiar, tajemnic i wróżby.

1 Trzęsienie ziemi.

—Kiedy rok nową wiosną się zaczyna,
Karwilis [1] łąkóm świéżą odzież daje,
Twéj matki Mildy obchodzimy święto.
Wielkie to Bóstwo, co węzłem braterskim
Łączy nas wszystkich i uściskiem spaja;
Co przypomina, że dziewięć pokoleń
Z jednéj się pary w jednym dniu zrodziło;
Wielkie to Bóstwo, co małżeństwóm świeci,
Zsyła im zgodę i roskosze mnoży.
Ciągną się starce, młodzieńcy, dójrzali,
Przed ołtarz Mildy z ofiarą nabożną:
Stary, co miłość doznaną wspomina;
Młody, co jeszcze miłości wygląda;
Dójrzały, co jéj trwanie chce przedłużyć.
Nawet źwierzęta jéj władzy posłuszne
Płaszczą się przed nią; dzicy puszcz mieszkańce
Zapomną walki, łagodni się staną,
Gdy na nich Bóstwo okiem tylko rzuci.
Na wiosnę także Pergrubją [2] witamy;
Prosim Perkuna, by powściągnął burze;
Swajstyxa, żeby światła nam nie skąpił;
Pilwity [3], żeby dary swe mnożyła;
A Mildy, żeby wszystko osłodziła,
I dała zgodę, pokój między bracią,
I miłość droższą nad Pilwity skarby.

1. Miesiąc gołębi (Maj).
2. Bogini wiosny, kwiatów.
3. Bóstwo dostatku, bogactwa.

W piérwszy dzień wiosny, kiedy słońce wstaje,
Litewskich Kiemów [1] dziewczęta się budzą,
Biegąc u wschodu powitać Pergrubie
W wozie Lelusa [2] przez nieba jadącą.
Zda się naówczas, że wszystko odżywa:
Bo to dzień wielki, dzień to tajemniczy.
Wszystko stworzenie jemu się raduje.
Kwiaty ku słońcu wesoło patrzają;
I więcéj w tym dniu jednym ich rozkwita,
Kiedy Sutinkaj [3] nad niemi zaświeci,
Niżeli potém przez całe miesiące.
Dzień to wesela—wszystko po wsiach żyje;
Młodź i kobiéty ofiary składają;
Każdy się do niéj choć cząstką przyłoży;
A kiedy Dejwie wiosny kozła biją,
Krew jego lejąc, te słowa śpiewają:

—O Pani nasza! Bogini Pergrubie!
Ty, która zimę precz od nas odpędzasz,
Ty, która trawy i kwiaty ożywiasz,
Prosim cię, spójrzyj i na zboża nasze,
Pomnóż nam plony, wytęp chwasty szkodne,
I podnieś kłosy, jak podnosisz trawy.—

Jeśli ich nędza, ciężki głód uciska,
Inną modlitwą Auszlawisa proszą,

1. Wsie.
2. Słońca.
3. Pierwszego dnia roku nazwanie.

Żeby im rękę podał i uzdrowił;
Lub Puschajtisa podziemnego Boga,
Żeby się do swéj starszéj braci wstawił.
O ciemni ludzie! zamiast się poprawić
I zemstę Bogów od siebie odwrócić,
Oni Bóstw nowych w Dungusie szukają,
Niezasłużonéj prosząc u nich łaski.
Nim Pilwit nowe zeszle im dostatki,
Oni na uczcie, oni na weselu
Drogi czas pracy przetrawią i zgubią.

Na wiosnę także jest pastusze święto.
W trzodzie wieśniaka bogactwo i doba.
Proszą, ażeby Goniglis [1] jéj bronił,
A Lelus [2] swojém światłem dobroczynnem
Drapieżne zwierzę od trzody odganiał,
Kiedy się z puszczy zdradliwe zakrada.

Ujrzysz ty kiedyś te wiejskie obrzędy,
Co się na uczcie kończą i biesiadzie
Szałem pijanych, młodzieży rozpustą;
Posłyszysz kiedyś tę piosnkę pastuszą,
Którą, pamiętam, w zielonych dolinach
Słyszałem kiedyś, biegając chłopięciem:

1. Bóstwo pastusze.
2. Słońce.

— Goniglu Bożku! paś moje stado,
Paś mi buhajka i krowę;
Nie puść złodzieja wilka, o Lado,
W łąki nasze i dąbrowę.

Owce pasiemy po błoni,
Ciebie, wilku, nie lękamy—
Bóg z złotym włosem na skroni
Nasze stado pasie z nami.—

Latem przychodzi wielkie święto Rosy.
Jest to odwieczna uroczystość nasza,
Święto nad święta, którego początku
W dalekich wiekach za nami nie widać:
Bo je przodkowie ze wschodniéj krainy
Przynieśli tutaj z Bogami swojemi.
Wielkie to święto, wielka radość ludu!
—Lado!—wołają, biegając szaleni,
I ognie palą, cieszą się, weselą,
Całą noc krótką czuwając na dworze.
Noc ta jest nocą tajemnic i cudów;
Lecz tłum choć czuwa, nic nie widzi wkoło,
Biesiadą tylko zajęty i gwarem.
Biada tym, którzy to święto znieważą!
Ludzie odepchną, Bogi ich ukarzą,
I pójdą nędzni gdzieś w pogańskie kraje
Dokonać reszty nędznego żywota
Z przeklęctwem braci ciężącém na karku

I zemstą Bogów wyrytą na czole.
Téj nocy ludzie mogli, gdyby chcieli,
Dostać od Bogów mądrości i siły;
Lecz oni wolą przy ogniach ucztować
I tak jest dobrze — takie przeznaczenie.

Gdy piérwsza kosa dotknie zbóż dojrzałych,
Obchodzą po wsiach wesołe zażynki
Ofiarą wielkiéj Królowéj Krumine,
Która im piérwsze przyniosła nasiona.

Gdy Sillu miesiąc na niebo się wtoczy,
A w polu wszystkie roboty skończone,
Naówczas wielką dziękczynną ofiarę
Ziemiennikowi ze zwierząt składają;
Biją je, warzą, przy śpiewach wesołych
I przy modlitwach wiejskiego Wurszajta [1],
Którego na ten obrzęd uroczysty
Zpośrodka starszych na wiosce wybiorą.
Jest w Szwenta-Mesta posąg Ziemiennika,
Który co roku, kiedy z pola zbiorą,
Stary zdejmują i tłuką w kawałki,
A nowy święcą, bijąc mu ofiary.
Jest to nauką, by lat, co skonały,
Zapomnieć nieszczęść, żyć jutra nadzieją.
Może to cała szczęścia tajemnica.

1. Kapłan wiejski.

Jest potém święto na ojców pamiątkę.
Dzień to Wellony. Jéj krewni wzywają,
Ażeby braci, ojców, matek, żony
Duchóm na ziemię zstąpić dozwoliła,
I znowu zasiąść za stołem ze swemi.
Święto Chauturej jest świętem pamiątek.
Wszyscy się ciągną na ojców mogiły,
Umarłym jadło i napój przynoszą,
I płacząc po nich, do uczty spraszają.
Ten dzień nas łączy z umarłym już światem.
Nieraz naówczas ze wschodniego kraju,
Wyrwane jękiem, prośbą i modlitwą,
Duchy nad ziemię naszą się zniżają,
I łzawym oczóm potomków się jawią:
Albo jak mara, co w nocy przelata,
Albo jak ptaszek, co na bzach świergoce,
Albo jak Lejlas [1], na którego skrzydłach
Duch śmierci wyrył tajemnicze runy.
Ubodzy potém, po zmarłych dziedzice,
Resztki biesiady z mogił zabierają.

Na Ilgi święto Perkuna przypada,
W wielkim miesiącu. Po nim na wsiach Litwy
Święto Wajżganta kobiéty obchodzą:
Bo len jest także bogactwem Litwina.
Dni Messedrines są Bożka Raguta.

1. Motyl.

Pora to szału, rozpusty, pijaństwa.
Ode wsi do wsi srokatym zaprzęgiem
Wiozą bałwana, wykrzykując pieśni,
Cichych przechodniów ciągnąc do biesiady,
Którą kapłani Potinikaj święcą.
Zdala za tłumem starce i staruchy
Wloką się, pieśniom wtórując pijanym,
Skacząc i krzycząc:—Ragutas, Ragutas!—
Lud w owym szale pracy zapomina,
I resztę siły na jutro potrzebnéj
W długiéj rozpuście rozprasza niebaczny,
Myśląc, że tego wymagają Bogi.

Potém już koniec trzynastu miesięcy
Obchodzim w święcie największém Kolady.
Naówczas lud się od grzechów oczyszcza
Kozłem ofiarnym, gorącą modlitwą;
Kapłan ofiarną krwią skrapia zebranych;
A po godzinie ciszy i spokoju,
Znowu do szału i biesiad wracają;
I w Blukku Wakars paląc rok przeżyty,
Cieszą się, że już daleko za niemi;
A nowy bałwan ubrawszy w błyskotki,
Jako skarb drogi, do domów odnoszą.
O! lud nasz, synu, lubi się weselić;
Nawet ofiary, naszych Bogów święta,
Ucztą, biesiadą i szałem zamyka:

Bitny on w polu, pracowity w domu,
Ale na jutro i siebie niepomny;
Czci dzień dzisiejszy, jak ojców wspomnienie,
A burza, która nad głowy się zbiera,
Dopiéro straszna, kiedy weń uderzy.
Nigdy jéj Litwin przewidzieć nie żąda,
Nigdy się od niéj uchronić nie stara.
Gdy pełne chaty, nabite stodoły,
Jedzą i piją, dopóki wystarcza;
Przyjdzie głód potém — wszyscy się rozbiegą
I pójdą chleba daleko gdzieś szukać.—

Tak mówił starzec; a Witol spragniony
Słuchał go duszą młodą i ciekawą.
Drugi raz patrząc w niebo mądry Krewe,
W błyszczące gwiazdy zgasłe oczy wlepiał,
I Witolowi dawne prawił dzieje
Xiężyca, słońca i gwiazd ich orszaku:

— Słońce Bogini jest xiężyca żoną.
Codzień powstaje ze wschodniego kraju,
Z mokréj kąpieli, na wozie złocistym,
W którym trzy konie wprzężone hasają.
Powolnie niebo przejeżdża dzień cały,
Aż znowu wróci na łoże spokojne.
Z ich się małżeństwa gwiazdy porodziły,

Co jaśniejszemi promieniami świecą.
Mniejsze, ich wnuki, niedorosła dziatwa.
Synowie słońca zaludnili niemi,
Wprzód puste jeszcze, te nieba szérokie.
Niedługo xiężyc został żonie wierny,
Jak piérwszéj wiosny, piérwszego dnia ziemi;
Wkrótce on córkę jutrzenkę pokochał,
Unikał słońca, w nocy zaczął chodzić,
I pod dzień biały na niebie się bawić.

Słońce raz wyszło wcześniéj z łoża swego,
I niewiernego z jutrzenką zastało;
Naówczas miecz swój ogromny porwało,
Oblicze męża rozcięło na dwoje.
I odtąd Menes skarany na wieki,
Co miesiąc dawne powtarzając dzieje,
Wschodzi rozcięty, póki nie uprosi,
Aż słońce twarz mu zrąbaną przywróci.

Ta wielka gwiazda jest to Wakarinne,
Gwiazda wieczorna, co w piérwszym dniu ziemi,
Z piérwszych uścisków słońca i xiężyca,
Zmrokiem się zaraz na niebo wtoczyła.
Ona przychodzi świecić od wieczora;
Pod ranek niknie, na słoneczném łożu
Odpocząć przez dzień do nowéj podróży.

Każda z gwiazd mniejszych jest Gulbi [1] człowieka.
Z wierzchu żywota nici przywiązana
Świeci, dopóki on żyje na ziemi;
Odcięta ręką Nukirptoj, upada.
Ilekroć, synu, tę gwiazdę postrzeżesz,
Co się gasnąca ku ziemi przybliża,
Człek to umiera, a duch jego wzlata
W paszczę Wiżuna, lub na wschodnie góry.

Ten starzec z brodą, to prorok jest świata,
To Udegita [2], co przyszłość zwiastuje.
Kiedy ku ziemi z brodą się nachyli,
Głód, mór lub wojnę otrzęsa ze włosów.
On to w noc piérwszą po słońca weselu
Piérwszy niewierność xiężyca wywróżył,
I zamiast pieśni weselnéj tańcerzóm,
Nieszczęścia wróżby na głowy im rzucił.
Patrzaj na północ — tam Grižulas świeci,
Wóz tajemniczy bez rumaków stoi.
Dawno to, dawno, na słońca weselu,
Wioząc dziewicę do lip Lajmy gaju,
Złamany, w drodze na wieki pozostał.
Ta biała pręga zwie się ptaków drogą.
Nią dusze lecą do krainy wschodu.

1. Stróż.
2. Kometa.

To jest Jukszlandis, to Tikutis świetny;
Ta wielka gwiazda jest gwiazdą Perkuna,
Jak on odwieczna, jak on nieśmiertelna.
Inne są także, które Bogom naszym
Na jasnych czołach stupromienne świecą;
Mniejsze zwieszone po nad ludzi głową.
Ile ich w górze widzisz tam błyszczących,
Tyle jest duchów, i Bogów, i ludzi,
A każdy w niebie mieszka gwiazdą swoją.
Po nad wszystkiemi ma rząd Żwajgżdunoka.
Ona je zrzuca, gdy człowiek umiera;
Ona zapala, gdy dziécię się rodzi;
Ona im światła z wozu słońca bierze
I codzień świéże na plecach roznosi.
Gwiazd Boga żona z nim razem swą trzodę
Po modréj pasie co nocy równinie.—

Tak mówił starzec; codzień, co wieczora,
Nową naukę w młodzieńca przelewał;
I jak jaskinia po nad morza brzegiem,
W którą od wieków morze skarby składa,
Bursztyn, korale i drogie kamienie,
Póki ich rybak znalazłszy nie wydrze,
Tak starzec wieści, które sto lat zbierał,
Teraz dopiéro wylał ze swéj duszy.
A Witol z całym młodzieńca zapałem
Wszystko połykał, i zawsze łakomy,

Nowego żądał i o więcéj prosił.
Tak mu spłynęły dwa lata w Romnowe;
Zmieniły myśli, rozszérzyły serce.
Widział już świat ten, w który miał się rzucić,
Przeczuciem młodych, a nauką starca.
Śmielszy do boju, kiedy przyszłość marzył,
Nie tak ją straszną i czarną już widział;
I już starego ojca nie żałował,
Ni chaty w puszczy, ni zabaw dziecięcych,
Które nie jeden raz wprzódy opłakał;
A w sercu uczuł ten zapał do boju,
I to pragnienie walki z ciężkim losem,
Których któż w życiu choć raz nie doświadczył?

Tymczasem prędko płynął czas w Romnowe.
Krewe-Krewejtę pochylały lata;
I jak ta kropla, co pełne naczynie
Jedna przepełni, tak jemu godziny,
Które długiego domierzały życia,
Już się naprózno wezbrane zlewały.
Nie czuł ich starzec; ni w życiu roskoszy,
Ni w duszy swojéj sił na dalsze życie.
Ni w sercu węzła, coby go do świata,
Coby go jeszcze do ludzi krępował.
Wszystkie już dawno pęknięte leżały.
Wzdychał za cichym spoczynkiem w mogile,
Za połączeniem z ojcami swojemi;

Płakał nad Litwą; to znowu bezsilny
Często wśród ofiar usnął i spoczywał,
Jakby już duszą w wschodni kraj ulatał,

Gdy się rok skończył, w Oczyszczenia święto,
Po raz ostatni zawołał Witola.
—Synu!—rzekł—czas już, bym życia dokonał,
Tak, jak przede mną wszyscy poprzednicy.
Stanę na stosie i za lud mój spłonę,
Którego grzechów ni kozieł ofiarny,
Ni modły żadne od kar nie zasłonią.
Krwi méj potrzeba—oddam im krew moję.
Tobie, Witolu, zostawuję skarby
Najdroższe z skarbów— doświadczeń owoce.
W ciebie przelałem myśl moję i duszę.
Idź w świat, i niech cię pioruny Perkuna
Miną w godzinie świętéj jego zemsty.
Ja z ojcem twoim i z ojcy naszemi
Idę się złączyć.—Gdy tak mówił Krewe,
Błyszczącém okiem w młodzieńca poglądał;
A on łzę srébrną ukradkiem z powieki
Ręką ocierał, i kraj starca szaty,
W milczeniu cisnąc i płacząc, całował.
—Ojcze!—rzekł—cóż się ze mną biednym stanie?
Gdzież się podzieję? Matka się wyrzekła,
Duchy mnie gonią i zemsta nade mną!—

— Oto — rzekł starzec — miecz, którym ty duchy
I nieprzyjaciół pokonasz najsroższych.



Miecz to wielkiego na Litwie rycerza.
Nigdy on ręki nie zawiódł walecznéj.
Nie tylko ziemskich przemoże on wrogów,

Lecz duchów nawet odpędzi od ciebie.
Weź go. To druga jest po mnie puścizna.
Gdy się stos święty zawali pode mną,
Idź z nim w tę stronę, w którą cię powiedzie
Piérwszy liść wiatrem przed tobą pędzony.
On przeznaczenia pokaże ci drogę.—

To rzekł, i zwołał starzec Wejdalotów.
Przyszli z nieszczérą obłudników twarzą,
Spuszczoném okiem i kornym pokłonem.
Dawno już oni téj chwili czekali,
Bo jeden z nich miał nastąpić po Krewie.

—Zwołajcie lud mój—rzekł starzec.—Ja czuję,
Że czas mi spłonąć na śmiertelnym stosie.
Wielką zgotujcie ucztę i ofiarę,
Bo pora Bogów straszny gniew przebłagać.—
Upadli przed nim i poszli z rozkazem.
Każdy przed sobą niósł laskę poselską,
I ze wsi do wsi, od chaty do chaty,
Lud zwoływali na obrzęd w Romnowe.

Wszyscy śpieszyli, zewsząd lud się cisnął.
W puszczach głębokich wieścią obudzony

Zrywał się Litwin, i z oszczepem w ręku,
Z ofiarą w sakwach, biegł oglądać Krewy,
Ostatnią chwilę i obrzęd ostatni.

Nareście nadszedł dzień ów uroczysty.
Po nad rzekami tłum ludu dolinę
Gwarny, ciekawy, zmięszany zalegał.
Za świętym dębem z najdroższego drzewa
Stos Wejdaloci układli wysoki.
Do niego słane białemi płótnami,
Sypane kwieciem prowadziły wschody.
Po rogach stosu ofiarne ołtarze
I ognie święte trzy doby płonęły.
W blizkiéj zagrodzie podarki, ofiary,
Które lud znosił, składali kapłani.
Cztérech Ewarte przy ołtarzach stało;
Przy każdym po dwóch Krewe w białych szatach,
W wieńcach na skroni i laskami w ręku;
Za nimi rzędem pomniejsi Krewule
I Wejdalotów gmin niepoliczony,
Wiejscy wróżbici, Sygonoci biedni,
Co się po siołach za jałmużną włóczą,
I Burtinikaj z gęślami na ręku,
Puttones, którzy zwaśniony lud godzą.
Wszyscy tam przyszli za jałmużną lichą,
Z gęślami, wróżbą, z miłośnemi leki,
Ubóstwem swojém i prośbą na ustach.

Powstało słońce wielki dzień oświecić
Krewe-Krewejty ofiary i śmierci.
Już Wejdaloci krzątali się wkoło,
A lud u stosu cisnął się ciekawy.
Nareście drzwi się świątyni rozwarły,
Starzec niesiony na ręku kapłanów
Wyszedł do ludu — lud upadł na twarze,
I panowało milczenie nad tłumem.
Wokoło Krewy gęślarze, śpiewający,
I grajków orszak szedł z pieśnią poważną;
Za nim kapłani, kapłanki, dziewice;
Niesiono Bogów posągi straszliwo,
I zielonemi liśćmi drogę słano.
Krewe-Krewejto w białéj siedział szacie;
Siedémkroć siedém pas go opasywał;
Przez prawe ramie przepaska wisiała;
Na skroni czapka wysoka, błyszcząca
Złotem i drogich kamieni wyborem,
I zielonością świeżą uwieńczona,

Szli aż do stosu w milczeniu głębokiém,
Które gęślarze przerywali smutnie.
Lud patrzał cichy i pochylił głowy;
A Wejdaloci świętéj rzeki wodą
Tłumy zebrane, śpiewając, kropili.
Kapłani starca już na stos podnieśli,

I wszyscy zeszli; on został sam jeden.
Znów cisza—czeka lud słowa w milczeniu.
Starzec ostatni raz z piersi wydobył
Głos, co za chwilę na wieki miał zgasnąć.

—Ludu mój!—rzecze—klęski na was spadły!
Wróg niszczy Litwę i brańców zabiera!
Codzień mniéj ludzi z wyprawy powraca,
I codzień sioła szérocéj pustują,
I codzień pola szérzéj chwast pokrywa
Głód na was patrzy! Bogi gościnności
Mór ciężki, karę na winnych zesłały!
Leci nad Litwą i płachtą powiewa;
A gdzie się czarny pokaże posłaniec,
Sypią mogiły i po Numach płaczą!
Grad wasze pola, ulewa ogrody,
A burza lasy codzień niszczy strasznićj!
I jeszczeż o swych występkach wątpicie?
Jeszcze o gniewie Bogów swych nie wiécie?
Codzień, to gorzéj! codzień klęski srogie
Idą, jak płomień po lesie puszczony!
Ludzie padają i sioła się walą!
I Udegita płomienistą brodę
Zwiesił na niebie, czérwonemi oczy
Spogląda na was i zemstę wam wróży!
Jeszczeż to Bogów błagać wam nie pora?

Oto ja za was na święty stos idę.
Może śmierć moja gniew Bogów ukoi,
Może krew moja zemstę zaspokoi.
Idę i spłonę za was, ludu Litwy!
Lecz bądźcie godni przebaczenia Bogów.
Długo ich zemsta nad ludem się zwleka,
I długo Perkun z piorunami czeka;
A kiedy piérwszy wyrzuci z swéj dłoni,
Nieprędko, dzieci, ujrzycie ostatni!
Trzeba wam wrócić do ojców prostoty,
Do pobożności, do zgody i cnoty;
A wówczas Bogi oblicze rozświecą
I łaski swoje na głowy wam zleją.

O dzieci! nie tak za ojców bywało,
Jako się teraz w naszéj Litwie dzieje!
Częściéj lud Bogów odwiedzał ołtarze,
Lepszemi dary zemstę ich zaklinał
I szczérszém sercem niósł dla nich ofiary.
Insze też czasy przeszły po téj ziemi—
Lata spokojne. Wróg jéj nie napadał,
I mór do pogan daleko gdzieś leciał,
I Perkun burzą nie niszczył zasiewów,
I Ziemiennikas dawał urodzaje,
I Atrymp wody utrzymywał w brzegach;
Podziemne duchy pobożnym służyły,

Nie, jak dziś dla was, szkodliwemi były.
Teraz Pilwite twarz od was odwraca,
Auszlawis chorób nasyła tysiące,
Których ni popiół ze Znicza ołtarzów,
Ani kapłanów nie leczy zaklęcie.
O dzieci moje! czas się upamiętać!
Niechaj podróżni swobodni wędrują;
Niech nikt gościowi nie odmówi chleba,
Ni dachu w słotę, ni w nocy posłania,
Ani ogniska, by osuszyć szaty;
Niech zgoda dzieci z ojcami połącza;
Niech się brat z bratem nie waśni zajadle;
A wówczas Bogi twarz do was obrócą,
I miecz przez pały wyjęty nad wami
Nie dotknie karków Litewskiego ludu.—

Tak mówił starzec; lud płakał, słuchając;
A Wejdaloci na czterech ołtarzach
Palili Bogóm błagalne ofiary.
Potém znów Krewe podniósł głos do ludu,
I długo mówił, i mówił ze łzami,
I żegnał wszystkich; wszyscy go żegnali,
Padali na twarz i łkając płakali.
Nareście ustał starzec, ręką skinął,
Stanął na stosie, wzniósł oczy do nieba,
Modlił się długo i lud błogosławił.

Usiadł; a ogień wziąwszy poświęcony,
Sam stos, ostatnią ofiarę, podpalił.



Wyschłe się drzewo zajęło, i w chwili
Gęsty dym starca osłonił dokoła.
Niekiedy tylko wiater go rozpędzał;
I wówczas widać było na wierzchołku,
Jak siedział niemy bez krzyku, bez jęku,
I zdał się wolno w płomieniach usypiać.

Trąby i rogi, śpiewy i piszczałki,
Razem z płomieniem dokoła zawrzały.
Nim Bodziawołos [1] Wałundę [2] dosypał,
Popioły tylko zostały z ofiary,
A starca tylko u ludu pamiątka.
I już nowego Krewe Wejdaloci
W wrota świątyni wesoło przywiedli;
Tłum go odgłosem powitał wesołym,
I łez wylanych przed chwilą zapomniał.

Kiedy ostatnia głównia dogasała,
Witol, z łez mokre ocierając oko,
Westchnął i spójrzał—przed nim liść wzlatywał;
I on za liściem w nieznajomą stronę
Puścił się, modląc do Boga podróżnych [3].

1. Zegar.

2. Chwila—pewny rozmiar czasu.

3. Kielo-Dewas—Bóg podróżnych.



ZEDŁ smutny Witol ze spuszczoną głową;
A miecz Krewejty zwieszony u pasa
Wlókł się po trawie, brzęczał po kamykach.
Za nim z Romnowe pomięszane głosy,
Jakby wspomnienia przeszłości, goniły.
Szedł ku południu, bo tam liść przewodnik
Leciał, wiatrami po drodze niesiony.
Piérwszy raz sam się puszczał w podróż długą;
Lecz chociaż świata mało widział okiem,
Przeczuł go duszą i zmierzył myślami.
Marząc, do lasu dostał się gęstego,
I usiadł spocząć na zieloném wzgórzu,
Pod wielką jakiejś rodziny mogiłą.
Na niéj, jak gdyby gwiazda z niebios spadła,
Leżały siwe w sześć promieni głazy.
Z strony południa zawarte kamieniem

Wrota mogiły, na resztę rodziny,
Na dzieci ojców i na mężów żony,
Zielonóm darniem kryjąc się, czekały.

Tu usiadł Witol spocząć i podumać.
Gaj, szumiąc cicho, do snu go wyzywał;
I strumień święty, nad którego brzegiem
Choroby starte na szmatach wisiały,
Szemrał, w gęstwinę lasu się wdzierając.
Zaledwie oczy lekki sen przymykał
I stos mu Krewy marzyć się zaczynał,
Usłyszał łoskot. Górą ptak przeleciał;
Kracząc, zawisnął po nad nim wysoko,
I znowu zniknął za drzew gałęziami.
Lecz w głosie ptaka, i locie, i pierzu,
Poznał, że puszczy nie był to mieszkaniec,
Ale duch z pod stop Perkuna puszczony,
Który po świecie zemstę jego nosił;
Powstał więc, jakby do walki wyzywał,
I oparł rękę na rękojeść miecza.
Wtém białą drogą, wijącą się w gaju,
Ujrzał ku sobie idącego starca.
Siwą miał brodę, ubogie odzienie,
Laskę podróżną, nogi bez obówia,
Na plecach sakwy, nakrycie na głowie,
Co Sigonotów włóczęgów znaczyło.
Zbliżał się, chwiejąc, powoli, i mruczał,
I na Witola z pode łba spozierał:

Stawał, szedł znowu; a gdy się z nim zrównał,
Odetchnął chwilę i tak go powitał:
—W imie Bentisa, w imie Kielo-Dewas,
Bądź pozdrowiony, wędrowniku młody!
Wszak pewnie idziesz od strony Romnowe?—
—Z Romnowe, ojcze!—I ja się tam ciągnę,
Ale zapożno: bo Krewe-Krewejto,
Święty nasz ojciec, pewnie się już spalił?—
—Kiedy ostatnia głownia stosu gasła,
Jam wówczas, starcze, z Romnowe wychodził.—
—Szkoda! straciłem do ludu przemowę!
A tak z daleka szedłem na ten obrzęd,
I po jałmużnę, którą już zapewne
Pomiędzy naszych rozdzielić musieli.—
—Śpiesz się, a może trafisz na jałmużnę.
Ja nie mam, czém ci dopomódz na drogę,
Sam jestem biedny, a idę daleko.—
—Niechaj cię Bogi szczęśliwie prowadzą.
Dokądże idziesz?—
—Na Litwę głęboką.—
—Wojak, czy dworak, czyś poseł xiążęcy?—
—Podróżny tylko.—Wolny, czy poddany?—
—Spójrzyj na włosy, dość ci tego będzie;
Spójrzyj mi w oczy; ja ci nie odpowiém.—
—Do swoich pewnie, do ojca, do matki?—
—Jestem sierota, idę—do mogiły.—
—Do ojca?—
—Prawda. Zkądże wiész to? starcze!—

—Zkąd? Wszak mówiłeś, bym ci spójrzał w oczy;
A ja z twych oczu więcéj cóś poznałem.
Niż może chciałeś, żebym się dowiedział.—
—Nie mam tajemnic, z niczém się nie kryję.—
—Z niczém? Żartujesz ze starca, młodzieńcze!
Wielem ja ludzi widział już na świecie,
Wielem ja rzeczy ukrytych odgadnął;
I w twém jest sercu wielka tajemnica.—
—Może. Idź, starcze! Niech cię Kielo wiedzie!
Trafisz w Romnowe jeszcze na jałmużnę.
Ztąd niedaleko. Nie baw się, pośpieszaj.
Na prawo droga wiedzie na dolinę,
Kładka na rzece, i ujrzysz dąb święty.—
—Chwilę, mój młody! Czegoż się mam śpieszyć?
Wszakże usiadłeś spocząć pod mogiłą.
Spoczniemy oba. Bentis dopomoże,
I my się lepiéj zapoznamy z sobą.—

Witol nieufnie na starca poglądał:
Bo z oczu jego jakiś blask złowrogi,
Jakaś myśl dzika zdawała się łyskać;
Lecz na Bentisa zatrzymał się imie;
Nie śmiejąc ruszyć, pozostał na miejscu.
Starzec swe sakwy na ziemi porzucił,
A sam powoli usiadł pod mogiłą.
Milczeli oba, spoglądali tylko.
Z podróżnych węzłów dobył Sigonota

Mizerną strawę, i, szepcąc modlitwy,
Rzucił ofiarę, nim zaczął pożywać.

Witol w milczeniu spoglądał na niego.
—Idziesz daleko—rzekł mu wróżbit stary—
A z czémżeś, bracie, wybrał się na drogę?
Czy masz ty zapas? czy ufasz w gościnę?—
—W imie Nemejas i Peskia gdy wezwę,
Któż mi ogniska i chleba odmówi?—
—O! jest już Maras [1] na Litwie oddawna,
A to znak przecię jest niegościnności.
Źleś się, mój młody, wybrał w długą drogę.—
—Mam łuk, by ptaka w południe zastrzelić,
I miecz, by drzewa na ogień narąbać.—
—Nie zawsze ptaki na podróżnych lecą,
Nie zawsze lasy będziesz miał na drodze.
A wiészże drogę do ojca mogiły?—
—Wiém—odpowiedział Witol zadziwiony,
Zmierzając starca oczy ciekawemi.
Lecz *Sigonota* na dół spuścił głowę,
I znów spokojny jedzenie pożywał.
—Pozwól—rzekł potém—powróżyć na drogę.—
—Nie mam, mój ojcze, czém za wróżbę płacić.—
—A kiedy nie chcę od ciebie zapłaty?—
—To i ja wróżby od ciebie nie żądam.—
—Dasz mi twych włosów garsteczkę w zastawie.—
—Nie nie dam, ojcze!—Witol powstał z ziemi

1. Mór.

I chciał odchodzić. Lecz i starzec powstał;
Ale nie starcem; wzniósł się na mogile,
Urosł w wielkiego za chwilę olbrzyma,
I głową dosiągł najwyższego dębu,
A ręce długie, jak dębu konary,
Ku młodzieńcowi wyciągnął skwapliwie.
On za miecz porwał, i o drzewo sparty
Czekał napadu śmiało i spokojnie.
—Dasz mi twych włosów!—krzyknął duch szydersko—
Dasz mi ich z głową razem, Mildy synu!
Znam cię, kto jesteś! Dwadzieścia lat szukam,
Zbiegałem puszcze, i zamki, i Numy,
Niedźwiedzie łomy, Staubunów pieczary,
A nigdzie dotąd nie odkryłem ciebie.
Lecz kiedy dusza Krewejty leciała,
Na białéj sukni Perkun postrzegł plamę.
Plamę tę twoje łzy na niéj zrobiły.
I po niéj przecie do ciebie doszedłem:
Bo któżby cię był u dębu Perkuna
Pod płaszczem Krewy mógł szukać i znaleźć?
Teraz tyś moim!—
I Grajtas poskoczył,
Wyciągnął ręce; lecz Witol go mieczem
Popchnął tak silnie, że upadł na ziemię
Porwał się Grajtas drżący, rozzłoszczony;
Widać, obrony takiéj się nie spodział
I takiéj siły w młodzieńca ramieniu;
Odskoczył, przypadł i pełznął pod nogi.

Chcąc go wywrócić. On w stronę się umknął.
Naówczas Grajtas, zmieniwszy się w ptaka,
Trzepnął skrzydłami, podnosząc wysoko,
Wzbił się do góry, w powietrzu zawiesił,
I nagle z świstem, jak kamień, upadał,
Dziob roztworzywszy, nasrożywszy szpony;
Lecz Witol ostrze cudownego miecza
Ku górze zwrócił i i przebił nim ptaka.
Znów krzycząc Grajtas, podniósł się do góry,
Długiego węża skórę wdział na siebie,
Pełznął po drzewie, syczał smoczym głosem,
Chciał go pochwycić, uwikłać i zdusić;
Ale się Witol ucieczką ratował,
I miecz podniosłszy, uciął głowę gadu.

Wtém wszystko znikło, jak senne marzenie,
I krwi na mieczu nawet nie zostało.
Grajtas gdzieś z wichrem uciekł zawstydzony.
Witol szedł daléj.
Już blisko noc była,
Ale zawady spotykał co chwila:
Droga się coraz w ścieżynę zmieniała;
Łomy ją, wpoprzek leżące, grodziły;
Rzeki, jak gdyby umyślnie, pod nogi,
Pieniąc i szumiąc, biegły, podpływały;
Przez nie zaledwie wązka wiodła kładka,
Lub dąb spróchniały z gałęźmi rzucony,
Co się pod nogą chylił i uginał.

Ze śmiałém sercem szedł Witol przed siebie,
Łamał gałęzie grodzące mu drogę
I wązkie kładki jednym mijał skokiem.

Noc coraz bliżéj, a nie widać chaty,
Ni dróg do sioła, ani życia znaku,
Nie spotkał bydła idącego z paszy,
Ani wieśniaka z wozem smolnych drewek.
Zewsząd go głucha objęła pustynia.
Już noc gwiazdzista po nad nim wisiała,
A co krok nowe i cięższe zawady:
To wąż ogromny, sycząc, pełznął drogą;
To wilk otwartą paszczę z po za krzaku
Wychylał, mierząc go okiem błyszczącém,
Jakby chciał poznać, czy ma się czém bronić;
To po dolinie niedźwiedź się przesuwał.
I ukrył w puszczy, rycząc przeraźliwie,
Jak gdyby braci na pomoc przyzywał;
To ptacy jacyś nieznanemi głosy
Z wierzchołka dębów żałobnie krakali,
I po nad głową Witola skrzydłami,
Lecąc, powietrze z szumem rozbijali.
Nareście słabe w oddali światełko
Mignęło, ludzkie mieszkanie zwiastując;
Mdłe i białawe pod lasem błyskało.
Witol ku niemu zwrócił się radośnie;
Lecz szukał ścieżki, a ścieżki nie było.
Za gęstym łomem, pomiędzy pniakami,

Niekiedy tylko zdala zaświeciło;
Lecz w lewo, w prawo zdawało się błąkać,
I podróżnego naumyślnie zwodzić.
Stanął, i wspomniał Grajtasa wybiegi,
A potém nazad ku drodze się zwrócił.
Natrafił ścieżkę, i światła nie patrząc,
Z dobytym mieczem szedł dalej drożyną.
Światło zniknęło, znów ciemność dokoła,
I głucha cisza, przerywana tylko
Szelestem liści, krzykami Pełedy [1].

Długo tak Witol pośród nocy ciemnéj
Drapał się puszczą i pola przebiegał,
Błota przegrzęzał i rzeki przebywał.
I zdało mu się, że ta podróż nocna
Dłużéj niżeli przez noc zwykłą trwała,
Jakby dwie nocy bez końca zimowe.
Spoglądał na wschód, upatrując ranku;
A ranek z Aussrą jeszcze nie przychodził
Ludzi i wiosek nie było ni śladu,
Ani mogiły nad drogą wyniosłéj,
Ani świętego kamienia podróżnych,
Ani pastwiska zbitego trzodami,
Ani ogniska wiejskich nocleżanów;
Tylko go dzikie otaczały bory

1. Sowa.

I błota trawą wysoką zarosłe,
I puste pola okryte wrzosami.



Długo tak błądził. Aż się las otworzył.
Małemi krzaki i trawą usłane

Szérokie pole przed nim się ciągnęło.
Na polu w dali widać było wioskę,
W któréj już ranne łuczywa świeciły,
I dym z Wietów [1] ku niebu się zwijał.
Lżéj mu się stało: bo już odpoczynku
Po nocnym trudzie i chleba zapragnął.
Śpieszył do sioła.
U brzegu strumienia
Leżały Numy [2], wiśniowemi drzewy,
Bzy i lipami osłonione wkoło.
Po jednéj stronie chrominy wieśniacze,
Po drugiéj gumna i obory stały.
Kręta ulica wiodła środkiem sioła.
W ogródkach ujrzał przy świetle poranka
Rutę zieloną, poświęcone śmiecia,
Które zrzucają na cześć Mahslu Babie,
I krzywe wiśnie pod Kirnisa [3] strażą.
Piały koguty, witając jutrzenkę,
A skrzętny lud już do pracy powstawał;
Pastusi trzodę pędzili na łąki,
Goniglisowi [4] składając ofiary.

Do sioła tego ostatniéj chrominy
We drzwi ubogie zapukał podróżny,

1. Dymnik.
2. Chaty.
3. Bożek — stróż drzew wisniowych.
4. Bożek pastuchów.

I w imie Peskia o gościnę prosił.
Przyszedł gospodarz i rygiel odsunął,
Ku podróżnemu wyciągając rękę.
— Bracie! — zawołał, patrząc przelękniony —
Cóż cię to nocą przez te puszcze gnało?
Jakiémże szczęściem przebyłeś je cało?
Czyli cię duchy w drodze nie zbłąkały?
Chodź, usiądź z nami, i przyjmij, co mamy. —
To mówiąc, powiódł do chaty Witola.
Uboga była, dymem zakopcona.
Nad progiem Kobol, Bożek domu, wisiał.
W ognisku smolne płonęło łuczywo,
I oświecało wnętrze, ściany czarne,
Ławy przy ogniu i siwe kamienie,
Stół zbity z desek, i bydląt zagrody,
I chlebną dzieżę, poważnie siedzącą
Na piérwszém miejscu, pod Bożków opieką,
Okrytą białym zwieszonym ręcznikiem.
U okien błoną zaciągnionych żółtą
W maleńkich kubkach stał popiół ze Znicza,
Woda ze świętych strumieni czerpana,
I krew ofiarna, co bydła zarazę,
Mór i nieszczęścia od chaty odgania.
Daléj wisiały szaty ich ubogie,
Mała kolebka ze śpiącą dzieciną,
Oszczep starego i kądziel niewieścia.
Po ziemi kury chodziły swobodnie,
Krzycząc i dziobiąc ziarno rozsypane.

Ledwie podróżny przestąpił próg chaty
I przed Kobolem wiszącym się schylił,
Wyszła kobiéta, i zagrzała wodę,
Ażeby nogi obmyć mu znużone;
Parobcy z siana wysłali mu łoże:
A młoda dziéwka już się u ogniska,
Śpiewając, koło jadła zakrzątnęła.
Gospodarz słuchał Witola powieści,
Dziwił się jego przez puszcze podróży.
I prosił spocząć przy ogniu gościnnym;
Lecz Witol śpieszył, i na pół dnia ledwie
Dał spocząć nogóm, przyjąwszy gościnę;
Znów się z południa w dalszą puścił drogę.
Sam gdzie nie wiedząc, wędrował jak wczora.
Ranek był letni, świéży i pogodny.
Wszyscy na pola do pracy wybiegli;
On jeden tylko bez myśli i celu,
Nie wiedząc dokąd szedł, nie wiedząc po co.
I w duszy smutno Witolowi było,
Że nigdzie swoich, że nigdzie ojczyzny,
I krewnych sobie, przyjaciół nie znajdzie,
Że nie ma dokąd, nie ma iść do kogo.
Czasem wzrok tęskny ku niebu podnosił,
Jak gdyby matki nieśmiertelnéj wzywał;
A czasem ludu prostemu zazdrościł
Cichego życia u siebie, ze swemi.
Na całym świecie on nie miał nikogo,
Prócz jednéj ojca mogiły na Litwie;

Ale gdzie była, i o niéj nie wiedział;
I tam go może zasadzki czekały.
Myślał; i myśląc, na wspomnienie boju,
Czuł, jakby go coś do ziemi wiązało;
Czuł roskosz jakąś w swojém przeznaczeniu,
W walce z duchami, w nieskończonéj walce,
Co go nad prostych wynosiła ludzi,
Z nieśmiertelnemi bratając Bogami.

Reszta dni zeszła na dalszéj podróży.
Nic w niéj nowego Witol nie postrzegał.
Przechodził sioła i chaty pomijał,
I gęste lasy porzucał za sobą,
Darł się przez bory, przepływał przez rzeki;
A ciągle w jedną kierując się stronę,
Nie wiedział nawet, wiele od Romnowe
Kraju go, błota i puszczy dzieliło.

Znów nadszedł wieczór. Po nad świętą rzeką,
Która wśród gajów lipowych płynęła,
Na Auszlawisa natrafił świątynię,
I pustą, ale spokojną gospodę,
A w niéj starego tylko Wejdalotę,
Co tam nad brzegiem żył z lichéj jałmużny
I wędrowników pobożnych przyjmował.
Z nim święte jego Giwojte [1] mieszkały.

1. Gady święte.

Kilku Żaltisów i stara Raupuże [1].
On z niemi gadał, za nadrą je chował;
Karmiąc i pieszcząc, Bogów w nich szanował.
Kapłan był stary. Stąpając po grzbiecie,
Lata go zgniotły i w pół przełamały,
I na policzkach, w zmarszczkach napisały
Wszystko, co doznał, przebył i przecierpiał.
Zapadłe oczy jak przez mgłę patrzały
Na świat, którego nie żądał już starzec;
A usta w skargach i żalu skrzywione
Zdały się boleć, nawet gdy milczały.
Suknię miał zwykłą wędrownych kapłanów,
Starą, podartą. Ledwie na niéj ślady
Białego szycia i pętlic potrójnych;
A szerść bydlęca oddawna po ziemi
Włokąc się, wszystka wytarła po krajach.

Smutny był wieczór w kapłańskiéj gospodzie.
Starzec wyglądał zwyczajnéj jałmużny,
Prosił o litość, wzywał do wód świętych,
Wróżbą go nęcił za małą zapłatę;
Lecz widząc, że się młodzieniec opierał
I kątek tylko w gospodzie uprosił,
Na niedowiarstwo i oziębłość ludu,
I na zepsucie powszechne narzekał.
Sen nie brał powiek smutnego Witola;

1 Ropucha.

Nie czuł się jeszcze podróżą znużony.
A starzec smolne zażegał łuczywa;
Ze skargi w skargę przechodząc i żale,
Jął swego życia powiadać przygody.





DAWNO już, temu lat nie wiém jak wiele,
Urodziłem się na Litewskiém siele,
Z ojca i matki ubogich wieśniaków,
Do roli, znoju, pracy przeznaczony.
Ale Auszlawis, co mnie wybrał z tłumu,
Inną mi dolę na przyszłość gotował:
Bo kiedym ojca trzodę gnał w pastwiska,
Kiedy do żniwa młodego mnie brano,
Nie czułem, żebym w tém życiu wieśniaczém
Wytrwał do śmierci. Było Bogów wolą
Wezwać mnie, żebym ludziom dopomagał
Nie pracą moją, lecz modłami memi.

Kiedym lat doszedł, na poblizkiéj wiosce
Ojciec dorodną opatrzył mi żonę,
I zapowiedział, że mi ją przeznaczył.
Posłali do niéj Pirszle i Pirszlisa [1].
Nie była ona, tak, jak my, uboga,
A jednak swatów przyjęto od ojca,
I dano słowo, i piwem zapito.
Mnie nic jednakże do niéj nie wiązało:
Bo chociaż młoda i piękna Baniuta,
Choć nam jéj mieniem polepszyć się miało,
Mnie cóś innego wówczas się marzyło:
Co nocy bowiem Żaltis, Bogów poseł,
Przychodził do mnie, kładł mi się na piersi,
Spał ze mną, pokarm z méj ręki przyjmował,
I znów nad rankiem w podziemia uchodził.
Poznałem, że mnie Bogowie wzywali,
Ażebym kiedyś został ich kapłanem;
Ale staremu nie mówiłem ojcu:
Bo on ubogi nie byłby pozwolił,
Mnie tylko mając pomocą na starość.

Po zapoinach długo się ciągnęło.
Ojciec na wojnę po zdobycz wyprawiał.
Mnie się na wojnę, równie jak do pracy,
Serce gdzieindziéj wezwane, wzdrygało.
Lecz gdy Kunigas [2], przez braci ścigany,

1. Swaty.
2. Xiążę.

Ognie wojenne po górach zapalił,
Gdy w wszystkich wioskach zapłonęły stosy
I młodzież nasza z oszczepy wybiegła,
I jam iść musiał ze swojego sioła.
Wszystkich nas razem w bratni kraj wysłano
Burzyć i palić, nim się wróg pozbiera.
I myśmy z łupem i jeńcy wrócili,
Nim oni ognie wojenne zażegli;
A siół spalonych dymiące się zgliszcza
Za stosy wojny już im posłużyły.

Jam z częścią łupu do domu powrócił.
Było to mego przyborem wesela.
Ojciec oznajmił rodzicóm Baniuty,
Że w przyszły tydzień córkę im porwiemy
I dwie sztuk bydła za posag zapłacim.

Nadszedł dzień. Stryja syn, mój Keleweże [1],
Dwa dziarskie konie do wozu założył
I z przyjaciółmi po dziéwkę pojechał.
Wzięli Baniutę na jéj chaty progu
I wieźli do nas. Na naszéj granicy
Ja sam, porwawszy żagiew zapaloną,
A w drugą rękę kubek z piwem białém,
Biegłem ich spotkać. Trzykroć wóz obiegłem
I trzykroć piosnkę zwyczajną śpiewałem

1. Woźnica weselny.

Nie płacz, nie płacz pokryjomu,
Lzóm swym nie daj biedz.
Jakeś strzegła ognia w domu,
Będziesz u nas strzedz.

Ale, śpiewając, na twarz jéj patrzałem.
Łez tam nie było! Zaraz źle wróżyłem.
Która nie płacze po rodziców domu,
I po mężowskiéj nie zapłacze śmierci.
Biegłem przed niemi, wróciłem do chaty,
I smutny siadłem za zasłanym stołem.
Wtém Żaltis święty z pod ławy swą głowę
Pokazał żółtą i do rąk mi przyszedł.
Smutniejszy jeszcze wziąłem go na piersi,
I we drzwi chaty niespokojném okiem
Patrzałem. Aż-ci turkot na podwórku.
—Już Keleweże wiezie pannę młodą!—
Wołają wszyscy i naprzeciw biegną.
On u drzwi konie zhukane porzucił,
Wbiegł w izbę, i chciał na stołek wyskoczyć,
Na który poźniéj sadzą pannę młodą;
Ale się noga sękata złamała,
Zśliznął się, upadł, i z rozbitą głową
W komorze z strachu ukryć się poleciał.
Zła to jest wróżba. A gdy weszli druhy,
Musiano drugi stołek przygotować,
Żeby Banutę pośród nich posadzić.

Tak Mergu Wakars [1] przeszedł niewesoło:
Bo przyjaciele biegali za bratem,
Chcieli go wybić za złą wróżbę skoku;
A stary Swalgon [2] kiwał smutnie głową;
I, chociaż milczał, dość mówił wejrzeniem;
Odmową wróżby już dla nas źle wróżył.
Szły potém dziéwki z Baniutą do dworu,
Z ofiarą panu, smutną pieśń śpiewając,
Prosząc, ażeby dziewictwo poddanki,
Dał się przebłagać, mężowi darował,
Albo datkami pozwolił okupić.
Lecz srogi pan nasz śmiał się z dziéwek pieśni,
Len, miód i kury, podarki wykupne,
Nazad dziewczętóm wyrzucił pod nogi,
A narzeczonéj kazał na noc zostać.

Jam smutny siedział, kiedy brat przyleciał
Zdyszany, niosąc od dworu nowinę:
—Baniuta na noc we dworze została.
Wykupnym datkiem pan wzgardził, nie przyjął,
Wianek zielony podeptał nogami,
Na płacz i jęki śmiechem odpowiedział. —

Cała się chata krzykami rozległa.
Zeszli się starcy, zbieżeli się młodzi;
Swalgon cóś mruczał, nie mogąc poradzić;

1. Dziewic wieczór.
2. Kapłan weselnych obrzędów.

Staruchy cicho po kątach szeptały;
A jam sam jeden za stołem pozostał.
Widziałem, jak się młodzież ze mnie śmiała,
Jak wszyscy na mnie ukosem patrzali,
Jak ojciec, chodząc, załamawszy ręce,
Próżno do Bogów modlił się domowych,
A matka w kącie przy ogniu płakała.

— I ja — myślałem — od pańskiego łoża
Wezmę Baniutę z wiankiem rozerwanym!
Ja miałbym żyć z nią! przyjąć ją za żonę!
Nigdy! nie! nigdy! Lepiéj uciec z domu! —

Ta myśl ucieczki nie piérwszy raz w głowie
Stawała mojéj. Nieraz mnie chęć brała
Uciec od ojca do świętych ołtarzów.
Teraz to był mój ostatni ratunek.
Żaltis, co mi się na piersiach rozgrzewał,
Zdawał się jeszcze dodawać odwagi,
Zdawał się wzywać do świętéj podróży.

Noc była, kiedy wyszedłem przed chatę.
Wokoło ludzie gwarzyli pocichu;
Opodal znowu swawolny śmiech młodych
Serce mi krajał, twarz wstydem oblewał.
Niepostrzeżony odszedłem od chaty,
Biegłem do piérwszéj świątyni do Kowna,
I w Antos służbę ołtarzy przyjąłem.

Wielem tam cierpiał w piérwszych lat posłudze!
Bogowie moi przez ręce kapłanów
Ciężkich prób po mnie z początku żądali.
Nie było nawet na modlitwę czasu —
Wodę mi nosić, drwa rąbać kazano,
Ognia pilnować, kiedy wszyscy spali,
Lub Wejdalotóm sporządzać jedzenie.
Trudno tam piérwsze lata wytrwać było;
Ale Auszlawis dodawał mi siły.
Karmiąc Giwojte, łaskę ich zyskałem.
Ja jeden potém służyć im chodziłem,
I mnie jednego w podziemnéj świątyni
Nie sykiem, ale pieszczotą witały.
Z sługi zostałem świątyni strażnikiem.
Lżejsze to życie. Ale mi niedługo
Ostatek siły odebrały Bogi.
Musiałem tutaj, żebrając jałmużny,
Nad świętą rzeką usiąść śmierci czekać.—

—I więcéj swego nie widziałeś sioła?—
Zapytał Witol starego kapłana.
—O! raz tam byłem przechodem—rzekł cicho,
W lat dziesięć może po ucieczce z domu.
W jesienny wieczór ujrzałem przed sobą
Rodzinną wioskę; i anim z radością,
Anim ją z żalem ujrzawszy, powitał;
Byłem jéj obcy: bo tu moja dusza
Srodze się łzami i wstydem napiła.

Szedłem bez myśli; a ludzie przede mną
Nizko się, prosząc o zdrowie, kłaniali.
Nie jeden podał ubogą ofiarę,
Nie jeden prosił o popiół z ołtarzy,
Nikt mnie nie poznał, jam wszystkich zapomniał.

Tak wolnym krokiem przyszedłem przed chatę;
Alem ją znalazł pustą, drzwi podparte,
Dymnik zwalony, płoty wywrócone,
I sadek pusty; tylko śmiecia kupa
Zielonym chwastem porosła wysoko;
Psa nawet w chacie opuszczonéj szczeku,
Ni żywéj duszy odgłosum nie słyszał.

— Cóż to — spytałem — w téj chacie się stało?
Czy Krajwa umarł? gdzie żona i córka?—
— Wszyscy umarli — rzekł mi jakiś starzec—
Wszyscy, bo straszny był tu mór przed rokiem.
Mówią, że Bogi za syna się mściły,
Który gdzieś uciekł od żony daleko,
Uciekł w dzień ślubu i więcéj nie wrócił.—

Poszedłem daléj; i nic mnie już we wsi,
I nic na świecie nigdzie nie wiązało.
Więcéj do sioła nigdym już nie wrócił.—

Tak mówił starzec; a Witol go słuchał
I jego myśli ze swojemi bratał:

Bo i on także sam jeden był w świecie;
Ale inaczéj czuł sieroctwo swoje,
Które na piersi srodze mu ciężyło.

Znużony kapłan usnął, pieszcząc węża;
A Witol, widząc wschodzącą jutrzeńkę,
Nadziawszy Wiżos, wziął miecz i szedł daléj.



TRZECI dzień drogi, jak piérwsze, upłynął;
Lecz kraj weselszy roztoczył się wkoło,
I lud weselszy śpiewał pieśni żniwa;
Po drodze uczty dożynek spotykał;
Wszędzie go sioła w gościnę wzywały;
Chętnie z nim każdy rozłamał się chlebem
I u ogniska piérwsze miejsce dawał.
Lecz gościnności Witol nie zażądał,
Ani, przyjąwszy, odpoczywał długo:
Nadludzka bowiem siła w nim mieszkała.
Szedł, nie czuł znoju, nie chciał odpoczynku,
I brnął przez rzeki, cisnął się przez lasy,
Gałęźmi wkoło uścielając drogę.
Jeśli mu w ręku nie starczyło siły,
To miecz, cudowny dar Krewe Krewejty,

Jak najwierniejszy druh mu dopomagał,
I drogę trzebił, i wrogów odganiał.

Znowu się miało do zmroku, gdy Witol
Szukał oczyma na nocleg gospody.
Ale dokoła nigdzie jéj nie było.
Wśród lasu tylko wydarte nowiny
Świeciły, kopy żółtemi nasiane,
Których nikt nie strzegł od źwierza i szkody.
Głuche milczenie zaległo opodal.
Dziwił się Witol, nigdzie budy, nawet
Biednéj strażnika nie widząc chrominy;
Aż na zakręcie ujrzał dwór wysoki
Na wzgórzu, które dwie rzeki odnogi
Pomiędzy siebie, ściskając się, wzięły.
Dokoła z dębu i sośniny bite
Wysokie płoty wejścia jego strzegły,
Czarnemi ściany dworzec opasując.
Nad niemi nigdzie zielonéj gałęzi,
Nigdzie nie było wierzchołka drzewiny,
Któryby smutny wierzch góry umajał.
Biały dwór tylko z za płotów wyglądał.
Ściany miał z cisu, dębu i modrzewia,
Dach czarném darnem wysoko ubity;
A dymnik jeden, jak paszczęka smoka,
Wysoko po nad górą się wynosił.
Przez wązkie rzeki od drogi koryto
Wątły most wewnątrz zameczyska prowadził.

Na nim straż zbrojna w oszczepy okute,
Z łukiem na plecach i procą u pasa,
Milcząca stała i wejścia broniła.

Tę niegościnną górę z podziwieniem
Zmierzył podróżny; potém na most śmiało
Wszedł i jednego ze straży zapytał:
—Czyj to dwór? bracie! Czy pan wasz gościnnie
Przyjmie na nocleg błędnego wędrowca?—

Strażnicy oba po sobie spójrzeli;
A jeden potém na szaty przychodnia
Zwróciwszy oczy, potrząsnąwszy głową,
—Idź—rzekł mu—daléj. Tu przyjmą podróżnych,
Ale nie takich, jakeś ty, mój bracie!—
—Jakichże przecię?—zapytał go Witol.
—Przyjmują u nas bogatych, z orszakiem.
Wówczas Kunigas z napełnionym rogiem
Sam na most wyjdzie witać w Peskij imie.
Ubogich każe na sioła odprawiać,
Albo....—I reszty nie dokończył strażnik.
—Czyliż to niéma—Witol odpowiedział—
Ubogim u was położyć gdzie głowy?—
—O, jest!—z uśmiechem rzekł strażnik szyderskim—
Ale na twardém w podziemiach posłaniu.
Kunigas Raudon niewolników łapie,
I niemi puste wioski i zameczyska
Osadza swoje; lub w tłumie żołnierza

Pędzi ich potém w dalekie wyprawy.
Kto tu raz obcy przez ten most przechodzi,
Nazad się chyba z dybami powróci,
Płacząc nad stratą najdroższéj swobody,
Próżno w rodzinną poglądając stronę.
Chcesz gościnności?—dodał żołnierz cicho—
W imie Nemejas daję radę tobie:
Uciekaj prędzéj i szukaj jéj daléj.
Teraz wiész wszystko. Idź, wędrowcze, zdrowo,
Ani się nawet na zamek oglądaj,
Aby cię jeszcze daleko na drodze
Nie postrzegł Raudon i gonić nie kazał.—

A Witol na miecz u boku zwieszony
Spójrzał, pomyślał, i nie chciał uciekać.
—Idź—mówił strażnik.—Wieczór się przybliża,
Kunigas z łowów powróci niedługo;
Biada ci będzie, gdy cię tu zastanie.—
—Jam wolny człowiek—Witol odpowiedział.
—Cudzyś, czy wolny, nie będzie się pytał.
Wolny być możesz, tak jak kot Liethuwy,
A on cię w dyby zabije dla tego:
Bo mu potrzeba wiele jeszcze ludzi,
Bo się nikogo na świecie nie boi,
W Litewskich Bogów potęgę nie wierzy.—

Witol się oparł na mosta poręczy
I słuchał straży. Wtém z lasu świstanie

Dało znać, że już Kunigas przybywał,
I na sokoły wzlatujące wołał,
Aby na pięści sokolnika siadły.

Witol stał jeszcze. Naprożno go straże
Pchały od mostu. Zszedł tylko na drogę
I siadł na świętym podróżnych kamieniu.
Wtém z lasu kilka puściło się koni.
Jeden na przedzie. Na nim jechał krępy,
Barczysty, włosem, jak niedźwiedź, porosły,
Kunigas zamku i siół okolicznych.
Pod brwią rzęsistą małe jasne oko,
Jak ślepie wilcze wśród nocy, błyskało.
Brodę miał rudą, i rude kędziory
Po barkach jego na suknię spływały.
Na głowie kołpak szkarłatny ze złotem,
Na piersi łańcuch misterną robotą,
Miecz miał u boku wielki obosieczny.
Siedział na koniu pod niedźwiedzią skórą,
Która po ziemi srébrnemi pazury
Wlokła się, pyły podnosząc po drodze.
Z prawego boku, na złocistym sznurze,
Łuk w sahajdaku ze strzałami wisiał,
Siekierka z stali i noż w srébrnéj pochwie.
Za nim jechali Bajoras i Smerdy,
Na małych koniach, w bogatéj odzieży,
W szłykach wysokich, z łukami, drzewcami;
Za niemi dworscy z oszczepami w ręku:

Sokolnik, wabiąc świstaniem sokoły;
Psiarz, co ogary ciągnął na łańcuchu,
I kilku łóznych, wlokących się z tyłu.

Już się zbliżali. Wtém Raudon, ujrzawszy,
Że ktoś na drodze przeciw zamku siedział,
Przypuścił konia i zbliżył się nagle.
—Ktoś ty?—zapytał zagniewanym głosem.
—O wielki Panie!—Witol odpowiedział—
Jestem ubogi, z daleka podróżny.—
—I zkądże idziesz?—Raudon nań zawoła.
—Z świętego idę Romnowe, gdzie właśnie
Krewe Krewejto za nasz lud się spalił.—
—A dokąd? po co? czy cię kto posyła?—
Kunigas głosem zbadywał go groźnym.
—Idę, gdzie zechcę—rzekł Witol spokojnie.
—Słyszysz?!—znów Raudon do swego orszaku.—
A! na Perkuna! jeszczem w mojém życiu
Takich słów do mnie rzeczonych nie spotkał!—
I śmiał się dziko. Pochlebcy patrzali,
I na wzór pański śmieli się półgłosem,
Wzgardliwém okiem patrząc na młodzieńca.
—Gdzie chcesz, tam idziesz; lecz dokąd i po co?
Na to mi musisz odpowiedzieć przecię.
Czy służby szukasz? czyś uciekł od pana?—
—Ja nie mam pana, nikomu nie służę—
Odrzekł mu na to Witol z oburzeniem.
—Otoż Liethuwi kot siedzi przed nami!—

Zakrzyknął Raudon, zbliżając się jeszcze.
—Wolny! bez pana! nie służy nikomu!—
A wzrok wlepiając w młodzieńca, pomruknął:
—Szpieg może jaki od moich sąsiadów?!—

Witol, nie wstając z kamienia, go słuchał,
I, jakby nie chcąc, zwolna odpowiadał.
—Kędyż na nocleg idziesz? mój podróżny!—
—Gdzie zechcę. Może tutaj przenocuję.—
—A mnie nie prosisz nawet o gospodę?
Moja to ziemia, mój to zamek przecię;
Gdzie złożysz głowę, kraj to mój jest cały.
Uderz mi czołem i proś mojéj łaski.—
—Zamku nie proszę, a droga każdemu
Wolna jest wszędzie. Wszakże Kielo-Dewas,
Nie wy, téj ziemi kawałka jest panem.
Jeśli wśród drogi spocznę utrudzony,
To jego, nie was, będę o to prosił,
I jemu, nie wam, za to podziękuję.—

Kunigas słuchał; małe jego oko
Coraz jaskrawiéj z gęstych brwi błyskało;
I do swych ludzi nieraz się obrócił,
Usta otwierał i znowu zamykał.
—Lecz—rzekł, miarkując rosnący gniew w sobie—
Kiedy Kunigas do zamku poprosi,
Kiedy wyniesie gościnności czarę,
Czyliż podróżny obójga odmówi,

I woleć będzie kamienne posłanie
Nad miękkie łoże na zamku gościnnym,
I zimny nocleg nad moje ognisko,
A rosę nieba nad róg z piwem białém?—
—Jeśli Kunigas—rzekł Witol spokojnie—
Do swego zamku podróżnego zwabi,
Żeby go okuć w dyby, w loch posadzić,
Albo go gwałtem potrącić w niewolę,
Czyż ma podróżny za miękkie posłanie,
Miejsce u ognia i róg z piwem białém
Swobodę swoję na wieki zaprzedać?—

—Co?!—wrzasnął Raudon—a zkądżeś to słyszał?
Zkąd wieści takiéj, nieszczęsny, dostałeś?
Na swoję zgubę wyrzekłeś te słowa!
Sameś już wyrok napisał na siebie.
Pójdziesz mi za to w podziemia zamkowe!—
Skinął na sługi. Skoczyli ku niemu;
Ale, jak gdyby niewidzialną siłą
Pchnięci, czekali, aż znowu rozkaże.
—Wziąć go i okuć, wsadzić do ciemnicy—
Wrzeszczał Kunigas, wskazując go ręką.
Znam go. To zbiegły z moich siół niewolnik,
Wojenny jeniec, poganin z północy,
Co przyszedł jeszcze urągać się ze mnie.
Słyszycie!—Słudzy rzucili się śmiało;
Lecz Witol dobył miecz Krewe Krewejty,
Który, jak piorun, w rękach jego błysnął,

Pokrwawił śmielszych, zdruzgotał oszczepy,
I wszystkich strachem odepchnął od siebie;
Sam się znów oparł na świętym kamieniu,
I, poglądając w Raudona oblicze,
—Taka to—rzecze—jest Litwy gościnność!
Tak to, Kunigas, wolnych łapiesz ludzi!
Tysiąc ich może spętałeś zdradliwie.
Mnie mieć nie będziesz, ja ci się obronię.—
Słyszał to Raudon i podniósł siekierę,
Sam już z nią piérwszy na Witola leciał;
Tuż za nim ciżba sług się posunęła,
Z hałasem, krzykiem, wzniesionemi drzewy.
On stał, i mieczem słoniąc się święconym,
Czekał napaści.—Widzieli Bogowie,
Żem cię nie wyzwał—rzekł—szedłem swą drogą,
Piérwszym cię słowy złemi nie znieważył.
Niechaj mi teraz Kawas dopomoże,
I Kielo-Dewas opiekun podróżnych!
Niechaj przez moje ręce Perkun mściwy
Za tyle ofiar pomstę ci wymierzy!—

Mówił, i pędem rzucił się na niego,
Konia za głowę pochwycił, powalił,
A wzniosłszy oręż, Raudona za kudły
Czérwone strząsnął i na ciecie mierzył,
Gdy słudzy z tyłu chwycili za nogi,
I oba razem walczący upadli.
Naówczas walka wszczęła się zajadła.

Silny, jak niedźwiedź, Kunigas go chwycił,
Rękami nawpół przejął i ucisnął;
Ale w téj chwili uczuł miecz na gardle,
I chrapiąc — Przebacz! — ze strachem zawołał.
— Precz! słudzy! zdala odstąpcie ode mnie! —
Rzekł Witol. — Jeśli dotknie z was mnie który,
Ja go zabiję! Precz! — powtórzył jeszcze.
I — Precz! — wybąknął drżącym gniewu głosem,
Szarpiąc się Raudon pod mieczem cudownym,
Który już zimnêm ostrzem go dotykał.
Pierzchnęli słudzy, a Witol kolanem
Scisnął mu piersi, nie zdejmując miecza.



—Przysiąż mi—rzecze—na ojca i matkę,
I na Perkuna, i na głowę twoję,
Że więcéj słabych nie skrzywdzisz podróżnych,
Że tych, coś okuł, rozpuścisz dziś jeszcze;
Przysiąż; lub chwila, a duch twój Pokole
Poniesie szarpać w podziemnym Pragarze.—

Z przestrachem słudzy, stojąc w oddaleniu,
Przysięgi pana swojego słuchali;
A Raudon, drżący z wstydu, niewyraźnie,
—Kad man Perkunas sumusztu [1]—wyjąknął.

Naówczas Witol zdjął z piersi kolano
I miecz od gardła cudowny odsunął.
Kunigas, złością i wstydem miotany,
Strząsnął pył z sukni; a potém, spójrzawszy,
Jak Witol w inną odwraca się stronę,
Znów się nań rzucił i znów go pochwycił.

—Słyszeli Bogi, przysięgałeś krzywo!—
Zawołał Witol, znów za miecz cudowny
Chwycił się. Słudzy do pana przybiegli.
—Precz!—rzekł im Raudon—ja go sam zabiję.
Śmiałeś mnie krzywoprzysięzcą nazywać!
Albożem przysiągł, że się mścić nie będę?—

1. Bodaj mnie Perkun zabił.

I oba znowu darli się, rzucali,
Razem po ziemi, szarpiąc się, tarzali;
A Witol miecza nie upuszczał z dłoni,
I drugą ręką za barki chwyciwszy,
Suknię mu przedarł i ciało wydzierał.
Zębami twarz mu rozognioną krwawił,
Nogami trzymał i deptał pod sobą.

Naówczas łucznik najlepszy Raudona,
Co nieraz strzelał jaskółki w polocie,
Zmierzył się zdala do piersi Witola;
A wtém się Raudon wysunął z pod niego—
Strzała mu w oku uwięzła żelazem.

Wrzasnął straszliwie, łucznik w las uciekał,
Słudzy gonili, popłoch między dworem.
Witol, chwytając za gardło raz drugi,
Miecz mu na sercu oparł, przebił suknie,
I już się zmierzał ostatni cios zadać.
Usłyszał zdrajca chłodny pocałunek,
I krew, jak ciepła, po piersiach spływała.
—Puszczaj mnie!—wrzasnął—puszczaj mnie! na Bogi!
Jeśli masz ojca, na ojca zaklinam;
Jeśli masz matkę, na wnętrzności matki;
Jeśli masz żonę, na pamięć twéj żony;
Na imie Pramżu, na imie Perkuna,
W imie litości! Ratujcie mnie Bogi!
O Markopole! wyrwij mnie od śmierci!

Puszczaj! a powiedz, czego chcesz ode mnie?
Przysięgi??—ja ci na wszystko przysięgnę.—
A Witol, mieczem cisnąc, rzekł powoli:
—Przysiężesz, żebyś połamał przysięgi!
Nie chcę ja przysiąg; znam, co ci kosztują;
Chcę śmierci twojéj i kary za zbrodnię.—
—Któż jesteś? człeku!—jękł Raudon boleśnie—
Czy duch Perkuna na zemstę przysłany?
Czy brat mój, czyli niewolnik, co wczora?....
Któś ty? Ach! puść mnie! Chceszli skarbów moich?—
—Nic, tylko śmierci twéj, krzywoprzysiężco!—
A Raudon jęczał i rwał się z pod niego.
Lecz słabiéj coraz. Krew płynęła z oka,
Miecz mu tkwił w piersi, kolano cisnęło,
I ręka wroga barki mu szarpała.

Opodal, w strachu zmięszani dworzanie,
Jedni do zamku biegli, drudzy w lasy,
Tamci krzyczeli, insi straż wołali.
Na most się ludu wielki tłum wytoczył;
Co kto miał, porwał, i na pomoc biegli;
Ale niespiesznie: bo wszyscy zarówno
Nienawidzili okrutnego xięcia.
Wrzask jego, jakby ryk dzikiego źwierza,
Daleko się aż po lasach rozlegał.
Nareście Witol chęć zemsty odmienił.
—Puszczam cię—rzecze—lecz na noc dzisiejszą

Przysiąż mi jeszcze bezpieczną gościnę.—
—O, na me gardło przysięgam! lecz puszczaj!—

Skrwawiony powstał, wyrwał z oka strzałę,
Wlókł się do zamku; a za nim zwycięzca
Szedł zwolna, milcząc; zwalane odzienie
Otrząsał z pyłu i ze krwi ocierał.
Wszystek dwór pierzchnął na widok Raudona,
Przed gniewem jego; dwóch tylko strażników
Na moście stało w ponurém milczeniu.
Przeszli most razem, weszli na podwórzec.
Tu niewolników wynędzniałych tłumy
Z pod wrót blademi patrzały twarzami
I kląć się zdały milczącemi usty.

Szedł Raudon na przód, ściąwszy usta sine;
Jęku nie wydał, nie przemówił słowa;
W milczeniu tylko krew z oka wysączał,
A drugiém czasem patrzał na Witola,
Jakby go szukał i spotkać się lękał.

W przysionku słudzy naprzeciw wybiegli.
Jednych odepchnął, a drugich skinieniem
Wgłąb' domu Raudon przed siebie odprawił.
Witol, przeszedłszy próg piérwszéj komnaty
I powitawszy Kobole zamkowe,
Usiadł przy ogniu, który się wpośrodku
Szérokim, smolnym płomieniem podnosił.

Wkoło ogniska ławy i kamienie,
I stoły były z cisowego drzewa;
Po nad nim otwór, przez który dym czarny
Wijąc się, w kłęby ku górze unosił.

Raudon, chcąc ukryć wstyd i boleść swoję,
Uciekł daleko do izby nałożnic.
Słudzy przynieśli miód w złoconym rogu,
I ciepłą wodę na znużone nogi;
Przyszły kobiéty pył otrząść z odzienia,
Obmyć Witola i do stołu służyć.
Kunigas, hańbę swą kryjąc w komnacie,
Już przed zwycięzcą więcéj się nie stawił;
Lecz słychać było krzyk jego z podwórca,
I widać było biednych niewolników,
Skrwawionych ręką okrutnego pana,
Pod gołém niebem w podwórzu leżących,
Nagich i sinych od smagań i chłodu.
Najstarszy Smerda z Witolem wieczerzał,
Ale milczący, nie bawił rozmową,
Ani do uczty wesoło zapraszał;
Ledwie, podając, w róg usta umoczył,
Ledwie mięsiwo podnosząc pieczone
I placki białe, dotknął ich wargami.
Kobiéty także służebne milczały.
I nic nie było słychać, oprócz jęków,
Które z podwórca przez okna wpadały,
Szelestu kroków i trzaskania ognia.

Tak, choć wieczerza zastawiona suto,
Choć nie brak było ni piwa, ni miodu,
Przymusu tylko jéj nie dostawało.
Wszystko bez niego złém się wydawało.

Lecz noc nadbiegła, czas już spocząć było.
Smerda Witola do izby gościnnéj,
Na drugi koniec domu poprowadził.
Tam go już ze skór niedźwiedzich posłanie,
Ciepłe ognisko i dzban piwa czekał.
Witol się z mieczem u boku położył,
I sen udając, dał wypocząć ciału
Po trudach drogi i walki z Raudonem;
Lecz sen prawdziwy nie zszedł mu na oczy.
Napróżno mrużył; znowu je odmykał,
I niespokojny z łoża się porywał.
Słuchał, jak sowy, latając, huczały,
I ogień trzaskał, i koguty piały.
Cicho na dworze; tylko czasem straże
Wołały, budząc hasłem jedna drugą.
Wszystkie ich krzyki syn Mildy policzył,
I wszystkie kurów piania, co, jak straże,
Wśród cichéj nocy, wróżąc dzień, krzyczały.
Pomiędzy piérwszém a drugiém ich pianiem
U drzwi powolne usłyszał stąpanie
I jakby ciche szepty kilku ludzi;
Powstał z pościeli, miecz w rękę pochwycił,
Nastawił ucho—znowu cicho było.

—Czyli tam słudzy drzwi strzegli, czy może
Raudon już jaką zasadzkę gotował—
Myślał, bo jego przysiędze nie wierzył.
Lecz cichość znowu, i szepty ustały,
A wkrótce drugi raz Gajdis [1] zaśpiewał.

Naówczas jakby kto ku drzwiom się zbliżał,
Miękkiemi Wiżos po podłodze stąpał,
I szeptał cicho — zdało mu się znowu.
Chwila — podwoje cicho zaskrzypiały,
I resztki ognia oświeciły twarze
Raudona, Smerdy i kilku siepaczy.
Nieśli oszczepy, siekiery i miecze,
Dyby i powróz z łyka upleciony.
Weszli, stanęli u drzwi. Witol leżał,
A dłonią drżącą od gniewu i złości
Ściskał miecz, aż mu własną rękę krwawił.
Stali, patrzyli. Raudon krok postąpił
I dał znak zbójcom. Już go chwytać mieli,
Gdy nagle Witol z łoża się pochwycił,
I miecz podnosząc nad głową Raudona,
— Giń! zdrajco! — krzyknął; i za jednem cięciem
Szkaradna głowa, z wyłupionem okiem,
Padła, tocząc się po twardéj podłodze.
Kadłub stał chwilę i chwiał się na nogach,
Potém padł. Słudzy z krzykiem się cofnęli.

1. Kur.

A ogień, nagle wznosząc płomień jasny,
Drgające cielsko na ziemi oświecił,
I miecz skrwawiony, i krew rozbryzganą.

Naówczas Smerda i słudzy xiążęcia
Do stóp Witola czołem się rzucili.
—Przebacz!—wołali.—Tyś pewnie jest Bogiem.
Przebacz nam! Myśmy rozkazów słuchali,
Myśmy niewinni, on winien za wszystkich.—

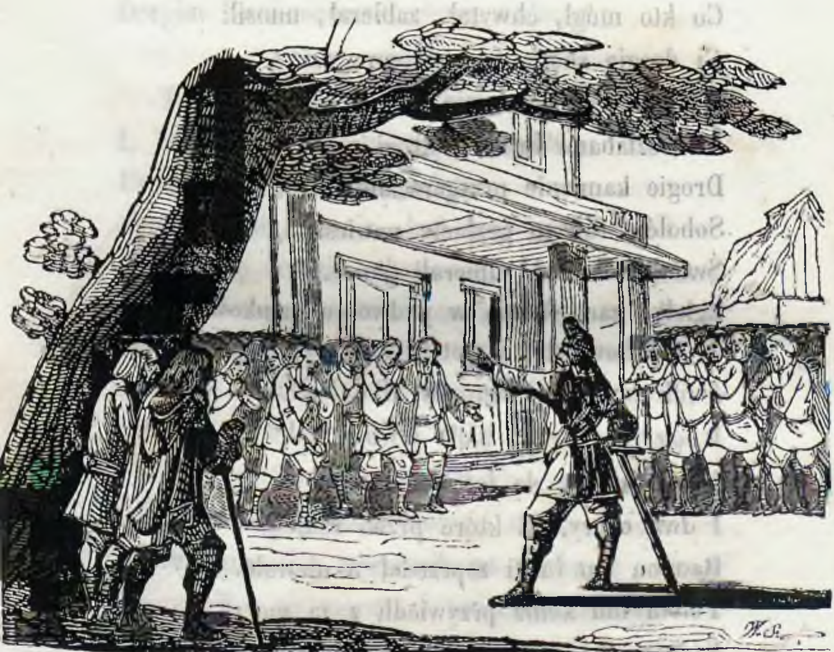
—Wynieście trupa—Witol im odpowié—
Rzućcie w podwórzec, a moich rozkazów
Czekajcie do dnia. Gdy dzień wejdzie biały,
Wstanę z posłania i wynijdę do was.—

Wyszli, unosząc z sobą trup Raudona.
Witoł gasnące podsycił ognisko
I na zbroczonéj skórze się położył.

Ale zaledwie śmierci Kunigasa
Wieść się rozeszła, wszyscy się zbudzili,
Krzykiem radosnym zamek się rozlega,
Zażegli ognie, biegną niewolnicy,
Ze łzami w oczach, płacząc, się ściskają,
Kobiety także i dzieci porwane
Z siół okolicznych w tłumy się gromadzą,
I jedni drugim nowinę tę niosą,
I jedni drugim swobody winszują.

— On krzywo przysiągł! Bogi go skarały!—
Wołają wszyscy.— Będziemy znów wolni,
Pójdziem do swoich, pójdziem do rodziny.—

A Kunigasa podli ulubieńce,
Co wolę jego nad ludem spełniali,
Okuci przez nich, związani, wybledli,
Wyroku śmierci zwycięzcy czekali.
Lecz i dzień nadszedł, Witol wstał z posłania,
Wyszedł w podwórzec i rzecze do ludu:



— Wy, niewolnicy, wracajcie do swoich;
Tamci niech życie unoszą daleko.

Nie chcę ich karać. Ukarzą ich Bogi.
Łzy wezmą za łzy, krew za krew przelaną.
Nim ztąd ujdziecie, w cztéry zamku rogi
Podłóżcie ogień, dzielcie się skarbami.
Mnie tylko topór, łuk, i róg, i konia,
Białe sokoły, psy jego zostawić.
Resztę wam daję. Niech z téj wilczéj nory
Nic nie zostanie, prócz garści popiołu.—
Rzekł, a radośnym krzykiem tłum powtórzył
Rozkaz i dzięki. Rozbiegli się razem.
Co kto mógł, chwytał, zabierał, unosił:
Ci drogie skóry, bursztynowe czary,
I szaty jasne, i konie, i miecze;
Inni sztabami kruszec drogi nieśli,
Drogie kamienie przygarściami brali,
Sobolém futrem grzbiety nawieszali,
Świetnemi szłyki ubierali głowy.
Zgiełk, zamięszanie w podwórcu zamkowym.
A Witolowi topór złotem kuty,
I łuk przynieśli ogromny Raudona,
I róg, z którego białe piwo spijał,
I dwa sokoły do łowów uczone,
I dwa ogary, za które przed rokiem
Raudon stu ludzi zaprzedał w niewolę.
Potém mu konia przywiedli z za morza,
Ktorego Raudon, jak drogiego skarbu,
Pilnował okiem matki i złodzieja,
W ozdobnéj stajni trzymał, z rąk go karmił,

I rzadko, chyba na wojnę, dosiadał.
Zrebiec był wielki, czarny, białogrzywy;
Łeb na wyniosłym karku dumnie nosił;
A z niego dwojgiem zapalonych oczu,
Jak król, wzgardliwie po świata spoglądał:
U kopyt złote brzęczały podkowy;
Na grzbiecie skóra nieznanego źwierza,
Połyskująca włosem najeżonym,
Aż po nad ziemię zwieszona spływała;
Uzdę ze złota czystego miał laną,
Drogim kamieniem na głowie sadzoną.

Tego mu konia niewolnicy wiedli,
I, bijąc czołem, całując po nogach,
Uzdę do ręki Witola podali.
— Dla ciebie, Panie, koń ten — powiedzieli —
Pewnie się zrodził, chodował i czekał.
Tobie, Kunigas, dosiąść go przystoi.
On cię, gdzie skiniesz, poniesie na wojnę,
Albo do twoich, do twojéj rodziny.
Raudon go niegdyś nad wszystkie przekładał.
Nie było w stadach, i w skarbie nie było,
Coby on więcéj, coby równie cenił.
Dawno już jakiś czarownik go xięciu
Przywiódł z za morza; i wziął tyle złota,
Ile go cztéry pociągnęło byki.
Pieścił go Raudon, a rzadko nań wsiadał:
Bo Jodź, gdy uczuł pana na swym grzbiecie,

Zżymał się, spinał i o ziemię zrzucał.
Mówili ludzie, że w nim duch zaklęty
Mieszka, i przezeń nawet się odzywa.
Często Kunigas w nocy szedł do stajni;
Ludzie słyszeli, jak z koniem rozmawiał.—

Wziął Witol uzdę, za grzywę pochwycił.
Jodź go powąchał i potrząsnął sobą,
Potém ukląkł i rękę polizał.
Naówczas słudzy, co na to patrzali,
Znów przed Witolem upadli na twarze.
—To Bóg jest pewnie! Bóg to jest—wołali!

On na posłuszny grzbiet rumaka skoczył;
A widząc, że już uniesiono skarby,
Że lud się w pola radośny rozbiegał,
Rozkazał ogień podłożyć w zameczysko,
Ażeby pamięć tylko po Raudonie
Została w zgliszczu, zwaliskach i rumie;
Skinął—i zewsząd ognie wybuchnęły;
Zerwał się wicher, co je gnał ku sobie
I kręcił niemi, po dachach i ścianach
Rozdymał płomień, a zemstę przyśpieszał.
Ludzie już z zamku tłumem uciekali,
Wiodąc i niosąc, co komu przypadło:
Ten konie, tamten bydło, tamten szaty,
Ów oręż, inny kruszec, inny zboże.
Witol, usiadłszy na Jodzia, powoli

Wyjeżdżał z niemi, wpośród tłumu krzyków
I błogosławieństw, któremi mu drogę
Usłali ludzie, wiodąc go oczami,
Jak bóstwo jakie. Kiedy już ostatni
Przez most przebiegli, runęły mośnice,
I ściany zamku, dachy i dymniki;
Gęsty dym w górę puścił się kłębami,
Potém buchnęły płomienie, objęły
I całkiem w sobie ukryły zamczysko,
Nad którém tylko sowy i puhacze,
I głodni krucy, krakając, wzlatali.

Gdy się znów Witol obejrzał za siebie,
Kupę już gruzów dymiącą się tylko
I lud w dolinie ujrzał rozpierzchniony.
Naówczas konia na drogę skierował.
Jodź potrząsł głową, podniósł ją, poleciał.



LECIAŁ koń, leciał z nozdrzy rozdartemi,
Spienionym pyskiem, rozpuszczoną grzywą;
Pod kopytami jego tuman pyłu
Wznosił się, kręcił i jeźdźca okrywał,
Potém za koniem zostawał daleko,
Gonił go chwilę i padał bezsilny.
Wiatry, po bokach chyląc się, świszczały,
I, dziwiąc biegu, w tyle zostawały.
A z oczu jeźdźca prędko znikły zgliszcza,
I okolica, i włości Raudona.
Jakby na skrzydłach ptaka uniesiony,
Dziwił się Witol szybkiemu lotowi:
Bo koń i ziemi, zda się, nie dotykał,
Nie czuł wędzidła, jeździec mu nie ciężył,

Przez drogi, bez dróg, doliny i gaje
Silną się piersią przedzierał, jak strzała.

Zaledwie Witol ujrzał wieś przed sobą,
Już jéj nie było, już za nim znikała.
Rzeki jak wstęgi migały srébrzyste;
Gaje, jak wieńce z zieloności wite;
Pola, jak żółte i czérwone plamy.
Po nad nim chmury pędzone wiatrami
Stać się zdawały, i milcząc poglądać;
A ziemia, jakby z pod stóp uciekała,
Kręcić się, zwijać, w tył cofać zdawała.
Ogary jego daleko zostały,
Sokół gdzieś w lesie uwiązł na gałęzi.
Sam jeden Witol leciał bez oddechu,
Nie wiedząc, gdzie go dziki koń poniesie.
Coraz przez nowy pędząc kraj nieznany,
Czuł, jak mil wiele za nim już zostało.
Słońce się nawet na zachód skłaniało,
I w chmur drużynie różowych, złocistych,
Jak młoda xiężna śród swych dziéwek dworu,
Kiedy ją wiodą do chłodnéj kąpieli,
Coraz łagodniéj na ziemię patrzało,
Coraz się miléj ziemi uśmiechało.
Widać, już wozu jego gasły ognie,
Już odpoczynku zbliżała się chwila;
Nad lasów wierzchy czérwone od znoju
Chylić się zacznie, i patrzy, i stoi,

Jak gdyby jeszcze żałowało ziemi
Opuścić drogiéj, jakby ją żegnało;
I jeszcze długo patrzało pół-okiem,
Tęskno, łagodnie; aż nareście tylko
Koronę swoję zostawia na niebie,
A samo wpadło do chłodnéj kąpieli.
Potém się odblask ognistego wozu
Świecił czérwono na srébrnych obłokach.
Po drugiéj stronie ukradkiem twarz bladą
Niewierny słońca mąż, xiężyc, pokazał,
I smutny wyszedł z skrwawionèm obliczem
Błądzić po niebie do wschodu jutrzeńki.
A Wakarinne wyszła go szpiegować,
I Żwajgzdunokiéj zapalone ręką
Tysiąc gwiazd innych błysło z chmur osłony.
Drużyna słońca, obłoki złocone,
Z niém razem zeszły do mokréj kąpieli.
Czysty już błękit; czasem tylko czyja
Gwiazda upadnie; drogę złotolitą
Za sobą pisząc, leci do mogiły,
I gaśnie blada z ostatnim oddechem
Tego, którego przyświecała głowie.

Noc była cicha i niebo pogodne,
Szumiały lasy. Nie wiatr rzucał niemi,
Same tak sobie pocichu szeptały,
Kołysząc do snu gałęźmi staremi
Ragany pod ich czarną korą skryte.

A koń, parskając, biegł daléj i daléj.
Nic go zatrzymać nie mogło śród biegu.
Zdawał się coraz nowych sił nabierać,
Zdawał się coraz prędzéj lecieć jeszcze.
Nareście zwolnił błyskawicy biegu,
I coraz stąpał powolniéj, ostróżniéj.
Przebywał puszczę; wybiegł na dolinę,
Na któréj wielka ciemniała mogiła;
Parsknął i stanął; a Witol odgadnął
Po biciu serca, po duszy przeczuciu,
Że to był ojca jego grób, Romojsa.
Koń pysk spieniony ku panu zawrócił.
Stanął; a Witol, zeskoczywszy z niego,
Zdjął uzdę, i rzekł, wolno go puszczając:
— Czuję, że to jest ojcowska mogiła.
Ty, coś mnie tutaj przyniósł na swym grzbiecie,
Bądź za to wolny; leć, gdzie stada dzikie;
Leć, o mój Jodziu, kędyś się urodził.—

A koń, jak gdyby tę mowę rozumiał,
Podniosłszy głowę, oczy nań obrócił,
Potrząsnął grzywą i zakopał nogą,
I znów szedł za nim do ojca mogiły.
Kiedy się Witol ku niemu obrócił,
On głowę oparł na ramieniu pana,
I stanął smutny, jakby myśli jego
Pojmować umiał, potrafił podzielać;
A okiem w oczy Witola wlepioném

Mówił mu:—Panie! nie chcę cię porzucić,
Pójdę za tobą, nie odstąpię ciebie.

Niepewny, drżący szedł Witol do grobu,
Szukał drzwi jego z południowéj strony,
I znalazł kamień, który je przypierał,
Dzikiemi chwasty pokryty i zielem.
Xiężyc się właśnie podnosił z za chmury
I dał mu runy wyczytać grobowe.
Ze drżeniem serca ujrzał ojca imie
Jeszcze starości nieporosłe mchami,
W górze dwa węże, godło jego rodu.
Padł syn naówczas, i gorzkiemi łzami
Polał mogiłę, jęknąwszy boleśnie;
Modlił się Bogóm, cieni ojca wzywał.

—Ojcze!—zawołał—zlituj się nad synem!
Zejdź z tamtych światów na twoję mogiłę
I ukaż mu się w dawniejszéj postaci!
O to cię błagam! oto cię przyzywam
Usty i sercem, modlitwą i łzami!
Ojcze mój! pokaż twarz swoję z mogiły!
Niech ją raz ujrzę, raz na życie całe.
Potém polecę, w sercu ją poniosę,
Jak złoty pieniądz, co do grobu kładą
Na długą drogę wieczności umarłym.
Jeśli żal tobie dziadów twoich cienie,
Albo wesołą biesiadę z Murgami,

I łowy miłe na chwilę porzucić,
Powrócisz, ojcze! na wieczność powrócisz!
Niechaj ja ujrzę twoję twarz promienną,
Choćby tak krótko, jak blask błyskawicy,
Jak strzałę gromu, co pada i znika.
Matka raz do mnie z nieba się spuściła,
A tyż ni razu mnie się nie ukażesz?
Ja zemstę Bogów tu za ciebie noszę,
Ja za twą winę błąkam się po ziemi
I walczę z duchem wysłańcem Perkuna.
Ojcze! ty wszystko nagrodzisz synowi,
Życie zasłodzisz, do walki zagrzejesz,
Jeśli mu tylko ukażesz twarz swoję!—
Westchnął i spójrzał, płakał i narzekał.
Wtém na niebiosach cóś błyskać zaczęło,
I białe cienie na białych rumakach,
Krając powietrze skrzydłami białemi,
Po nad mogiłę wzleciały. Syn spójrzał,
Wyciągnął ręce, srébrne łzy wylewał.
A drogą mléczną lecieli ku niemu:
Ojciec na przedzie, w złotem litéj szacie,
Promienny cały; po trzy gwiazd miał w ręku,
Jedną na czole, a na piersi jedną;
U boku jego złoty miecz zwieszony,
I łuk z strzałami chwiał mu się na barkach;
Zniżał się, zniżał, stanął na mogile;
A za nim orszak jego towarzyszy,
Jak on, na koniach białych i skrzydlatych.

Stanęli. Witol padł na twarz przed ojcem.
— Ojcze! — rzekł, wznosząc spłakane oblicze —
Dozwól się dosyć napatrzyć twéj twarzy.
Niech się jéj obraz na duszy wyryje,
Abym go nosił życie moje całe;
Ażebym, jeśli na Dungus przylecę,
Jeśli do wschodniéj powrócę krainy,
Piérwszego poznał, piérwszego powitał!
O, lżéj mi będzie walczyć teraz z duchem,
Lżéj będzie cierpieć i zginąć na ziemi,
Kiedym cię w życiu mojém raz zobaczył. —
Mówił i ręce do ducha wyciągał;
A duch, jak gdyby chciał, nie mógł się zbliżyć;
Chwiał się na białym, skrzydlatym rumaku;
I gdyby w kraju, z którego przeleciał,
Mógł się żal rodzić, łzy mogły popłynąć,
Rzekłbyś, że mu się łzy w oczach świeciły.
Otworzył usta i tak rzekł do syna:

— Śmiało idź, synu, śmiało idź po ziemi!
Choć zemsta Bogów niewinnego ściga,
Jeśli się zbrodnią nie skalasz ni razu,
Wrócisz do ojców, do wschodniéj krainy,
Przejdziesz Anafiel; a pamięć o tobie,
Jak złote ziarno posiane na ziemi,
Zostanie tutaj; i z niéj się urodzi
Potomstwo wielkie, bohatéry sławne.
Śmiało idź! synu! Ja ojcowską ręką

Do boju życia błogosławię tobie.—
Rzekł ojciec. Potém znowu orszak duchów
Z mogiły ruszył, popłynął ku niebu;
Bielał przez chwilę; na tle nocy czarnéj
Świecił, jak gwiazda, i malał, i zniknął.
Pozostał Witol, uderzył się w rękę,
I krew swą lejąc na ojca mogile,
Modląc się, krwawą święcił mu ofiarę.

Tak noc ubiegła. Piérwszy raz oddawna
Usnął podróżny; a wierny koń jego
Z rozdartém nozdrzem wartował na straży
I rżeniem równo z jutrzenką obudził.
Witol przypomniał na ducha zasadzki;
Dłużéj na grobie nie mogąc pozostać,
Oblał go jeszcze łzami, i żegnając,
Znów w swoję drogę puścił się przez lasy.

Smutny szedł krętą w zarośla drożyną;
Jodź za nim, jakby sługa szedł za panem
Powoli; kroki mierzył z jego chodem;
Czasem się srożył i najeżał grzywę,
To znów spokojny trawę gryzł i liście;
Jak pies, co rękę zna, co go karmiła,
I szuka śladu, i tęskni za panem,
Tak on drożyną za nim postępował;
I próżno łąki wabiły zielone,

Próżno do niego dzikie stada rżały—
On nawet ku nim oczu nie obrócił,
Na chwilę nawet pana nie porzucił.

Tak długo w głębią puszczy się ciągnęli.
A Witol kraj ten jakby przez sen widział,
Zdał się poznawać, zdał się przypominać.
I zdało mu się, jak gdyby zamłodu
Ścieżki podobne i podobne gaje,
Też same rzeczki, doliny też same
Kiedyś już widział i dawniéj przebiegał.
Witał je z jakiémś uczuciem radości,
A sam uczucia nie pojmował swego.
Coraz biegł prędzéj. Na ścieżki zawrócie
Wyszedł w dolinę, i ujrzał przed sobą
Chatę — tę samą, w któréj się wychował.
Też same wiśnie dach jéj ocieniały,
Też same płoty dokoła ogródka,
Taż sama wkoło zielona dolina,
Taż sama sosna z barcią niedaleko,
Kamień, na którym z pastuszki *ofiarę*
Palił on niegdyś Goniglowi Bogu;
A w dali tenże las, na który chciwie,
Rwąc się do łowów, patrzał tyle razy,
Też same dęby z gałęźmi krzywemi,
I sosny smukłe, i brzozy schylone,
Blada osina, splątane leszczyny,
Taż sama niwka pod lasem zasiana.

I, jakby wczora odszedł ztąd dopiéro,
Nic się tu jeszcze nie zmieniło wkoło—
Cicho, jak było, i pusto, jak było.

Ranek, więc matka musi być w oborze,
Ojciec na łowach, z bydłem poszły dzieci,
Parobcy w lesie, w polu, na nowinach.
Psia buda stoi otworem i pusta.
Też same nawet sroki i śmiecinchy
Skaczą przed progiem i ziarna szukają.
Witol, jak gdyby tylko z łowów wracał,
Śpieszył, i stając na chrominy progu,
Modlił się naprzód Kobolóm i duchóm.
Co go dziecięciem pod tym dachem strzegły;
Zapukał potém. Wyszła stara Małda;
Ale pod pięknéj postaci młodzieńcem
Owego dziecka, co się gdzieś zbłąkało,
Już nie poznała. On poznać się nie dał,
I prosił tylko, jak łowiec zbłąkany,
Aby się chwilę ogrzać przy ognisku
I do podróży dalszéj mógł wypocząć.
Poszła mu stara wodę grzać na nogi
I placków upiec świątecznych pod żarem,
Plaster mu miodu na stół postawiła,
I sér, i mléko na misie drewnianéj;
Lecz choć na niego sto razy spójrzała,
Choć głos słyszała, nie poznała przecię,
Że się ten niegdy jéj synem nazywał,

I na jéj ręku piosenką dziecinną,
Straszony cieniem Pokola, usypiał.

Wtém na podwórku psy się odezwały
I ktoś zagadał. Rozpoznał po głosie
Witol starego i łowcze ogary.
Wybiegła Malda gościa mu zwiastować;
Ale po Jodziu wiedział już gospodarz,
Że jakiś obcy w chacie odpoczywa.
—Któż to?—zapytał żony w progu chaty.
—Kto?—Bogi wiedzą! Zaszedł, jak zbłąkany,
Piękny młodzieniec. Miecz wielki u boku,
Łuk ma na plecach i topor u pasa,
I Wiżos drogim sznurem oplatane,
I twarz wesołą, a piękną jak Saułe [1].—
—Nie bluźnijże, stara! A toć byłby Bogiem.—
—Kto wié! Prawdziwie na niego wygląda.
Widziałam dawniéj Kunigasów wielu.
Ludzie to, jak my; to, nie jak my człowiek.
I mało darów gościny skosztował,
Milczy i patrzy, jakby na co czekał.—
Stary porzucił oręż swój u proga,
Proch z nóg otrząsnął, zdjął szłyk z siwéj głowy,
I, uchylając drzwi, gościa powitał:
—Niechaj wam będzie błogo w naszym domu.—
—I tobie, starcze, niech Bogi przyczynią—
Odrzekł mu Witol—niechaj wam Puschajtis

1. Słonce.

U Markopola dostatki wyprosi.
Z łowów wracacie?—zapytał po chwili.
—Z łowów—rzekł starzec—idę, miły gościu!—
A mówiąc, pilnie w twarz mu się wpatrywał;
I, jakby sobie głos ten przypominał,
Jakby pod męzką chciał odgadnąć twarzą
Rysy dziecięcia, patrzał z podziwieniem.
—Jakże wam łowy dziś się poszczęściły?—
Znowu go Witol zapytał z uśmiechem.
—Niebardzo, Panie! Od lat to już kilku,
Jak wychowaniec mój, biedny sierota,
Gdzieś mi na łowach, przez duchy zbłąkany,
Zginął, że nawet i śladu żadnego
Znaleźć nie mogłem, od tego mi czasu
Ani na łowach, ni się szczęści w domu.
A Bogi wiedzą, jakem go przestrzegał.
Lecz w las młodemu, jak rybie do wody.
Ani pamiętał na moje przestrogi.
—Liszka nam drogę przebiegła—mówiłem—
Wróćmy się nazad—on nie chciał powracać;
Stać mu kazałem, puściwszy ogary—
On w las poleciał i zginął gdzieś w łesie.—

—Dawnoż to temu?—znów Witol się pyta.
—Lat nie liczyłem, lecz kilka ich mija.
Oszczep strzaskany znalazłem śród kniei,
Lecz ani słychu, co się z młodym stało.
Gdyby go źwierzę pożarło, to szaty

Znalazłbym może, lub kości pogrzebał;
A wszystkiem lasy przetrząsnął dokoła,
I niéma miejsca, gdziebym go nie szukał.—

—Któż to był? zkądże wzięty był sierota?—
Znów Witol starca zapytał ciekawy.
—Jeszcze go dzieckiem przynieśli z daleka,
Z dworu Kruminy; kobiéta służebna,
Tajemnie, w białe spowitego płótno,
Żonie oddała, i mieli nagrodzić.
Ale gdy chłopiec z mojéj zginął winy,
Nikt się o niego nie dopomniał więcéj.
Myśmy nagrody i prosić nie śmieli.
Nie było za co. Baliśmy się kary.
Wielka Krumine straszna, gdy jest w gniewie.—
—I nikt o niego u was nie zapytał?—
Powtórzył Witol z westchnieniem bolesném.
—Nikt; tylko lata przeszłego kobiéta
Taż sama w polu spotkała mnie znowu.
—Dziecka już niéma?—powiedziała do mnie.
—Niéma!—odrzekłem, i chciałem uciekać.
—Wiém!—zawołała, idąc daléj drogą,
Lecz nie groziła zemstą, ani karą,
Ani się więcéj u mnie rozpytała.
Jam dumał: ona zkąd wiedziała o tém?
Dla czego nic mi nie mówiła za to?
Chociaż go swoi nie płakali może,
Ja nieraz po nim szczere łzy wylałem.

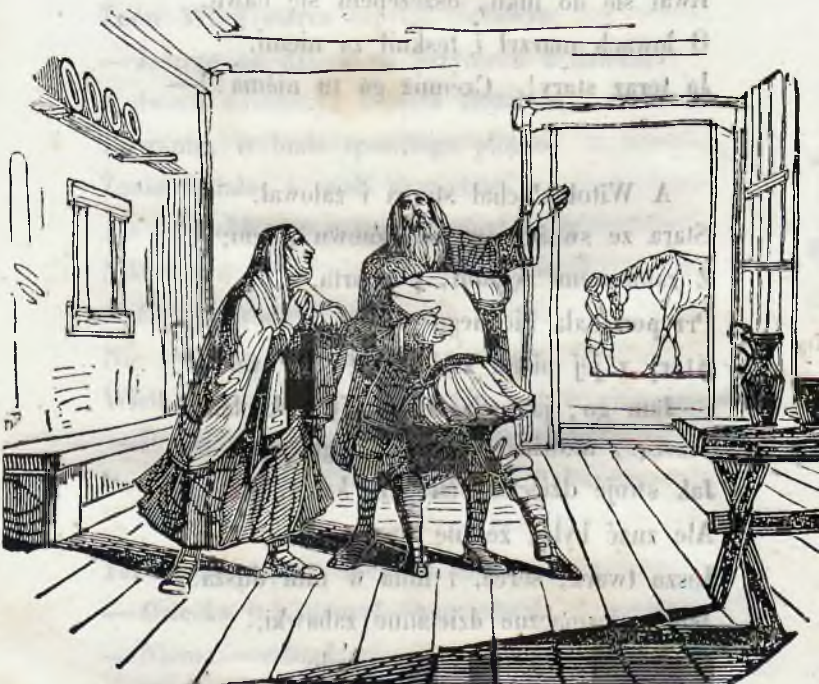
Ach! byłby teraz w domu mi pomocą.
Siłę niedźwiedzia, a rozum miał węża,
Odwagę wilków szalonych i rysia.
Młody, a już mu w piersi boje wrzały,
I nie mógł z braćmi trzody gnać na pole,
Rwał się do łuku, oszczepem się bawił,
O łowach marzył i tęsknił za niemi.
Ja teraz stary! Czemuż go tu niéma?!—

A Witol słuchał starca i żałował.
Stara ze swoim przyszła znowu żalem:
Z założonemi rękami, podparta,
Przypominała biednego sierotę,
Który z jéj piersi ssał przed laty życie.
—Jam go, jak własne dziécię, ukochała—
Płacząc, mówiła, potrząsając głową—
Jak swoje dziecko piersiami karmiłam.
Ale znać było, że nie nasze dziécię.
Insza twarz, serce, i inna w nim dusza.
Jemu niesmaczne dziecinne zabawki,
Jemu niemiłe dziecinne swawole;
O łowach tylko i bitwach od młodu
Marzył i gadał, przez sen nawet, biedny.—

—I jemu przyszło—rzekł starzec—tak zginąć!
Niedarmo liszka przebiegła nam drogę.
Prosiłem: wróćmy! On nie chciał powracać;

Zaledwie w inną dał się zwrócić stronę.
Poszedł i zginął! O! żal mi sieroty.—

—Nie żałuj, ojcze!—rzekł Witol do niego,
I wstał z za stołu, szedł, uściskał starca.—



Jam to jest Witol, ja to ów sierota.—
—Ty!!—zawołali z wykrzykiem oboje.—
Ty? Panie!—Zaraz wszystko zapomnieli,
Ściskać go, płacząc, i pytać zaczęli.
Witol się cieszył, jak gdyby rodzinę
Własną odzyskał—tak czule witali,

Ze łzami w oczach, z uśmiechem radości.
A stary patrzał, Witola oglądał,
Dziwił wzrostowi, mieczowi, ubraniu,
O wszystko pytał, wszystkiego ciekawy,
I stokroć jedno powtarzać mu kazał.

Zaraz się dzieci starca dowiedziały.
—Witol powrócił!—Biegają pastuszki,
Wołają, trzody puścili samopas,
I wszyscy biegną zobaczyć do chaty,
Jak ich rowieśnik na wielkiego męża
I na wojaka wyrósł potężnego,
Jakiego konia, jaki miecz u boku,
Jakie miał piękne, bogate ubranie.

Tak gdy ptak z gniazda daleko uleci
I w obcych gajach pierzem się okryje
A potém znowu na gniazdo powróci,
Pozna go matka, dziwią mu się bracia,
I w obcym dawną witają znajomość.

Naprożno Malda troskliwa Jodziowi
Najczystszy owies sypała na trawie;
Próżno mu dzieci, głaszcząc go, nosiły
Wody najświeższéj z krynicy od boru—
On nie jeść nie chciał, niczego się napić,
Hasał w dolinie, znów do chaty wracał,
I, u drzwi stojąc, kopał ziemię nogą,
Rżał i Witola ku sobie wyzywał.

A w chacie radość, a w chacie wesele.
Nie śmieli pytać:—Czy zostaniesz z nami?—
Mógłżeby teraz Witol z niemi zostać,
Ubogiém życiem z niemi się podzielić?
Już oni nawet o tém nie myślili;
Tylko prosili:—Zostań dzionek z nami,
Zostań dni dziewięć, potém miesiąc cały.—
—A potém, może—myśleli—on sobie
Podoba z nami i zawsze zostanie.—

Ale Witola insze czeka życie.
Potrzeba było walczyć z zemsty duchem,
I świat przebiegać, i wojenną sławę
Pozyskać głośną. Czuł, że mądra Budte [1]
I Łajbegelda [2] stuustna mu w duszy
Żądzą miotały i walki i sławy.
On się już nie mógł tém życiem spokojném
Łowów, spoczynku, odludnéj pustyni,
Dosyć nakarmić. Głos Krewe-Krewejty
Szérzéj mu świata dokoła pokazał,
Inną mu przyszłość daleką zwiastował.
Młodzieńczym duchem piął się Witoł w górę,
Marzył o walkach z posłami Perkuna,
Dalekich krajach i rozgłośnéj sławie.
I próżno w chacie prosił ojciec stary,
Próżno go bracia o trzy dni prosili.

1. Bogini mądrości.

2. Bóstwo sławy.

Jodź kopał nogą, pode drzwi przychodził,
Swém rżeniem panu odjazd przypominał
I do podróży wyzywał go nowéj.
A każde rżenie konia w jego sercu,
Jak róg do boju wzywający, brzmiało.
Musiał się Witol pożegnać ze starcem.
—Wróciszże kiedy?—smutnie pytał stary.
—Nie wiém, mój ojcze!—Któż wié, czy powróci,
Kiedy na wojny leci przeciw śmierci?—
—Daleko jedziesz szukać boju, synu!
Cicho dokoła, nie słychać tu wojny.—
—Znajdę ją, ojcze! Ona na mnie czeka.
Gdzie ja, tam ona. Pójdę w świat przed siebie.
Wspomnijcie o mnie, kiedy mnie nie będzie.
Ztąd niedaleko jest w lesie mogiła.
Mego tam ojca złożone popioły.
Kiedy Chauturej przyjdzie zmarłych święto,
Przez pamięć dla mnie złóżcie tam ofiarę.—

Przyrzekli wszyscy; z łzami go żegnali.
Wyjechał. Długo za nim spoglądali;
Długo, przed chatą stojąc na podwórku,
O sobie, o nim gwarzyli pocichu.
Zniknął im z oczu, i każdy do swojéj
Z cichém westchnieniem powrócił roboty.

Chmurny był wieczór, kiedy Jodź Witola
Uniósł przez puszczę od wieśniaczéj chaty;

Na niebie, jakby podartemi szmaty,
Brudne obłoki, rozpierzchłe, wisiały;
Wiatr w górze szumiał; wielkiemi kroplami
Deszcz się niekiedy oznajmował ziemi;
A piorun, tocząc się ze chmury w chmurę,
Warczał, nim upadł na przelękłych głowy.

Jodź, jakby burzę czy wroga przeczuwał,
Coraz biegł prędzéj, coraz chyżéj ścigał.
Ledwie się za nim migały w oddali
Puszcze, Witola młodości schronienie;
I Niemen, w którym niebo się odbiło,
Jako pas czarny pozostał za niemi.
Oni lecieli. Nad Witola głową
Już Grajtas czyhał pod ptaka postacią,
Skrzydła rozpuścił, szyję na dół zwiesił,
Rozwarł dziób ostry i zakrzywił szpony;
A Jodź najeżał rozczochraną grzywę,
Rzucał się, parskał i pędził szalony;
Lecz duch Perkuna prześcignąć się nie dał,
Ciągle nad niemi przez chmury szybował,
Ciągle ich okiem ognistém pilnował.
Tymczasem burze warczały po chmurach;
Huk wprzód daleki, teraz bliższy coraz,
Gęstszą co chwila błyskawicą groził;
I wicher ku nim wiał ciepły, siarczysty,
Z powietrzem ciężkiém, gęstemi wyziewy.

Oni lecieli coraz chyżéj, chyżéj.
Jodź głową w górę potrząsnął i stanął.
—Panie mój!—rzecze—duch nad tobą krąży.
Duch to Perkuna. Przed nim nie ucieczem.
Wejdź w moję głowę i schowaj się przed nim.
Ja z tobą wówczas lżéj jeszcze polecę;
A on, gdy ciebie nie ujrzy pod sobą,
Może się nazad na Dungus zawróci.—
—Wejść w głowę twoję?—Witol go zapytał—
Jakże ja w głowie pomieszczę się twojéj?—
—Panie!—koń rzecze—jest w niéj pałac wielki.
Każdy naszego rodu koń go z sobą nosi.
A gdy pan jego siądzie na spoczynek,
On leci daléj, kędy mu rozkaże.—
—Zkądżeś ty rodem? cudowny mój koniu!—
—Z daleka, Panie! z północnéj krainy.
Naszego rodu jest już tylko dwoje.
Jeden król tylko ma klacz mnie podobną.
Lecz nie trać czasu. Stanę, pysk otworzę,
Wnijdź do pałacu i uśnij spokojnie.—
Stanął, a Witol spuścił się na ziemię.
Jodź, białą pianą zlany, pysk otworzył.
Skoczył syn Mildy, i znalazł się cudem
W gmachu przepysznym, który okien dwoje
Dwa oczy Jodzia jasno oświecało.
Wszystko tam było do jego wygody:
Z skór miękkich łoże, stół i miodu czasze,
Na stole pieczeń, zubrzy róg złocony,

I ogień nawet palił się w ognisku,
A dym przez nozdrza konia się wywijał [1].
Kiedy Jodź stawał, Grajtas już się spuszczał,
Wymierzył w środek na Witola głowę
I ostrym dziobem już ku niéj kierował,
Spójrzał raz jeszcze — nie było Witola,
Koń tylko pędził. Ptak za nim poleciał,
Napróżno pastwy upatrując swojéj.
To się raz spuszczał nad głowę rumaka,
To wkoło niego kręcił i szybował.
Nigdzie Witola. Myślał: — Koń go zrzucił,
Pozostał w tyle, a jam go ominął. —
Spuścił się nizko i leciał nad drogą.

Jodź spójrzał w górę — jeszcze burze grzmiały,
Potopy deszczu lały się na ziemię,
Ale już ptaka nad nimi nie było.
Jeszcze dwie mile, a daléj pogoda
I odpoczynek w zielonéj dolinie.
Skoczył dwie mile i stanął zdyszany.
— Panie! — rzekł — wynijdź, bo już niéma ducha. —
Witol ze swego wyskoczył pałacu,
I, głaszcząc konia, usiadł na murawie.
— Cóż ty chcesz, koniu, za twoje usługi? —
— Nic, o mój Panie! Chciałbym ja raz tylko
Swojego rodu klacz odwiedzić cudną,
Która na dworze północnego króla,

1. Podanie o koniu Witola tak mówi.

Ztąd jest daleko. Potémbym ci za to
Służył tak wiernie, jak dotąd służyłem,
Póki twojego życia tylko stanie,
I póki życia we wschodniéj krainie.
Uciekać nie chcę, rzucić cię nie mogę.
Czarownik jeden zaklął mnie w niewolę,
Iż komu cugle raz w ręce oddane,
Tego na wieki sługą pozostanę.—
—Gdzież ta klacz cudna? i długaż to droga?—
—Trzy razy trzy dni będziemy lecieli,
Siedémkroć siedém będziemy powracać.—
—Odpocznij, Jodziu. Polecimy za nią.—
Jodź wstrząsł się cały.—Nie trzeba spoczynku.
Siadaj! mój Panie! siadaj! Jam gotowy.—





JECHALI ciągle ku chmurnemu niebu,
Na północ, przeciw Grizułas świecących;
I chociaż prędko jak piorun lecieli,
Już się im droga długą zdała obu.

Kraj się odmienił. Znikły Litwy gaje;
Śnieg ziemię przysuł; białych brzóz i jodeł
Chwiały się bory pod płatami śniegu,
Pod białą zimy śmiertelną koszulą;
A niebo mgliste wisiało nad nimi,
I rzeki martwe u stóp ich głazami
Leżały, jakby trupy na smętarzu.
Nigdzie człowieka. Czasami źwierz biały
Gdzieś się zdaleka po śniegach im migał
I bojaźliwy po zaspach przesuwał,
A w borze czarnym kryjąc się głęboko,
Znikał w gęstwinach, z splątanych gałęzi
Śniegiem strzęsionym zasypując ślady.
W nocy miljony gwiazd świeciły z nieba,
Ale nieznane Witolowym oczóm.
Innych to ludzi i innego świata
Strażnice były, inaczéj świeciły.
W północnéj stronie co nocy olbrzymy
W czérwonéj zorzy wbiegali na niebo
I krwawe walki wiedli, i krwią swoją
Na długo jeszcze pole walk broczyli;
Czasem przez wielkie pędzili jeziora,
Martwe i lśniące, które pod kopytem
Głucho i straszno w głębinach tętniały;
To znów przez zaspy śniegu się kopali,
Które, jak góry wznosząc się olbrzymie,
Tysiącem pyłów gwiazdzistych błyskały.
Pochmurne niebo czasem się iskrzyło,

Jak drugie szkliste nad głową jezioro;
Czasem się w siwe ubierało szaty;
Lub białym śniegiem wiatr kręcąc nad ziemią,
Chmurą ich zewsząd śnieżną opasywał.
W niéj jak gdyby się ziemi nie tykali,
Jakby w obłoku jasnym się pędzili.
Lecz Jodź z rozdartém nozdrzem nigdy drogi
Nie szukał nawet; ciągle wprost przed siebie,
Przez góry, doły, i zaspy śnieżyste,
I przez zamarzłe pędził się jeziora.
Ni jemu w nocy spoczynku gdzie w lesie,
Owsa ni wody nie trzeba mu było.
Jakby cudowną ożywiany siłą,
Im dłużéj leciał, tém raźniéj i chyżéj,
Czując, że coraz był od celu bliżéj.
Wiele dni w drodze podróżnym ubiegło.
Dni tylko mrokiem i światłem liczyli:
Bo rzadko słońce widzieli nad sobą,
I rzadko xiężyc z za chmury twarz bladą
Pokazał, i znów wśród zamieci śniegu
Okrył się płaszczem tumanów i zniknął.

A Witol pytał konia:—Czy tak długo
Biedz jeszcze mieli, czy jeszcze daleko?—
—Jeszcześmy, Panie, ubiegli pół drogi.—
I znowu leciał tak prędko, jak wprzódy.
A kraj się coraz dzikszy ukazywał.
Czasem w ustroni chata między drzewy,

I człek brodaty, śniegiem opruszony
Wieku i zimy, wychylał twarz czarną,
Na widok jeźdźca schyloném bił czołem,
I, ozierając, z przestrachem uciekał.
Czasami stada głodnych wilków, wyjąc,
Stały na wzgórzach, oczami świeciły,
Z otwartym pyskiem na jeźdźca patrzyły;
Lecz Jodź poskoczył, i w tyle zostały;
Wiatr tylko wycie przynosił z daleka.
Potém znów było cicho, jak przed chwilą.
Znowu wędrują przez morza śnieżyste.
A Witol pyta: — Daleko? mój koniu! —
— Panie mój! jeszcze do króla daleko. —
I znowu jadą i pędzą śniegami.
A mroźny wicher wkoło nich się zwija.
Już twarz i suknie Witola przemarzły,
I oręż jego posiwiał u boku,
I koń, jak gdyby kamieńmi drogiemi
Okryty, w pyłach zamarzłych połyskał.
— Zimno nam, koniu! — mówił Witol znowu.
— Nie mnie: bo pędzę do swojéj kochanki.
Ani mnie nogi od biegu martwieją,
Ani mi siły od znoju ustają:
Bo czuję Aszwę [1] kochankę przed sobą.
Ty tylko, Panie, musisz być znużony.
Tobie i mroźny wiatr musi dokuczać,
Tobie i nudno i ciężko być musi:

1. Klacz.

Bo do nikogo i po nic nie jedziesz.—
—O, mnie nie nudno, mnie droga nie długa;
Lecz przyśpiesz biegu, bo odpocząć trzeba.—
—Czemuż wejść nie chcesz do swego pałacu?—
Bo lubię patrzeć na ten świat północny,
I chcę na jego napatrzeć się dziwy,
Ażeby o nim w starości pamiętać
I przy ognisku kiedyś opowiadać.—

Znowu więc biegli. Jodź począł ustawać.
—Blizko już? koniu!—Witol go zapytał.
—Blizko już, Panie!—koń mu odpowiedział.

Za mgłą, na górze wysokiéj, nad rzeką,
Wysoki, biały gmach się ukazywał;
U spodu góry wielki las sosnowy
Zielonym wieńcem miasto opasywał;
Świeciły dachy i wieże wysokie;
Dymy na bokach góry się zwijały,
I w czarnych kłębach, nad wierzchołkiem lasu,
Jak szata ciemna, z wiatrem kołysały.
Jodź zarżał, patrząc na górę wysoką
I jeszcze chyżéj biegł po krętéj drodze,
Pomiędzy lasem széroko ubitéj;
Wspinał się silny i na skały drapał;
Z nozdrza mu ogień, zda się, wyparskiwał;
Uszy nastawił i nasrożył grzywę;
Tak aż do bramy zamkowéj doleciał.
Tu Witol porwał zwieszony u pasa

Róg i zatrąbił. Zaraz służba mnoga
Biegła, ciekawie patrząc na wędrowca.
— Swemu królowi powiedzcie ode mnie—
Rzekł Witol, stojąc u zapartéj bramy—
Że z południowych oddalonych krajów
Przybywam prosić gościny u niego.—
Od wrót pobiegli na zamek dworzanie.
Król oknem wyjrzał; poznał po postawie,
Że gość to musiał być wielkiego rodu;
Rozkazał puścić na zamek, do siebie;
Sam nawet wyszedł naprzeciw spotykać.

Stary i siwy, na łokieć miał brodę,
Złocistą suknię, na głowie koronę,
Długi miecz w pochwach u boku zwieszony;
Krzepki, barczysty. Znać, że długie lata
Siły w nim wielkiéj jeszcze nie przybiły;
Bo kiedy dłoń swą Witolowi podał,
W uścisku jego znać było nie starca,
Lecz w kwiecie wieku silnego wojaka,
Co był zwyklejszy miecz pieścić w swéj dłoni
Niż przyjacielską podawać u proga.

Potém obadwa do komnat bogatych
Poszli i siedli. Liczni słudzy króla
Jadło, napoje, biały miód i mléko,
I piwo nieśli srébrnemi konwiami.
Na drogich skórach siedzieli za stołem,
A niewolnicy, klęcząc, im służyli.

Wpośrodku uczty zwołani śpiewacy
Z gęślą i pieśnią wesołą nadeszli;
Inni na rogach i trąbach im grali,
W Lietauros [1] bili, jak gdyby do wojny
Wojenną pieśnią rozgrzewając serca,
Wspomnieniem zwycięztw rozjaśniając czoła.
I tak weseli, do wieczora oba
O swoich krajach, o Bogach, o wojnach,
I król i Witol pospołu gwarzyli.

Gdy noc nadeszła, najstarszy dworzanin
Powiódł Witola w komnatę osóbną,
Bogatą bardzo i bardzo ozdobną.
Dziewięciu sług mu dał król na rozkazy,
Którzy noc całą pod drzwiami czuwali.
Nazajutrz szaty przynieśli bogate
I miecz złocisty w podarku od króla.
Przywdział je Witol, lecz Krewe-Krewejty
Miecza nie rzucił, choć oka nie wabił,
Ani się świecił bogatą pozłotą.
Znowu, jak wczoraj, dzień minął wesoło,
W uczcie i śpiewach, nad dzbanami miodu.
W samo południe na podwórzec wyszli
Przygotowaném bawić się igrzyskiem.

W środku ścian czterech z białego kamienia,
Które podwórzec wielki otaczały,
Spuszczono naprzód niedźwiedzia z ogary.

1. Bębny, kotły.

Niedźwiedź był głodny; a psy rozjuszone
Wpadły nań, wyjąc; lecz lasów mieszkaniec,
Z starości siwy, podniósł się na łapach,
Przypuścił zjadle ku sobie ogary,
Potém, jak muchy, w uścisku rozszarpał.
Naówczas większe drugie psy puszczono.
Te, kiedy wroga przed sobą postrzegły
I ciała braci w posoce drgające,
Wyjąc, pobiegły ukryć się pod murem,
I bojaźliwém poglądając okiem,
Zdały się, patrząc do góry, litości
Żałośnym jękiem od ludzi wyzywać.

Naówczas Witol zaczął króla prosić:
—Pozwól sam-na-sam z niedźwiedziem się zmierzyć.—
— Gościu mój!—rzekł król— gdybyś był mi wrogiem,
Chętniebym na śmierć pewną cię wyprawił.
Chyba jéj żądasz. Lecz szukaj gdzieindziéj.
Nie ściągaj na mnie zemsty swoich Bogów
Za połamane gościnności prawa.—
—Nie żądam śmierci—Witol odpowiedział.—
Chcę ci pokazać naszych krajów łowy,
I siłę naszą pokazać, o Królu!—
A król ogromne od bramy wrzeciądze
Rozkazał przynieść, i w ręce ująwszy,
Milcząc, z łatwością, jak słomę, rozkruszył.
—I ja mam siłę—rzekł—ale nie człeku
Z dzikiém zwierzęciem mierzyć się i walczyć.—

— Królu! — znów Witol — lat już temu wiele,
Jeszczem był ledwie u ojca chłopięciem,
Kiedym takiego położył niedźwiedzia,
Co był postrachem okolicznéj puszczy,
Którego łoże pomijali łowce,
Bo się od kości zdaleka bielało.
Jeżeli zginę, ni żony, ni dzieci,
Nikogo nie mam, ojca, coby płakał,
Ni krewnych, coby pogrzeb mi sprawili.
Dozwól mi, Królu! a wówczas zobaczysz,
Jakiegoś jeszcze nie widział, igrzysko.—
— Nieraz — król rzecze — widziałem podobne,
Kiedy niewolnik za zbrodnię skazany
Z psami lub dzikim niedźwiedziem się ścierał.
Nigdym nie widział, by zwyciężył człowiek.
Rzuć tę myśl, gościu, i nie chciéj probować.—

A Witol naglił, prosił, aż król stary
Rzekł:— Chcesz umierać, wolno ci, idź walczyć;
Lecz jeśli padniesz, krew twoja nie na mnie,
Ani na dom ten nie spadnie niewinny.
Sam chciałeś, wolnyś, i sam się zabijesz.—

Gdy tak mówili, wyły psy u bramy,
Niedźwiedź rozdartych wnętrzności wydzierał,
Leżał, i łapy liżąc, je pożerał.
Z podziwem wszyscy patrzali, gdy młody
Wędrowiec, z lichym orężem u boku,
Bez zbroi, łuku, oszczepu i drzewca,

Przeszedł wśród wszystkich, podwórzec otworzył,
I stanął śmiało przed siwym niedźwiedziem.
Tamten zaledwie mordę zakrwawioną
Podniósł i oczy wytrzeszczył czérwone,
Potém spokojny wrócił do swéj pastwy.
Witol z dobytym mieczem się przybliżał;
I niedźwiedź, mrucząc, psie cielsko porzucił,
Zaryczał, stanął, na niego się zwrócił.
Spójrzeli stojąc nieruchomi oba.
Wtém cudownego oręża zamachem
Syn Mildy łeb mu na dwoje rozpłatał;
Potém, porwawszy za kark, po za mury
Ogromne cielsko, zlane krwią, przerzucił.



Milczeli wszyscy, i sam król osłupiał.
W chwilę, jak gdyby oczóm nie wierzyli,
Jedni na drugich patrzali, nie śmiejąc
Ni ust otworzyć, ni nawet się dziwić.
A Witol zwolna na miejsce powrócił,
I resztę gonitw w milczeniu przesiedział,
Ani się słowem odezwał do króla,
Ani z łatwego chlubił się zwycięztwa.
Lecz król północny, dziwiąc się téj sile,
Igrzysko zamknął, do zamku powrócił.
— Tyś czarnoxiężnik — rzecze do Witola. —
Dobrze! W téj sztuce i jam nie pośledni.
Jednak, choć młody, tyś mnie w niéj przesadził. —
— Nie umiém czarów, i nie znam, co czary —
Rzekł Witol. — Siła, moja tajemnica;
Taką mam, jaką Bogowie mi dali;
Anim jéj sztuką powiększył, ni zmienił. —

Król słuchał, głową trzęsąc, i nie wierzył.
— Nie chcesz mi, gościu, wydać swych tajemnic,
Dla tego czarów sztuki się zapierasz.
Jednak téj siły nikt nie ma pod słońcem,
Z taką się jednak nikt z ludzi nie rodzi.
Kto ją posiada, czarami pozyskał,
Modły, ofiarą, zaklęciem uprosił.

Próżno się Witol przed królem zapierał.
On, złość swą kryjąc i gniew w serca głębi,

Choć przyjaznemi przemawiał słowami,
Zazdrośném sercem źle gościowi życzył,
I na miecz patrzał u boku zwieszony,
Jeszcze niedźwiedzia posoką zbroczony.
— Gościu mój! — rzecze — sto za jeden mieczów,
Stu niewolników, jeśli chcesz, w zamianę. —
— Ten miecz — rzekł Witol — pamiątka jedyna.
Braci, rodziny nie mam w swoim kraju.
On bratem moim, przyjacielem, sługą,
On mi po ojcu przybranym puścizną.
Za twą koronę, i kraj twój, o Królu,
Miecza mojego nie oddam w zamianę. —
Umilkł; a stary spójrzał nań ponuro
I wzrok pochmurny przed siebie utopił.

Kiedy za stołem usiedli i piją,
Słudzy gorące roznoszą mięsiwa,
Dworscy im w rogi białe miody leją,
Gęślarze pieśni wojennemi bawią;
A stary, ślepy, odwieczne im dzieje
Przeciągłym głosem wśród pieśni powtarza.
Nagle, jak gdyby góra się zatrzęsła,
Stu koni biegiem i stu koni rżeniem
W okna zamczyska bije tentent wielki
I po powietrzu rżenie się rozlega.
Król klaczy swojéj poznał głos miłosny,
A Witol Jodzia zapalczywe rżenie.
Król, gniewem płonąc, porwał się od stoła:

—Kto klacz cudowną puścił na dolinę?!
Śmierć mu! Już za nią źrebiec się upędza!—
I biegł do okna, i oczyma szukał.
Pod górą zamku oba konie stały;
Już miłośnemi złączone pyskami
Wzajem poznawać i cieszyć się zdały.
Klacz króla rżała do swego kochanka,
Grzywa jéj wiatrem wzniesiona latała,
Oczy płonęły, a nozdrze rozdarte
Zdało się ogniem buchać, wiać płomieniem.
Pobladł król stary i przeklinał sługi,
Którzy na twarze padali w milczeniu.
Potém, nim Witol miał czas go zrozumieć,
On czarodziejskie jął czynić zaklęcia,
I, zabiegając, by olbrzymich koni
Ród się na ziemi z téj pary nie mnożył,
Skinął—z pod zamku runął kawał góry
I urwiskami zarzucił ich dwoje.

—A!—wrzasnął—teraz śmierć na tego sługę,
Który cudowną klacz z stajni wypuścił!
Ja po niéj będę do méj śmierci płakał,
Bo jéj podobnéj nie było na świecie.
Lecz zkądże sobie równego kochanka
Aszwa znalazła? Powiązać stajennych
I rzucić dzikim źwierzóm na pożarcie.—

Mówił; a Witol ku niemu poskoczył
Ziejący gniewem, zrospaczony żalem.

— Królu! — zawołał — najdroższego skarbu,
Koniaś mnie mego pozbawił zdradliwie.
Gdybyś za niego królestwo oddawał,
Niczém mi takiéj nie nagrodzisz straty! —

Król zadumiony próżno się wymawiał.
— Patrz — rzecze — na mnie; i ja równą tobie
Stratę poniosłem: klacz mi ukochaną
Razem z twym koniem własnemi rękami,
Zbójca, zagrzebłem pod górą zamkową!
Biada mi! biada! — I rwał siwe włosy,
I sługi swoje odpychał od siebie,
Po ziemi tarzał z jęki bolesnemi.
A Witol także, po srogiéj utracie,
Po Jodziu swoim, płakał łzy rzewnemi;
Ale, na boleść królewską patrząjąc,
Zabył on swojéj, uśmierzył ją w duszy,
Podał mu rękę. — Królu! — z żalem rzecze —
Stało się! Nie czas napróżno się trapić.
Obaśmy winni, obadwa skarani.
Podaj mi rękę, i przebaczmy sobie. —
Nic nie rzekł stary, lecz jęczał strapiony
I sługi swoje od siebie odpychał
A koniuszego do wilczéj zagrody
Wrzucić rozkazał.
Noc była nadeszła.
Kobiéty króla pocieszać przybiegły.
Wrzawą i płaczem szumiał zamek cały.

Witol do swojéj precz uszedł świetlicy,
Po drogim koniu tęskniąc, przyjacielu;
I długo, długo siedząc u ogniska,
Wspominał o nim, próżny żal podsycał.

Tymczasem starca nie pocieszą słudzy.
Próżno piosenki młoda córka nóci,
Bojary jego łudzą go nadzieją,
Że w świat pobiegną i klacz taką drugą
Od czarodzieja z za morza dostaną.
Król wié, że drugiéj takiéj niéma w świecie,
I ciężko wzdycha, i targa włos biały,
Do snu się nawet, choć północ, nie kładzie.
A córka słowy przemawia czułemi,
I pyta ojca: co począć rozkaże,
Czém gniew ukoić, uspokoić żale?
On rzekł do córki:—A po Aszwie mojéj
Żal nie ustanie póki mego życia.
Lecz byłby mniejszy, gdybym cudownego
Dostać mógł miecza od gościa mojego.
Miecz ten u boku bezustannie nosi,
I za nic oddać nie chciał go w zamianę.—
—Miecz ten od niego ja, ojcze, dostanę—
Rzekła mu córka. Z siedzenia się zrywa,
Do staréj mamki czarownicy śpieszy,
Szepce z nią długo, długo się naradza,
Wraca do ojca i powtarza znowu:
—Miecz ten od niego ja, ojcze, dostanę.

Jutro go rano u łoża twojego
Ujrzysz, mój ojcze! Usypiaj spokojny.—
I poszła córka; w podwórcu zamkowym
Zebrała sługi: śle ich do świetlicy,
Kędy sam jeden Witol odpoczywał.
—Kto miecz cudowny od gościa dostanie,
Swoboda jemu i dzieciom na wieki,
Stu niewolników na sto gonów ziemi!—
Rzekła, i słudzy upadli na twarze.
Biją im serca na obietnic tyle.
Wszyscy pobiegli do gościa świetlicy.
Witol nie usnął, jeszcze na posłaniu
Siedział i płakał na nieszczęście swoje,
Gdy drzwi széroko otwarli posłani,
Wpadną na niego i więzy narzucą,
A starszy Smerda, ulubieniec pani,
Miecz mu od pasa chce oderwać siłą;
Lecz pas go trzyma u Witola boku,
I, jakby przyrósł, odjąć się nie daje.
Napróżno szarpią, próżno się szamocą.
Nie wziąść go ręką, nie oderwać mocą.
A Witol walczy z siepaczy wszystkiemi,
I co dwóch rzuci, podepce na ziemi,
To cztérech znowu do niego przyskoczy,
Targa, i wiąże, i siłą ugniata.
Miecza do ręki Witol wziąść nie może—
Ręce spętane; jeszcze spętanemi
Broni się silny, niewolników rzuca:

Aż wysilony matkę przypomina,
I, wzniósłszy oczy, zawoła z rospaczą:
— Ratuj mnie! Mildo! matko! ratuj syna!—
I w chwili padną na stronę siepacze,
Drzwi się rozwarły, jasna postać w bieli
Weszła, skinęła. Witol poznał matkę,
I ręce do niéj wyciąga żebrzące.
— Ratuj mnie!— woła.— Zgwałcono gościnę.
Król ze mną chlebem rozłamał się białym,
Pił z jednéj czary, a zdradę uknował,
Konia mnie zbawił, i miecz chce cudowny
Wyrwać mi gwałtem. Wśród nocy podeszli
Słudzy wysłani, więzy narzucili!
Matko!— A matka rękę mu podała.
I wstał z posłania, otrząsnąwszy łyka.
— Biada ci! Królu! wam — krzyknął — siepacze!
Jam wolny. Idę. Lecz gdy tu powrócę,
Nie z jednym mieczem, nie sam jeden tylko!—
To mówiąc, z siebie zrywał króla dary,
Bogate suknie, jaśniejące szaty,
Wdział swoje na się, i z matką wybiega.
— Matko! ty syna przeniesiesz na Litwę.
Mam w sercu zemstę, dokonać jéj muszę,
Muszę się pomścić, kraj jego zwojować,
Zabrać w niewolę jego, żony, dzieci,
I niemowlętóm nawet nie daruję,
A z jego zamkiem i z krajami jego
To, co z Raudona uczynię sadybą.

O matko moja! jeśli w twojém ręku
Jest jeszcze jaka zemsta najstraszniejsza,
I téj dla syna nie odmawiaj twego!—

Wówczas Bogini, litując się syna,
Którego w gniewie i żalu tuliła,
Na kraj północny przeklęctwo rzuciła,
Żeby w nim, póki zemsta się nie spełni,
Iskierki nawet miłości nie było,
Ani roskoszy miłośnych uczucia.

—Niech, jak te lody, ostygną!—wyrzekła—
Niech żadne czucie serca nie rozgrzeje!
I, póki zemście twéj dosyć nie będzie,
Niech w walkach, sporze i bez zgody żyją!
Niechaj się sami szarpią, zabijają!
Mąż żonę niechaj odpycha od siebie,
A córka ojca, starych dziadów dzieci!
Niechaj, dopóki ty im nie przebaczysz,
Przeklęctwo moje cięży im nad głową!—

Tak mówiąc, syna uniosła od ziemi,
I polecieli nad Litwę rodzinną.
Tu Milda w puszczy, po nad Niemna brzegiem,
Syna ze swego wysadziła wozu
I skarby wielkie na wojsko mu dała.
Przejęty żalem, pałający gniewem,
Witol z puszcz dzikich zaczął lud zwoływać.

Posłańcy jego poszli w cztéry strony,
Na wszystkie dziewięć pokoleń Litewskich.
Zewsząd, ujęty nadzieją nagrody,
Lud się naciskał tłumnie i gromadził.
Biegli, oszczepy niosąc, drzewce, łuki,
I rzadkie jeszcze żelazne oręże.
U chaty starca Witol stanowisko
I obóz wybrał w zielonéj dolinie.
Dzień za dniem coraz rosły jego siły;
Dzień za dniem zdała przybiegali ludzie
Ze stron dalekich, dziwnie uzbrojeni
W proce i groty, kamienne siekiery;
Dzikich, dalekich, głuchych puszcz mieszkańce,
Okryci skórą pobitego źwierza,
W szłykach z łbów dziczych, niedźwiedzi i wilków,
Stali na rozkaz do boju gotowi.
Jednych nadzieja bogatego łupu,
Drugich zapłaty wielkiéj obietnica,
Innych krew młoda i do boju wrząca,
Do Witolowéj napędzały zgrai.
Od swych kapłanów wziąwszy wróżbę drogi,
Biegli młodzieńcy, rodzinne ogniska
Starych rodziców, narzeczone młode
Ochotném sercem wesoło żegnając,
A prędki powrót i łupy bogate
Z północnych krajów obiecując swoim.
Wkrótce na puszczy pełno ludu było.
Obóz daleko wyszedł za dolinę,

Ciągnął się w lasy głęboko, że Witol
Wojska swojego zliczyć nie potrafił.
Kiedy ruszali z wojennemi Bogi
I wróżbitami na długą wyprawę,
Każdy wziął tylko na prawą dłoń piasku,
I rzucił, kędy był obóz w dolinie.
Nim wszyscy przeszli, stanęła mogiła,
Co drzew wierzchołki głową przewyższyła.



Wiosną się z Litwy na wojnę wybrali;
Lecz zimą ledwie, przez śniegi i lody
Ciągle na północ idąc, doszli góry,
Na której zamek był króla północy.
Naówczas Witol kazał chwycić jeńca
I wieszczą zrobić kapłanóm ofiarę.
Złapany wieśniak stanął w wojska kole;
A Wejdalota piersi mu obnażył,
Potém nóż podniósł i wpośrodek serca
Uderzył; spójrzał — krew czérwoną strugą
Na dobrą wróżbę, jak woda, płynęła;
Krzyknął do wojska — radośnym odgłosem
Wojsko za wróżbę Bogóm dziękowało,
Wznosząc oszczepy i łuki do góry,
Rzucając szłyki kosmate w powietrze.

Jeńca na stosie pod górą spalono.
I najpiękniejszą z kobiét tego kraju
Bogóm ofiarą dać Witol ślubował.
Potém zamkową otoczyli górę.

A król północy z wysokiego gmachu
Ujrzał ogromne wojsko na dolinie,
I zląkł się bardzo, i wysłał swe posły,
Żeby pytali, czego chcą od niego?

— Zemsty za Jodzia — Witol odpowiedział.—
Król wasz pogwałcił gościnności prawa,
I najdroższego konia mnie pozbawił.
Idę po zemstę na jego królestwo,
Jego i dzieci chcę zabrać w niewolę,
Zamek rozburzyć, kraj jego spustoszyć.—

Odeszli posły z straszną odpowiedzią.
Słońce krok uszło, król nowych przysyła,
Wszystkie swe skarby Witolowi daje,
Córkę w zamężcie z królestwem przyrzeka,
Lecz prosi, żeby nie pustoszył kraju,
Życiem go zbawił i nie mścił się więcéj.

— Nie chcę ja jego córki, ni korony,
Chcę jego głowy — Witol odpowiedział.—
Głowa za głowę! a i to zamało.

Za jedną Jodzia tysiąc wziąść nie wiele.
Ród zdrajców waszych chcę wyplenić z ziemi,
Aby się po nim mogiła została
I kupa kości nauką sąsiadóm.—

Znowu posłowie odeszli z przestrachem.
Słońce krok uszło, znowu posły śpieszą.
Przez nich król drogie podarki wysyła:
Konie litemi kobiercami kryte,
I futra drogie, wielkie bydła stada,
Sto jak śnieg białych na łowy sokołów,
Sto wozów złota i drogich kamieni,
Sto szat cudownych, gdzieś we wschodnim kraju
Duchów nie ludzi mądrą ręką tkanych.

A Witol nazad podarki odsyła
Z śmiechem pogardy, zelżywemi słowy.
—Nie podarunkiem zemstę on przebłaga,
Nie złotem swojém za Jodzia zapłaci.
Głowa za głowę! i tego zamało.
Śmierć mu za zdradę, jemu i ludowi,
Żeby się zły ród nie szérzył po ziemi! —

Widząc król, że już nic go nie ocali,
Bez wojska, ludu, na łasce Witola,
Posłał swą córkę na obóz zwycięzcy,
Żeby go łzami i prośbą błagała

Albo wdziękami serce mu zmiękczyła;
Ale gdy orszak niewieści postrzegli
I starsi o nim wodzowi znać dali,
Jak gdyby łez się dziewiczych przestraszył
Lub serca swego stałości nie wierzył,
Zamknął się w swoim namiocie, a posłów
Nazad do zamku odpędzić rozkazał.

Ruszyło wojsko, okrążając górę.
Kapłani z tyłu świętą pieśń nócili
Do Khawy Boga wojny i zwycięztwa.
Biją w Lietaury, a rogi i trąby
O strasznym boju odgłosem znać dały.

Pod górą, którą król narzucił konie,
Smok Pukis, z ciała tych źwierząt zrodzony,
Mieszkał i skarbów niezmiernych pilnował.
Spał, kiedy w jego jaskinię odgłosy
Wojny znak dały. Obudził się, wyjrzał,
I widząc ludu niezliczone tłumy,
Na twardych szponach oparł się o skałę,
Skórzane skrzydła strząsnął, i z jaskini,
Świszcząc, wypełznął naprzeciw Witola.
Był to jedyny téj góry obrońca:
Bo nikt się nie śmiał przeciw wojsku stawić.
A nowe posły już śpiesznie ciągnęli:

Lecz, widząc smoka, zdumieni stanęli.
Sam jeden Witol wystąpił na niego,
Miecz swój cudowny w prawém podniósł ręku,
Procę u pasa, łuk miał i siekierę.
Lecz nieprzyjaciel miał żądło zatrute.
I wzrok, którego wejrzeniem zabijał,
Skrzydła, któremi mógł się wznieść do góry,
I do szarpania swéj pastwy pazury,
I ostre zęby, błyskające w paszczy.
Witol się jednak nie uląkł przed wrogiem,
Do Boga wojny ślub w sercu uczynił
I szedł ku niemu. Smok i on stanęli,
Jasnemi oczy na siebie patrzali,
I krok stąpili, znów się mierzą wzrokiem,
Straszą się tylko, ten orężem groźnym,
Tamten ostremi zęby i pazury.
A wojsko, patrząc w milczeniu głębokiém,
Drżało z przestrachu przed walki widokiem.

Nareście smok się skórzanemi skrzydły
Ku górze podniósł, paszczękę rozdziera,
I z góry lecąc, na wodza uderzył.
Gotów do walki Witol, oszczep twardy
W pysk mu zabiwszy, ciął mieczem po głowie;
Ale miecz na łbie w iskry się posypał,
A w zębach pałka jak próchno się zgniotła.
Ustąpił na krok Witol, odpiął procę,

Podniósł się, ręką między oczy zmierzył,
I z łukiem w głowę poczwary uderzył.
Ze świstem kamień przeszywał powietrze;
Ale, dotknąwszy ledwie smoczéj głowy,
Tocząc się, upadł bezsilny na ziemię.
I smok, jak wprzódy, sunął się na niego,
Sycząc straszliwie, przeraźliwym wzrokiem
Szukając oczu swego przeciwnika,
Ażeby przestrach wlać do jego duszy.



Lecz Witol wzroku smoczego unikał,
I, łuk napiąwszy, w tył się cofnął jeszcze:
Potém, zatrutą wypuszczając strzałę,
W samą paszczękę roztwartą ją posłał.

Znikła gdzieś w głębi wnętrzności pożarta;
Ale znać było i z oczu i z syku,
Że smok już boleść uczuł, poznał wroga.
Sparty o górę Witol nie uciekał:
A kiedy Pukis rzucił się ku niemu,
On na kark jego, jak na konia, skoczył,
A w ręku pancerz łuskowy ścisnąwszy,
Język i oczy na wierzch mu wysadził.
Wówczas potwora, szybując skrzydłami,
Z Witolem razem w powietrze się wzbiła,
I coraz nikła na pochmurném niebie,
Aż gdzieś za szarym obłokiem się skryła.

Wojsko patrzało w ponurém milczeniu,
I dwór królewski z zamczyska poglądał,
I posły, stojąc na góry wierzchołku,
Czekali z strachem, kto na ziemię zleci?
Świst tylko przeszył spokojne powietrze,
A potém głuche nad wojskiem milczenie.
Wszystkich się oczy do góry zwracały,
Gdy z chmury czarna wysunęła bryła,
Pędem ku ziemi lecąc ze krwi strugą.

Smok to był, ale z paszczęką obwisłą;
Skrzydła obcięte, nogi miał skurczone:
Z karku się czarna sączyła posoka;

A oczy zgasłe i z powiek wyparte,
Jak dwa owoce na drzewie, wisiały.
Na szyi jego z podniesionym mieczem
Siedział zwycięzca we krwi ubroczony,
Bez szłyka, łuku, w podartém odzieniu,
Ale sam cały, nieranny i zdrowy,
Jak gdyby jechał na koniu z wyprawy.
Upadł na ziemię wpośród wojska swego
Wielkim okrzykiem radości witany;
A król północy, który z okien zamku
Patrzał na walkę, i smoka mściciela
Swą czarodziejską posiłkował mocą,
Kiedy go ujrzał zabitym i trupem,
Stracił ostatnią, jedyną nadzieję.
Padł na twarz, jęcząc, i ręce załamał.
Jednym się jękiem góra odezwała;
Kobiéty, dzieci płakały z przestrachu,
I posły z góry wierzchołka z popłochem
Śpiesznie się nazad do zamku wrócili.

Tymczasem Witol do smoczéj jaskini
Szedł ze swoimi; a króla starszyzna
Na wielką radę zbiegła się do niego.
Jedni się poddać i błagać litości,
Drudzy mu posłać radzili królewnę,
Inni skarbami wojsko kupić chcieli,
Inni go zgładzić tajemnie wnosili;

Ale gdy przyszło zabójcę wybierać,
Najśmielsi nawet na drugich składali.

Tak dzień upływał. Witol skarby smocze
Pomiędzy wojsko porozdzielał swoje,
A trupa kazał zawlec do jaskini
I otwór wielkim kamieniem przywalić.

Kiedy powraca, ujrzy, aż znów z góry
Sam jeden poseł, z białą laską w dłoni,
Z rozdartą szatą i okrytą głową,
Ku obozowi zwolna kroki zmierza.
Był to wieszcz stary, mędrzec tego kraju,
Który ostatni szedł słowy pokoju
Serca zwycięzcy jeszcze raz probować.

— Wodzu! — rzekł starzec, nachylając głowę
I bijąc czołem — czyliż serca twego
Żadna już prośba nie zmiękczy, nie dotknie?
Czyliżeś sroższy od dzikiego źwierza,
Które się łzami człeka da ubłagać?
I za cóż zemstą dotykasz nas swoją?
Za cóż te wojska na nasze zniszczenie
Z dalekich krajów aż tutaj przygnałeś?
Król gdy na konia twego górę rzucił,
Razem z nim zabił najdroższą klacz swoję,

A że był twoim, o koniu nie wiedział.
Słudzy bez jego napadli rozkazów;
By panu swemu żalu ulżyć z serca,
Chcieli miecz dostać; lecz winni skarani:
Głowy ich dawno bieleją po polu,
A członki końmi rozdarto dzikiemi,
Ciałem się spaśli sępy i sokoły.
Król nic nie winien. Za cóż zemsty z niego?
Czyż za to karać kraj cały, nas wszystkich?
Czyżeś tak żalem serce twe skamienił,
Że ni głos króla, ni niewieście płacze,
Ni dary ciebie przebłagać nie mogą?
Wodzu! pokornym daj miłość uprosić:
Bo z kimże walczyć, z kim będziesz potykać?
Z starcy siwemi? z kobiéty słabemi?
Z służbą zlęknioną? drżącemi kapłany?
Gdyby choć garstka wojska przy nas była,
Walczyćby można i dać ci zwycięztwo;
Lecz kiedy niéma komu spotkać z mieczem,
Jakież to będzie zwycięztwo i walka?
Chcesz mścić się? wyznacz, na kim pomsty żądasz?
Upadną głowy, które ty naznaczysz;
Lecz nie burz zamku i nie niszcz nam kraju;
Starcu królowi daj życie mizerne
Spokojnie skończyć: bo mu już niewiele
Bogi zapewne wyznaczyły życia.
Ty, coś i smoki i dzikie zwierzęta
Pokonał, Wodzu! czyż się skalasz teraz

Krwią słabych niewiast i bezsilnych starców?
Chciéj nam przebaczyć! a i tak zwyciężysz. —



Rzekł starzec, umilkł; błagającym wzrokiem
Zdawał się strasznéj odpowiedzi czekać.
A Witol dumał na mieczu oparty,
I tak nareście starcu odpowiedział:
—Powiedz królowi, że upokorzony
Znalazł przede mną łaskę, przebaczenie.
Ja wojsko moje nazad poprowadzę.

On niech na przyszłość gościnności prawo
Święciéj dla drugich przychodniów zachowa.
Mógłbym za konia, za skarb mój najdroższy,
Mógłbym za zdradę i sromotę moję
Całe królestwo zburzyć i spustoszyć,
I jego okuć w haniebne kajdany,
I córkę spalić na ofiarnym stosie,
Lecz mu przebaczam. Nieś, starcze, odpowiedź.—

Stary wieszcz upadł twarzą przed Witolem,
Kraj szaty jego całował ze łzami,
I z odpowiedzią na zamek pośpieszył.
Cały dwór płakał w podwórcu zamkowym;
I król, rozdarłszy szaty, jęczał, leżąc;
Dokoła córki szlochały i żony:
Bo już od wroga nie było nadziei,
A góra, zewsząd wojskiem opasana,
Nawet ucieczki przed zemstą nie dała.

Lecz przyszedł starzec z wesołą nowiną,
I radośnemi głosy góra cała,
Jakby ożyła, nagle się ozwała.
Powstał król stary i córkę uściskał;
Bogate dary jął zaraz wyprawiać:
Sto wozów złota i sto srébra wozów,
Sto skór kosztownych i sto szat złocistych,
Sto wozów mieczy i zbroi bogatych,
Sto koni kazał na obóz prowadzić:

Stu niewolników szło przed temi dary,
I sto niewolnic w purpurowych szatach.
Wszystko to stary król posłał zwycięźcy.
A Witol wojsku pół darów rozdzielił,
I najpiękniejszą dziewkę na ofiarę
Na stosie spalił Bogóm nieśmiertelnym.

Potém się obóz ruszył na południe;
A Witol próżno do zamku wzywany
Nie chciał przestąpić więcéj jego progów,
Nie chciał ni króla starego zobaczyć,
Ni córki jego, którą mu za żonę,
Z całém swém państwem, korząc się, oddawał.

Z radośną pieśnią szło wojsko do kraju.
Ale niejeden nie doszedł znużony,
I w śniegach zasnął, żegnając ze swemi,
Płacząc, że leżeć będzie w obcéj ziemi,
Kędy łza żadna mogiły nie skropi,
Ani ofiara ducha nie wywoła.
Długo tak, długo szli nazad do Litwy;
A kiedy Niemen niebieski ujrzeli,
Padli na ziemię, Bogóm dziękowali,
I wszyscy poszli rodziny powitać.

Lecz Witol nie miał, nie witał rodziny;
Znów jeden został, bez celu dla życia,
Bez dachu, coby przyjął go gościnny,

I sług, którzyby tęsknotę pieśniami
Rozerwać mogli, czarną myśl rozproszyć.

Nad sinym Niemnem błąkał się on długo,
I zapominał o Perkuna duchu,
Który po nad nim, wyglądając chwili,
Z zemstą we szponach, krakając, wzlatywał.
Śmielszy zwycięztwy, jakby go wyzywał,
Nie krył się więcéj, nad rodzinną rzeką
Usiadł i skinął. Na zielonéj górze
Gród z cisowego drzewa stawić każe.
Z białych kamieni mur dokoła wznosi,
Puszczają wodę w przekopy Niemnową,
Biją zaborol, mostem łączą brzegi;
I, jak zażądał, stoi gród potężny,
Z pogardą patrzy na dalekie kraje,
A wały swemi zakrywa lud mnogi,
Który się zbieżał na zamkowe progi.



Naówczas w Litwie był olbrzym potężny,
Alcis miał imie. Kędy się urodził,
Kto mu był ojcem, i kto matką jego,
Próżne domysły; nikt o tém nie wiedział;
Ale po całéj Litwie jego imie,
Groźne i straszne, z ust do ust latało.
Wielu on xiążąt z zamków powyrzucał,
Wielu zwyciężył, porozwalał grody,
Wojska zamachem jednym porozbijał,
Statki, o skały rzuciwszy, zgruchotał.
Gdy uciśniony szedł z płaczem do niego,
Biegł, niosąc pomstę. Straszna zemsta była!
Bo on sam jeden więcéj niżli wojska,

Niż zagon wrogów, mógł spustoszyć kraju.
Był to ostatni z Litewskich olbrzymów,
Szczątek dawnego zgasłego ich rodu.
On jeden jeszcze miał naddziadów siłę,
I wzrost swych ojców, dziwowisko ludu.

Gdy chodził, wielką sosną się podpierał;
A brnąc przez rzeki, ledwie się zamoczył;
Głową nad puszcze Litewskie przenosił;
Wielkiemi skały, wrosłemi do ziemi,
Jak dzieci piaskiem, przerzucał na dłoni.
Biada złym było, którędy przechodził!
Bo zbrodnie karał, i całe krainy,
Jak straszna burza, niszczył i pustoszył.

Zawsze w podróży, szukał walk i przygód.
Nie miał ni dworu, ni rodzinnéj ziemi,
Ani zameczyska, coby go przyjęło
Utrudzonego daleką podróżą.
Ciągle, jak Bogów mścicieli posłaniec,
Litewskie kraje wzdłuż i w szérz przechodził.

Raz, w długiéj drodze, smok z czarnéj jaskini,
Didalis, drogę zastąpił olbrzyma;
Ale o skałę wysoką rozbity,
Skarby mu swoje w puściźnie zostawił,
Skarby, na których od wieków wylęgły
Leżąc, czuwając, dniem, nocą pilnował.
Znalazł tam Alcis wielkie złota bryły,

I stosy srébra, i góry bursztynu,
I kubły pełne najdroższych kamieni.
Wielkim więc głazem jaskinię przywalił,
I sam znów daléj szedł w Litwę wędrować.

W rok potém przybył na dwór Kunigasa,
I trafem córkę obaczył jedyną,
Ze wszystkich dziewic w Litwie najpiękniejszą.
Twarzy jéj samo słońce zazdrościło,
A oczy miała jak błękitne niebo,
A włosy jakby z bursztynu przędzione,
A ciało jakby z najbielszego płótna
Palcami duchów na Dungusie tkane.

Próżno ją ojciec zazdrośny ukrywał
Alcis przez okno pańskiego domostwa
Ujrzał dziewicę, miłością pokochał.
I ona miała siłę niezwyczajną.
Nieraz się bawiąc z dziewczęty w dolinie,
Przyszła przed stado, i wołu za rogi
Porwawszy, przez się, jak ptaszka, rzuciła.
Ale nie siłę Alcis w niéj ukochał,
Tylko cudowną dziewiczą urodę,
Jasny blask oczu i wdzięk słodkiéj mowy.

W nocy on podszedł pod okna Zjedyny [1],
I widząc oczy jéj w oknie jak gwiazdy,
Takiemi słowy miłość swą objawił:

1. Zjedyna — kwiecista.

— Piękna Zjedyno! ty słyszałaś o mnie.
Na Litwie jestem największym mocarzem:
Bo nikt przeciwko mnie się nie postawi,
Nikogo niéma, coby mnie zwyciężył.
Lecz nie mam ziemi, domu, ni zameczyska,
Bo wszystko moje, i gdzie chcę, wędruję.
Ja ciebie kocham! Chceszli, żebym wielkie
Twojemu ojcu dał skarby za ciebie?
Pójdziesz ty ze mną? Ja ciebie na plecach
Przenosić będę, żebyś białéj nogi
Po ciężkich drogach chodem nie znużyła;
Na noc ci łóżko z wonnych ziół uścielę;
Z ogromnych dębów ognisko rozłożę;
Z białych brzóz codzień nowy gmach wystawię.
Ty z ramion moich będziesz świat oglądać,
I czasem w drodze chmurne czoło moje
Rozjaśnisz piosnką, pieszczotą, spójrzeniem.
Chceszli pójść ze mną? ¡Chcesz, piękna Zjedyno,
Żebym cię porwał i ojcu twojemu
Wielkiemi skarby za ciebie zapłacił? —

Zjedyna nic mu nie odpowiedziała,
Ale od okna przed nim nie uciekła.
Alcis zrozumiał, wziął ją na ramiona,
Poniósł daleko; i w lipowym gaju
Piérwszą miłości noc na wonném łożu,
Wpośród słowików pieśni i róż woni,
Pod Alexoty opieką spędzili.

Nazajutrz ojciec stroskany rwał włosy,
Kiedy sto wozów zaszło na podwórze,
I wielkie skarby za córkę oddali,
A poseł ojcu małżeństwo oznajmił.
Kunigas złotem łatwo się pocieszył.
Alcis, swą żonę wziąwszy na ramiona,
Dalėj po Litwie, jak przedtém, wędrował,
Tylko gdy walkę miał stoczyć, naówczas
Córkę pod ojca opieką zostawiał.

Raz, idąc kędyś przez północne kraje,
Słyszał od ludzi o najściu Witola,
O jego bitwie ze srogim niedźwiedziem,
O jego walce ze smokiem Pukisem;
Potém na Litwie, u zgliszczów Raudona,
Spotkał pieśń ludu o jego zwycięztwie,
O jego zemście na krzywoprzysiężcy,
Spaleniu zamku, uwolnieniu ludzi;
Słyszał, jak wieśniak opowiadał stary
Cuda o wielkiéj Witola prawicy;
I znów nad Niemnem, u Witola góry,
Ujrzał zdaleka bielejący zamek;
Ujrzał, i w duszy powiedział, że jeszcze
Braknie mu w Litwie zwyciężyć Witola.
Wtém Grajtas, który bezsilny czatował,
Jak Gulbi [1], który nie opuszcza człeka,

1. Duch, stróż człowieka.

I ślad w ślad za nim, pilnując go, chodzi,
Grajtas się w starca ubogiego zmienił
I temi słowy jął judzić Alcisa:
— O Dzidziawirze wielki! na téj górze
Widzisz ten zamek?— to zamek Witola;
Widzisz tę ziemię dokoła podbitą?—
To jego ziemia. Tu on skarbów wielkich,
Które w północnym zawojował kraju,
Strzeże, i codzień łupami przymnaża.
Niéma na Litwie, prócz ciebie, o Panie,
Jemu równego w mądrości i sile.
Czyliż przed sobą dasz jemu przodkować?
Czyli z nim także nie zechcesz się zmierzyć?—
A Alcis milczał, i sosną wstrząsając,
— Na Bogi!— krzyknął po chwili namysłu—
Trzeba go wyzwać, zwyciężyć i zabić,
Żeby nikt nie śmiał mnie z nim porównywać.—
I szedł do zamku, u wrót w róg uderzył,
Aż się daleko wstrzęsły puszcz wnętrzności,
I góry z strachu zadrżały w posadach,
A wody rzeczne wstrzymały się w biegu.
Sam Witol wyszedł przeciw Dzidziawira;
A choć go Alcis przenosił postawą,
Chociaż pod dachem w zamku Witolowym
Nie mógł się nawet Dzidziawir położyć,
Przecięż syn Mildy nie zatrząsł się przed nim.
— Wielki Alcisie!— rzekł, kiedy z postaci
Poznał olbrzyma— czego żądasz u mnie?

Czy gościnności?—wszystko, co mam, twoje.
Czyli pomocy?—skarby ci otwarte.
Mam wojsko mnogie, oręże żelazne.
Powiedz, co żądasz, do czego mnie wzywasz?—
A Alcis dumnym odpowiedział głosem:
—Chcę z tobą walczyć: bo na całéj Litwie
Jest nas dwóch równych, a jeden być musi.
Jeden drugiemu swoją sławą szkodzi.
Niech jeden będzie. Ja chcę walczyć z tobą.—
Witol mu na to:—Pozwól mi wziąć oręż.
Pójdę, i oba wynijdziem na pole;
A tam nas Bogi i siły rozsądzą,
Komu pójść na śmierć, a komu pozostać.—

Olbrzym Witola okiem tylko zmierzył,
I śmiał się, wcześnie gotując zwyciężyć;
Odrzucił sosnę, którą trzymał w ręku,
I bez oręża stawił się do boju.
Witol wziął procę, oszczep, miecz cudowny,
I chociaż ufał na zręczność i siłę,
Straszna Alcisa postawa, wejrzenie,
Trudną i ciężką walkę zwiastowały;
Więc Bogu wojny i matce swéj Mildzie
Wylał ofiarę, nim do boju stanął.

Wyszli obadwa. Wielkie ludu tłumy
Ze stron się wszystkich zebrały przyglądać;
I okoliczne wzgórza mnogą zgrają,

Jak pola kłosów niezliczoném mnóstwem,
Okryte były; a jak lasy szumią,
Tak uciszony lud, czekając walki,
Pocichu szemrał i z przestrachem gwarzył.
Nigdy takiego jeszcze przeciwnika
Witol przed sobą i mieczem nie widział:
Bo łatwiéj było dzikie puszcz niedźwiedzie,
Smoka, mieszkańca jaskini głębokiéj,
Niżli olbrzyma Alcisa zwyciężyć.

Z spuszczonym mieczem, łukiem tylko w dłoni,
Witol olbrzyma spotkać się gotował.
Alcis, széroko rozwarlszy ramiona,
Alcis, co grody wywracał pod nogą,
Szedł przeciwnika w objęciach zgruchotać.
Lecz Witol w prawe oko z łuku zmierzył,
I trafna strzała utkwiła w źrenicy.
Oburącz Alcis za twarz się pochwycił;
A Witol, z chwili korzystając błogiéj,
Nogę mu porwał, pociągnął, powalił,
I z nim się razem na ziemię wywrócił.
Oślepły Alcis szukał wroga wkoło.
On się przypełznął aż do jego głowy,
I, obie ręce kładnąc w oczu dwoje,
Jął je wydzierać, a gardło nogami
Deptać obiema. Jeszcze Alcis z dziwu
Nie mógł powrócić do sił i pamięci,
Kiedy syn Mildy, już jego zwycięzca,

Na twarzy, oczach i na gardle siedział,
Cudownym mieczem dotykając szyi.

—Chciałeś—rzekł—walki, więc masz ją, Alcisie!
Bogi widziały, że raczéj gościny
I dobréj z tobą żądałem przyjaźni.—
Czując miecz chłodny, olbrzym się potrząsnął;
Ale, upadkiem zgruchotawszy ciało,
Oko przebite mając ostrą strzałą,
Która daleko zawisła mu w głowie,
Z bolu bezwładny, za gardło ciśniony,
Nie mógł się podnieść. Próżno silną dłonią
Witola chwytał i precz chciał odrzucić.
Witol się wężem do gardła uczepił
I rękę wpoił pod krwawe powieki.

—Dosyć już walki! Przebacz! Dzidziawirze!
Daruj mi życie! Przyjaciółmi bądźmy.—
Te słowa jęcząc gdy Alcis wymówił,
Witol go puścił, i piérwszy, klęknąwszy,
Jął mu krew z oka i ranę obmywać.

Podniósł się Alcis; lecz wstyd od krwi gorzéj
Oblał mu dotąd nieskalane czoło;
Smutny przed Mildy synem się pochylił
I rzekł:—Tyś większy, boś ty mnie zwyciężył.
Ty jesteś Bogiem, ja tylko olbrzymem.—

Tymczasem jednem Witola skinieniem
Zbiegły się tłumy, i nad Niemna brzegiem
Z ogromnych dębów szałas wystawili,
Wielkie ognisko smolne rozłożyli;
A z zamku rogi przynieśli złocone,
Miody, mięsiwo i kosztowne dary.
Z ziół wyciśniętym sokiem Sigonotta
Olbrzyma oko na klęczkach polewał,
I sto niewolnic nogi jego myło.
Alcis przyjazną dłoń do Mildy syna
Wyciągnął, ścisnął, i przyrzekł na wieki
Być z nim i za nim, nigdy przeciw niemu.
— Teraz — rzekł — tyś jest piérwszy, a jam drugi.
Jam wielki ciałem i siłą, ty duszą,
Którą Bogowie odwieczni ci dali.
Nie chcę twych darów, żądam drużby twojéj.—

Grajtas z obłoku poglądał na bitwę,
Z rospaczy świstał wichrami i burzą;
A kiedy ujrzał, jak olbrzym upadał,
Jak gdyby upadł zwyciężony razem,
Jęknął i przed tron Perkuna powrócił.
Tam, milcząc, w myślach utonął głęboko.
— Czemuż on — dumał — silniejszy ode mnie?
Silniejszy niż smok, silniejszy niż olbrzym?
Czyli mu Milda swoję siłę dała?
Czy tajemnice dał Krewe-Krewejto?
Lecz jam duch wieczny, a on tylko człowiek—

Czemuż i ja go nie mogę zwyciężyć?
Próżno się smoczą skórą obszywałem.
Próżno niedźwiedzią szerścią okrywałem.
Zawsze ze wstydem uciekłem pobity.
Czyli go Gulbi niewidzialny strzeże?
Czyli płaszcz Mildy od ciosów zasłania?
Czy, choć syn człeka, a przecię jest Bogiem?—
Tak myślał Grajtas, do walki nie śpieszył,
Nie czuł sił w sobie, bo odwagę stracił.

A Alcis poszedł za morze wędrować,
I gdzieś w dalekiéj ukrył się północy,
Kędy nikt jego nie wyrównał sławie
I z jego siłą nie ważył się mierzyć.



SPOKOJNY Witol, po nad Niemna
brzegiem,
W krainie matki, pędził życie błogie.
Chociaż mu tysiąc zasadzek zdradliwych
Duch niewidzialny rozściełał na drodze,
Wszystkie orężem i mądrością swoją
Zwyciężał lekko; z wszystkich wyszedł cały.
Jednak choć sławę jego Łajbegelda
Széroko wszędzie rozniosła po Litwie,
Choć z jego mieczem nikt nie śmiał się mierzyć,
On nieraz tęskny, w przyjaciół swych tłumie,
Niepojętego czegoś szukał wkoło;
A sam nie wiedząc, czego mu brak było,
Czuł jednak, iż mu czegoś brakowało,
I myślał wówczas:— Nie skarbów ja żądam.
Mam, ile zechcę. One mnie nie cieszą.
Zgłodniałéj duszy nie nasycę złotem.

Ani zwycięztwy, ani sławą wielką,
Ni niewolników i licznych sług tłumem.
Ci mi się na nic do szczęścia nie zdali.
Byłem sam jeden, i sam jeden sobie
Umiałem przecię służyć i wystarczyć.
Nie żądza sławy serce moje wzburza.
Miałem ja dosyć zwycięztwa i sławy.
Nie znajdziesz w Litwie na puszczach chrominy,
Gdzieby me imie już nie doleciało,
Gdzieby nie znano pieśni o Witolu.
I czegoż żądam? czego mi brakuje?—
Sam nie pojmował, i myślał, że zrosły
W wojnie i walkach, znów tęsknił za niemi.

Kiedy tak tęskni i noce bezsenne
W grodu swojego wrotach przesiaduje,
Znów matki wezwał sercem nie ustami,
I po raz trzeci ujrzał ją przed sobą.
Chciał mówić— Bóstwo usta mu zawarło.
— O synu! twoję wiém ja tajemnicę,
Znam boleść tajną, rozumiém tęsknicę.
Tyś sam na świecie. Gorzko sercu twemu.
Za drugiém sercem wkoło się oglądasz
Znajdziesz, Witolu, znajdziesz, czego żądasz.
Ale mi smutno: bo duchy swą władzą
Długiego szczęścia kosztować nie dadzą!
Rozjaśnij czoło, nie szukaj: bo samo
Przed ciebie przyjdzie przeznaczenie twoje.—

Rzekła, i szatą osłoniona białą
Zniknęła w chmurce, co na wschód leciała.

Raz, kiedy słudzy spali jeszcze, rano,
Wdział Witol Wiżos, prostą odzież włożył,
I miecz przypasał, i łuk przypiął krzywy,
I procę wartką zawiesił u pasa.
A potém wyszedł, nie wiedząc, gdzie idzie.
Jesienny ranek przed zimy uśpieniem
Lasy w rozliczne szaty ufarbował:
Tam jakby świeżą krwią polane drzewa,
Ówdzie jak złote liście powiewały,
I słabe z wiatrem w powietrzu igrały;
A wpośród lasów pożółkłych i zbladłych
Gdzieniegdzie dąb się zielony podnosił,
Lub sosna czarna, jodła, co gałęźmi
Płacząc ku ziemi, los żony wężowéj
I wieczne łzy jéj ludziom przypomina
Niżéj na krzewiach głóg błyszczał czérwony,
Dojrzałych kalin grona zrumienione,
I jarzębiny żółtawe jagody,
Po nad któremi wzlatywali ptacy.
Nigdzie już kwiatu. Pożółkłe rośliny
Równo z drzewami owocem się gięły;
Dąb, suchy żołądź otrząsając z siebie,
Zrzucał na pastwę stadóm dzików głodnych;
Drzewo Lazdony, przez chłopców odarte,
Wysmukłe laski wznosiło do góry,

Jakby opieki pod dębów konarem
I bezpieczeństwa dla siebie szukało;
Pożółkły pola; trawy pozsychały;
Wody się mętne w koryta zebrały;
A wiatr, choć niebo świeciło pogodą,
Szumiał po lasach i liście otrząsał,
I żwierza z gajów wypędzał na pole.
Sam jeden Witol szedł z myślami swemi,
I, nie pilnując drogi, między puszczę,
W ostęp się gęsty, kędy jesień nawet
Jeszcze nie doszła, powoli przeciskał.
Szedł długi ranek, kiedy źródło czyste
Na chwilę jego wędrówkę wstrzymało.
Ujrzał doń ścieżkę wijącą się z góry,
A wpośród drzewek na górze dom biały;
Stanął; wtém piosnkę usłyszał wesołą,
Dobrze na Litwie dziewczętóm znajomą:

Hola ptaszki! hola żwierzę!
Chodźcie do mnie tu!
Mój pan dzisiaj żonę bierze—
Trzeba służyć mu.

W szaréj świcie ty, kwiczole,
Siodłaj konie nam;
Bobr ma kuni szłyk na czole,
Jemu wieźć nas dam;

Zając przed końmi pobieży;
Słowik śpiewak nasz;
Sroka wodzem dla tańcerzy;
Wilk będzie dudarz;

Niedźwiedzia ja będę prosić,
Będzie kłóć nam drwa;
A kruk wodę musi nosić,
Bo grzbiet krzywy ma;

Jaskółka z fartuchem białym
Będzie miski myć;
A ogonem wybujałym
Wiewiórka stół trzeć;

Lis, co w futrze, jak pan, chodzi,
Może za stół wleść,
Siąść, gdzie siądą państwo młodzi,
Z jednej miski jeść.

Hola ptaszki! hola źwierzę!
Chodźcie do mnie tu!
Mój pan dzisiaj żonę bierze—
Trzeba służyć mu.

Witol, wesołéj słuchając piosenki,
Nie wiedział, czemu uczuł lżéj na sercu.
Głos ten, jak gdyby czarnoxiężką władzą,
Stęsknioną duszę powoli kołysał.
Przed nim po ścieżce szła młoda Litewka
Z dzbanem po wodę; za nią koni para
Z spuszczoną głową, wlokła się powoli;
I trzodka owiec, becząc, po dróżynie
Za panią swoją goniła wesoło;
I kozieł czarny, z brodą na piędź długą,
Poważny, swoich małżonek pilnował;

A krówka biała dwór wiejskiéj dziewczyny,
Z srokatym ciołkiem idąca, kończyła.
Dziewczyna miała bieluchną koszulę,
Trzy sznury wielkich na szyi bursztynów;
U jéj fartucha maleńkie dzwoneczki
Za każdym ruchem wesoło brzęczały;
W włosach wetkniętych kilka liści ruty
I piękne grono czérwonéj kaliny;
Warkocz, spadając, aż do stóp dosięgał,
Pozaplatany kwiatkami jesieni,
Jak długa wstęga po za nią powiewał.

Kiedy Witola ujrzała, stanęła,
Chciała uciekać i do domu wrócić;
Ale syn Mildy z łagodnym uśmiechem
Strach jéj słodkiemi uspokoił słowy:
— Nie bój się, dziéwczę! nie jestem Ajtwaros [1],
Ani Giristis, co kobiéty straszy,
Ani Erajczyn, co czyha w ogrodzie.
Blizkiego zamku po nad Niemna brzegiem
Jestem ja panem. Chodź napoić trzodę,
A ja ci wody naczerpać pomogę.—
Stanęło dziéwczę, nie wiedząc, co czynić,
Czy nazad wracać, czy do źródła schodzić.
Ale Witola łagodne wejrzenie
Uspokoiło jéj bojaźń dziewiczą.
Zeszła, ukradkiem patrząjąc na niego.

1. Bóstwa i duchy, które napastowały kobiéty.

A on jéj dzbanem wodę lał w koryto
I tak powoli pytania zadawał;



—Jak się nazywasz? o piękna dziewczyno!—
—Romussa [1], Panie!—Kto twoi rodzice?—
—Tutaj na górze, w téj chacie, mieszkają.—
—Któż jest twój ojciec i kto twoja matka?—
—Ojciec jest strzelcem; był kiedyś żołnierzem,
Ale już teraz z dzikiemi źwierzęty,
Z sarną, zającem i wilkiem się bije.—
—Tyś u nich jedna?—O! są u nas bracia.

1. Skromna.

Jeden już nawet starszy był na wojnie,
A młódszy jeszcze przy rodzicach w domu.
Ojciec go na dwór jaki Kunigasa
Chciałby już wysłać; lecz boi się stary,
Aby pan jaki bezduszny i chciwy
Za niewolnika sobie nie przyswoił.
Wolał go jeszcze przy sobie zostawić.—
— Mogę zajść z tobą do waszego domu?—
— A czemuż? Panie! Rodzice gościnnie
Każdego w domu, czém mogą, przyjmują.
Pewnieś strudzony i odpocząć zechcesz.—

I Witol poszedł, niosąc dzban dziewczyny,
Krętą dróżyną do domku białego.
Stał on wpośród drzew i gęstéj leszczyny,
Białemi okny do wschodu pozierał.
Za nim ogródek, w którym jesień płowa
Łodygi tylko i chwasty wyniosłe
W osieroconych grzędach zostawiła.
U progu matka córki wyglądała,
A ojciec stary z synem cóś rozmawiał,
Który kamienną łupał drwa siekierą.
— Oto wam gościa przyprowadzam, matko!—
Prześcigając go, wołała Romussa.—
Rycerz to jakiś, bo ma miecz u boku,
I łuk na plecach, i procę u pasa.
Znać z jego twarzy, że to pan być musi:
A mówił, że tu ma nad Niemnem zamek.—

Matka do domu pobiegła, a ojciec
Powstał, i siwą obnażywszy głowę,
Gościa, dziękując za łaskę, powitał.
Weszli do chaty, a Witol Kobolóm
Naprzód u proga izby się pokłonił.
I zaraz na stół podali miód biały,
Pieczone koźlę, sér i mléko świéże.
Witol, dla Bogów wylawszy ofiarę,
I gospodarza z sobą jeść poprosił.
— Słyszałem, ojcze — rzekł — od waszéj córki,
Że chcecie syna oddać na dwór pański;
Ale się tylko boicie, by potém
Pan w niewolnika nie chciał go obrócić? —
— Prawda to, Panie! — odpowiedział stary. —
Ma lata słuszne, niechby szedł na wojnę.
Możeby z wojny bogatszy powrócił,
Przyniósłby może za co się ożenić.
Ale strach teraz. Nieraz człek swobodny
Na całe życie pozostanie sługą.
Pstry dzięcioł, bardziéj pstre jest ludzkie życie [1].
Bogi nam losy złe i dobre dają;
Lecz przeciw losu nie godzi się śpieszyć
I naumyślnie z nieszczęściem probować. —
— Czyliż — rzekł Witol — nie znajdziecie pana,
Któremubyście powierzyli syna? —
— Jeden jest tylko. Ten siedzi spokojny,
O wojnie więcéj nie myśli podobno. —

1. Przysłowie.

—Któż to jest?—
—Witol.—
—Dziękuję za słowo.
Ja to nim jestem.—
—Kto? ty jesteś? Panie!—
I starzec powstał z przestrachem od stołu;
Ale go Witol za rękę powstrzymał.
—Zostań tu ze mną. Chcę pomówić z wami.—
—Jabym śmiał? Panie!—
—Siadaj! bądź spokojny.
Syna do dworu wezmę i obdarzę.
Będzie się za co miał za rok ożenić:
Bo chociaż z wojną nie idę w kraj obcy,
Umiém swym sługóm ze skarbcu nagrodzić.—
To mówiąc, wstawał, chciał odejść, znów siadał;
Nie wiedział, co go w téj chacie trzymało;
Lecz niespokojny, jakby czekał na co,
Chciał próg przestąpić, a cóś go trzymało.
Wtém ze świronka, na misce drewnianéj,
Piękna Romussa wyniosła orzechy:
Pod jego wzrokiem płomieniąc się cała,
Ledwie oddawszy, wnet nazad uciekła.

Pożegnał łowca Witol i szedł daléj;
Stanął u źródła, stał i myślał długo;
Powoli potém na zamek powrócił.
Całą noc mu się Romussa marzyła,
Całą noc widział, jak trzodę poiła,

Z misą orzechów jak biegła ku niemu,
I swój rumieniec ucieczką taiła.

Ledwie przywiodła ranek biały Aussra,
Witol od zamku znów się puszczą gonił;
Znowu u źródła, jak gdyby niechcący,
Usiadł i czekał na przyjście dziewczyny.
Chwila tak zbiegła, nic nie słychać było;
Potém się znowu ozwała piosenka:

O! sama nie wiém, co się dzieje ze mną!
W sercu mi smutno i w oczach mi ciemno!
Piosnkę przerywam westchnieniem!
Uśmiech kończę łez strumieniem!
Powiedz, kukułko,
Powiedz, przyjaciółko,
Co to jest?

— Może źle w chacie? — kukułka mówiła —
Może cię matka za szkodę wybiła?
Może ojciec stary gdéra?
Lub brat tobą poniewiéra? —
— O, nie, kukułko,
Nie to, przyjaciółko,
Nie to jest! —

— Może ci ruta w ogródku uwiędła?
Możeś ślubnego płótna nie doprzędła?
Może twój luby na wojnie?
Tobie w sercu niespokojnie? —
— O, nie, kukułko,
Nie to, przyjaciółko,
Nie to jest! —

— Może ci nudno? — kukułka mówiła —
Może ci chata ojcowska niemiła?
I swatów wyglądasz?
I kochanka żądasz? —
— Może, kukułko,
Może, przyjaciółko,
Może to! —



Kiedy ostatnie dośpiewała słowa,
Podniosła oczy, i znowu u źródła
Dumającego Witola ujrzała;
I znowu uciec i wracać myślała,
Sama nie wiedząc, jak poradzić sobie.
Twarz jéj rumieńcem kaliny płonęła,
Stała, a Witol ośmielać ją zaczął.
— O! nie bójże się, Romusso! zejdź śmiało.
Ja i dziś trzodę napoić pomogę.—
Pomimo woli, w milczeniu schodziła,
Nie wiedząc sama dziewczyna, co czyni.
Potém oboje napajali trzodę,
Nie śmiejąc mówić; tylko czasem wzrokiem
Ku sobie strzelą, i znów spuszczą oczy.
Tak gdy się bydło, napiwszy, wróciło,
Poszła i młoda za trzodą Romussa.
Witol, jak wczoraj, nie poszedł w gościnę,
Ale milczący na zamek powrócił.

Nazajutrz on już nie poszedł do źródła,
Lecz we śnie widział znów piękną Romussę,
I z jéj obrazem w głowie się obudził.
Znów więc się zerwał następnego ranka,
Wziął Wiżos, łuk swój przez plecy przerzucił,
I, czarodziejskim urokiem ciągniony,
Biegł ścieżką w puszczę do znanego źródła,
A biegąc, w duszy tak mówił do siebie:
— Czy Mildowniki czarownym napojem

Serce tam moje ciągną do dziewczyny?
Czy jaki urok jéj wzrok na mnie rzucił,
Żem dla niéj pokój, sny moje spokojne,
I żądzę sławy nawet z duszy stracił?—
Tak Witol myślał, biegąc ku zdrojowi,
I usiadł przy nim. Aż znowu zdaleka
Piosnka dziewczyny nad krętą drożyną
Temi się słowy, dźwięcząc, odezwała:

Oj polecę ja daleko!
Bo mnie serce ciągnie ztąd.
Tam za górą, tam za rzeką,
Czyjeś czary duszę wleką
W nieznajomy ziemi kąt.

Oj polecę! oj porzucę!
Niechaj płacze ojciec, brat.
Ja się tutaj próżno smucę.
I weselsza tu powrócę,
Kiedy ze mną przyjdzie swat.

Chcę ja lecieć, chcę, nie mogę—
Serce ciągnie, w oczach łzy,
I już na próg stawię nogę,
I boję się sama w drogę.
O Kaunisie! pomóż mi.

Ja nie pójdę. Lepiéj mego
Tu młodzieńca przyszlij nam.
Próżno czekam ja na niego.
Serce wzdycha, łzy mi biegą,
I złe myśli o nim mam.

O Kamisie! Mildo Pani!
Zlitujcie się moim łzóm,
Niech przyjdą swaty wysłani,
I rodzice zastrzygani
Poprowadzą w jego dóm!

Pieśń kończąc, spójrzy—zlękła się dziewczyna:
Witol, u źródła siedząc zamyślony,
Czekał już na nią. Pieśń jéj w ustach kona.
Romussa bieży i w krzaki się chowa.
Napróżno Witol łagodnie jéj wołał.
Ona, się kryjąc w leszczyny gałęziach,
Patrzyła, cała zrumieniona wstydem,
A wyjść nie śmiała jemu się pokazać.
Witol ją, biegąc drożyną, dogonił.
—Czegoż się lękasz?—rzekł—czego? dziewczyno!
Czyli się wstydzisz śpiewanéj piosenki?—
—O! nie! mój Panie! lecz ciebie się wstydzę.—
Końcem fartucha twarz piękną zakryła,
I szła powoli, patrzając z pod oka,
Jak Witol za nią w ślad nazad powracał.
Zeszli i trzodę u źródła poili.
—Kochasz ty kogo?—zapytał—dziewczyno!—
—Ojca, i matkę, i siostry, i braci.—
—A więcéj?—
— Więcéj?—więcéj już nikogo.—
—Czyli do ciebie słano kiedy w swaty?—
—Jeszcze ni razu. Jestem taka młoda!—

—A chceszże, żebym przysłał ich? Romusso!—
Ona spójrzała, dzbanek się potoczył,
I nic nie mówiąc, do chaty uciekła;
A trzoda, rycząc, biegła za nią śladem;
A Witol, milcząc, do domu powrócił.

Nazajutrz przez las, przez gęstą dąbrowę,
Jechali swaty do leśnika chaty,
Ale bogato przybrani i strojno,
Na pięknych koniach. Za nimi szły wozy.
Wieźli dla ojca i dla przyszłéj żony
Bogate dary i piękne ubiory.
Witol ich posłał. Stanęli przed domem.
Szedł ojciec ku nim i oczóm nie wierzył.

—Witol nas, Pan nasz, do ciebie przysyła.
On twoję córkę, Romussę, pokochał.
Prosi was, ojcze i matko dziewczyny,
Żebyście mu ją za żonę oddali.—
Starzy rodzice słuchali, milczeli.
Pobiegli bracia Romussy się pytać.
Ona się skryła gdzieś wgłębi świronka,
I jedném okiem płakała po domu,
A drugiém szczęściu przyszłemu się śmiała.
—Wielkie to szczęście—ojciec odpowiedział—
Wielkie to szczęście: lecz, panowie swaty,
Może Kunigas z ubogiego szydzi?—
—Nie—rzekł najstarszy Smerda Witołowy.—

Na dowód chęci dary wam przysyła.
Dobrém je sercem przyjmijcie od niego.
Jutro wóz zajdzie, jutro Keleweże
Córkę na zamek u Niemna powiezie,
I zięć wam za nią, jak chcecie, zapłaci.—

Ojciec i matka w zadumieniu stali,
Jakby im szczęście tak wielkie się śniło.
Już Witołowe swaty odjechali,
A oni jeszcze do siebie nie przyszli;
Lecz gdy zaczęto podarki wyjmować,
I drogie szaty, i sznury bursztynu,
Złote łańcuchy, i szuby bogate,
Oni, jak cudze, ostróżnie wznosili,
I jak na cudze, dziwiąc się, patrzali.
Dzień przeszedł w ciągłém zdumieniu i gwarze.
Romussa ciągle w świronku płakała.
Nadeszło jutro—drużki pieśni smutne
Nócić jéj, czesząc długi włos, zaczęły:

O mój ojcze drogi!
Moja matko miła!
Kto będzie mył nogi,
Które córka myła?

Kto łoże uściele?
Zgotuje wieczerzę?
Córkę obcy bierze,
Wiezie za mil wiele.

O ogniu domowy!
Kto ciebie rozpali?
Swaty przyjechali
Z ślubnemi namowy.

Kury! kury moje!
Kto wam ziarna rzuci,
Kiedy wasza pani
Do was już nie wróci?

Krówko moja biała!
Kto ciebie napoi?
Ty będziesz ryczała.
Niéma pani twojéj!

Gdy tak śpiewali, na wozie złocistym,
Strojny bogato, wjechał na podwórek
Smerda Witola, jego Keleweze.
A w wozie białych cztéry konie było.
Ledwie woźnica utrzymał je w ręku.
Kiedy Romussę wsadziły dziewczęta,
I wóz, i konie, ruszyły z łoskotem,
Mignęły tylko i znikły wśród lasu.
Ledwie przez chwilę słychać turkot było.
Po chwili wszystko dokoła ucichło.
Rodzice, stojąc na progu, płakali;
A jedno drugie cieszyło jéj losem.
Tymczasem leciał piorunem woźnica.
Już do granicy zbliżał się Witola,
Ku niemu rycerz wyjechał na koniu,
W ręku miał żagiew, w drugiém kubek miodu,

Trzykroć wóz z ogniem obleciał dokoła,
Dał narzeczonéj miodu pokosztować,
I znikł z pochodnią na drodze zamkowéj.
Jadą; aż wreście na drogi zawrócie,
Gdzie las rozrzedniał, pole się rozlega,
Ujrzeli zamek, który światłem błyska,
I bucha kłęby czarnemi z dymników,
I gwarem zdała weselnym już gada;
Odbity jeszcze w Niemnowéj odnodze,
Dwakroć się dziwniéj Romussie zaświecił;
I hałas dwakroć zdawał jéj się sroższy.
Aż strach jéj serce dziewicze ucisnął,
I łzy się z oczu puściły gorące,
I, jakby domu i swoich żal było.
Głowę ku swojéj obróciła stronie,
Za rodzicami wzdychając Romussa.

Pod kopytami załętnił podwórzec.
Zniknął woźnica. Dziewczynę porwali,
Wiedli do pięknéj zamkowéj komnaty,
Kędy się wielkie paliło ognisko.
Swalgoni w bieli, nócąc pieśń weselną,
Kobiéty, starce i tłum wielki ludu,
Ściśnieni wgłębi, ciekawie patrzali.
Witol za stołem pokrytym obrusem
Siedział milczący. Romussę wiedziono,
I na kobierzec, na szyte wezgłowie,
Na postrzyżyny drużki posadziły.

Zdjęto ruciany wianek jéj dziewiczy,
I na ramiona spłynęły warkocze,
A z pod rzęs czarnych białe łzy upadły.
Drużki już smutną pieśń znowu nóciły:

Biedna, biedna dziewczyno!
Gdzie jest wianek twój?
Żegnałaś się z rodziną!
Z oczu twoich łzy płyną!
Nie wrócisz już do domu!
Ni pocieszać cię komu!
Teraz tutaj dom twój!

Biedna! Lepiéj ci było
W chacie z matką żyć.
Wszystko cię porzuciło.
Co było, jak nie było.
Teraz idziesz w niewolę,
Zaczynasz ciężką dolę,
Bo z mężem będziesz żyć!

O Romusso! płacz łzami!
Jest czego łzy lać.
Za twemi rodzicami,
Swobodą, wspomnieniami,
I za braćmi drogiemi,
I za Bogi twojemi,
Mąż ci łez nie da lać!

Potém podeszli rodzice przybrani
I przez obrączkę włosów nadpalili.
Składaną Bogóm ofiarę zbierali.

Miód i pieniądze na progu rzucili.
I znowu pieśni nócili. A Witol
Siedział za stołem, i na narzeczoną
Patrzał wpół smutku, wpół nadziei okiem.
Wiedli ją potém około ogniska,
I, zawiązawszy oczy, od drzwi do drzwi
Chodząc, u progów zboże i pieniądze
Starzy Swalgoni, śpiewając, sypali.
Potém najstarszy z weselnych kapłanów,
Róg miodu wziąwszy, połączył ich ręce;
A pijąc, do nich wołał: — Niech wam Bogi
Szczęście, dostatek dadzą, i potomstwo,
I długie lata w miłości i zgodzie! —

Od izby drugiéj rozwarto podwoje.
Tam na cisowym zgotowano stole
Ucztę weselną. Już starzy rodzice
Na młodą parę za stołem czekali.
Wśród pieśni tłum się do izby przeciskał.
Zasiedli młodzi; uderzono w rogi;
Piszczałki, trąby z śpiewem się ozwały;
A taneczników postrojonych koło
Wesołym skokiem okrążyło stoły.

Witol, przy pięknéj usiadłszy Romussie,
Choć czoło jasne, oblicze spokojne,
Chociaż miał szczęściem rozjaśnione oczy,

Wspomniał w téj chwili na zemstę Perkuna,
I mimowolnie czoło zaszło chmurą,
A oręż smutnie zabrzęczał u boku.

Grajtas się patrzał zwieszony nad gmachem,
Grajtas, co zemstą i gniewem oddychał.

Szumiała daléj weselna biesiada;
Krążyły rogi; pieśń ucztę stroiła,
Jak skroń dziewczyny stroi ruty wianek;
Starzy Swalgoni długie szczęścia lata
Wróżyli wnukom ich wnuków przez wieki;
A Grajtas leciał pod stopy Perkuna,
Jęknął boleśnie, aż go pan usłyszał.
—Co ci jest? duchu!—
—Spójrz, ojcze, na ziemię!
Spójrz, ojcze, tylko!—nie będziesz mnie pytać.
Synowi Mildy zemstę poprzysiągłeś,
Mnie z nią zesłałeś słabego na ziemię.
Twoja się zemsta o niego rozbiła,
Jak kropla wody o skałę odwieczną.
Milda mu dała siłę niepożytą,
Kapłani mądrość, odwagę nadludzką.
Ja go nie mogę zwyciężyć, o panie!
A on na ziemi z twéj się zemsty śmieje.
Czemuż nie spuścisz na niego piorunu?
Ty grozisz tylko, a on się weseli;
Ty ducha za nim wysyłasz z swą zemstą,
On ślubowiny po nad Niemna brzegiem,

Ucztę wesołą, spokojnie obchodzi.
Wszędziem go ścigał, nigdziem nie zwyciężył.
I twój posłaniec pohańbione czoło
Nieraz milczący ukrył w czarnéj chmurze.
Mamże się poddać, przyznać mu zwycięztwo?
Daszże ty, ojcze, tak mu szydzić z siebie?
Ludzie powiedzą: — Perkun się zestarzał,
Nie umié nawet i pioruna rzucić.—
I lud odejdzie od twoich ołtarzy,
Innego Boga będzie sobie szukać.
Ojcze! dla czego, przysiągłszy na zemstę,
Jednemu człeku dajesz szydzić z siebie?
Tyś go swym palcem na zgubę naznaczył;
Bogi i duchy siły mu dodały —
Twój wyrok poszedł, jak dziecięce słowo,
Jak wiater, co się po wierzchołkach lasu,
Nie śmiejąc ruszyć gałęzi, kołysze.
Ojcze! pozwolisz, aby ród przeklęty
Z niego na twojéj ziemi się rozmnożył?
Czy nie masz więcéj piorunu w twém ręku?
Lepszego, niż ja, twojéj zemsty posła?—

Mówił, a lice Perkuna pałało,
I oczy jego, jak zarzewie krwawe,
Coraz błyszczały pod chmurną powieką;
Mówił, a ręka Boga się wznosiła
I drżała długo, aż z niéj piorun błysnął.
Warpelis łoskot po niebach roztoczył,

A w błyskawicy po nad Niemna brzegiem
Zajaśniał zamek Witola płomieniem:



Bo piorun upadł w nowożeńców parę,
I, świętym gmachy objawszy pożarem,
Weselną ucztę w stos śmiertelny zmienił.



Piorun, co upadł na Witola głowę,
Odbił się w sercu nieszczęśliwéj matki.
Ona nieszczęście uczuła zdaleka,
Zadrżała, okiem powiodła przed siebie,
I, rozpuściwszy wonnéj szaty skrzydła,
Leciała po nad syna swego zamek.
Płonął on, żółtym płomieniem objęty.
Dusza Witola na Jodziowym cieniu
Leciała na wschód, do ojców krainy.
Z mieczem Krewejty i głową zwieszoną,
Smutny, na zgliszcza zamczyska patrzając,
Powoli mléczną odjeżdżał już drogą.
Spójrzała matka, zalała się łzami,
I szatą mglistą cień syna owiała:
Mówić nie mogąc, łkała i płakała.

—Ty jedziesz, synu, z ojcem się połączyć.
Czemuż ja z tobą polecieć nie mogę
Do wschodniéj ziemi, ojców waszych kraju?!—
—O matko!—rzekł duch—dawniéj ku wschodowi,
Jakby ku szczęściu, poglądałem chciwie:
Teraz powoli jadę, patrzę w ziemię,
Bom cóś drogiego na ziemi zostawił.—
—Żal tobie świata? nie płacz go, mój synu!
Żal skarbów tobie? tam ich nie potrzeba.
Żal może sławy? pójdzie ona z tobą.—
—O matko! nie żal mi świata i życia,
Nie żal mi skarbów—ja ich nie kochałem,
Nie żal mi sławy—sława idzie z duchem,
Lecz żal mi młodéj narzeczonéj mojéj,
Która tam za mną srébrne łzy wylewa
I w dzień wesela z popiołem się żeni;
Żal mi: bom życia nie dożył swojego,
Bo się u Niemna serce pozostało,
Co mnie w tył, nawet od ojców krainy,
Ciągnie do żony, która po mnie płacze.—

Matka, słuchając mowy téj, dumała;
Potém mu rzekła:—Zaczekaj w tym gaju.
Nim się trzy razy słońce do kąpieli
Spuści, i wyjdzie obmyte i świeże,
Ja wrócę tutaj. Na Dungus polecę,
Zapytam Pramżu o wyrok kamienny,
I u Perkuna może co wybłagam.—

Rzekła, uściskiem pożegnała syna,
I znów ku niebu Milda poleciała;
A cień Witola u ojca mogiły
Trzy dni i nocy na Jodziu się błąkał.
Napróżno czekał i jęczał napróżno:
Bo dnia piérwszego nie wróciła matka,
I dnia drugiego nie widać jéj było,
I trzeci dzień się kłonił do wieczora,
I wieczór przyszedł, zeszło z paszy bydło,
Niebo już coraz ciemniało z zachodu,
A jeszcze matki z Dungusu nie było.
Napróżno Witol wyglądał po niebie—
Nic nie mignęło, nikt nie przelatywał.
Nareście Aussra czwarty dzień już wiodła,
Kiedy cień biały zsunął się ku niemu
I Milda ręce otwarła do syna.

—Pramżu przeczytał odwieczne wyroki,
Na starym w Dungus wyryte kamieniu.
Ty życia swego pod inną postacią
Możesz tu dożyć, nim na wschód powrócisz.
Twoja Romussa dla ciebie orlicą
Resztę żywota dopędzić wzleciała.
Ty za nią orłem polecisz, mój synu!
A kiedy łowiec orlicę zastrzeli,
Albo na gnieździe od starości skona,
Ty wolny skrzydła orle tu otrząśniesz
I wrócisz wówczas do ojców krainy.—

Jeszcze mówiła, już się duch Witola
Orlemi skrzydły uniósł w nowe życie;
A przeciw niemu leciała orlica



Krzykiem wesołym Witola wołając.
Spójrzała matka, ale za chmurami
Nie było widać nic, tylko zdaleka
Krzyk ją miłośnéj pary dolatywał.

Płynęły lata szczęścia, jak godziny.
Witol z Romussą, skrzydłami białemi
Pod chmury razem wznosząc się swobodnie,
Lecieli, coraz nowe kraje, światy,
Oglądać z góry.
I Siedém morz minęli,
Na siódméj ziemi na chwilę spoczęli,
I slali gniazdo na wyniosłéj skale.

Ale na obcym niemiło im brzegu.
Nie ta już ziemia, którą ukochali,
I nie to słońce, które Litwie świeci.
Tęskno za puszczą obu nadniemnową.
Podnieśli skrzydła i na wschód wędrują.
Sześć morz mijają, siódme białe morze,
I brzeg znajomy, i Litewską mowę
Słyszą pod sobą. Usiedli na dębie,
Skrzydła spuścili, pozwieszali głowy.

Ale niedługo i tu pozostali.
Orłu piersiami chce się próć powietrze,
Orzeł chce nowych krajów, nowych światów.
Wierna orlica orła nie porzuci.
I lecą jeszcze na wschód, ojców kraju
Szukać, i mogił zapomnianych dziadów,
Które nad drugiém morzem się podnoszą.

A tam znów tęskno za Litwą kochaną.
To się wracają i na zachód płyną,
I posiadali nad Niemnowym brzegiem.

Tak wieki płyną, wydając się chwilą;
Lata migają, jak piorunów błyski.
Oni dziś w gnieździe na Litewskiéj ziemi,
Jutro daleko w cudzy kraj wędrują.
I lecą jeszcze i wracają znowu.
Aż orle pióra od słońca zbielały,
Szpony osłabły i piersi mu wyschły.
I począł tęsknić za duchów krainą,
Kędy go czekał ojciec i dziadowie.
Roztoczył skrzydła, chciał lecieć — Romussa
Jękliwym głosem Witola wstrzymała.
— Dokąd? mój luby! —
— Czas do ojców ziemi. —
I tęskno z Litwy, i tęskno za niemi;
Tęskno: bo cóż się po mnie pozostanie?
Gniazdo na dębie, w gruzach gród mój stary,

Pamięć zagasła i piosnka u ludu!—
—I dziécię—cicho Romussa mu powié.—
Spójrzyj—to syn twój.—Roztoczyła skrzydła—
Rozbite jaje na gnieździe leżało;
W niém dziécię białe, jak w kolebce, spało.
Witol nań oczy spoglądał orłemi,
I czuł, że nie tak żal mu było ziemi.
Ale na czyjąż zda dziécię opiekę?
Myślał, i siwe roztoczywszy skrzydła,
Wzbił się w powietrze, nad puszcze poleciał.
A matka siedzi i tuli piersiami
Dziécię kochane, i ojca wygląda
Dzień jeden, dwa dni; głosem go przyzywa;
Strach ją przejmuje; coraz częściéj woła,
Wabi Witola; ale puszcza głucha
Szumem jéj tylko dzikim odpowiada;
I nic nie słychać, nie widać nikogo.

Siedém dni mija, słychać tentent w lesie—
Stu jeźdźców zbrojnych przez gościniec jedzie,
A stary orzeł przed niemi ich wiedzie.
Stali u drzewa i patrzą do góry.
Orzeł swe gniazdo ścisnął w silne szpony
I z dzieckiem razem u stop wodza złożył.
Spójrzeli, krzykną zdziwieni rycerze.
Śpi dziécię w gnieździe pod orłów skrzydłami.
Kunigas Witen do niego się zbliża,
Patrzy na cudo, i orła siwego,

Jak Bóstwo, wita, uderzywszy czołem.
Ptak głos radośny ostatni wydaje,
Wzleciał, nie ptakiem—rycerz to na koniu
Złotemi skrzydły pędzi wschodnią drogą:
Z gwiazdą na czole i gwiazdą na piersi,
Z białym na ręku sokołem, z ogary,
Na Anafielas odważny się wspina.
Za nim tuż tęskny duch orlicy leci;
Spogląda na wschód, to na dziécię swoje,
To znów na niego, dzieląc się na dwoje.
Znikli. A chłopię w gnieździe się obudzi,
Z strachem pogląda na stojących ludzi,
Wyciąga ręce za matką orlicą.
Witen do piersi przytula je swojéj.
—Boski dar—rzecze—radośnie przyjmuję.
Niechaj na Bogów służbę się wychowa.
W gnieździe znalezion, gniazdo da mu imie.
Lizdajkon [1] będziesz zwał się, orli synu!

1. *Lizdas*—gniazdo; patrz w Stryjkowskim podanie o przodku Radziwiłłów Lezdejce, albo właściwiéj Lizdajkonie.

K o n i e c.